

Fantastyczne historie

Antyradek

23 marca 2018

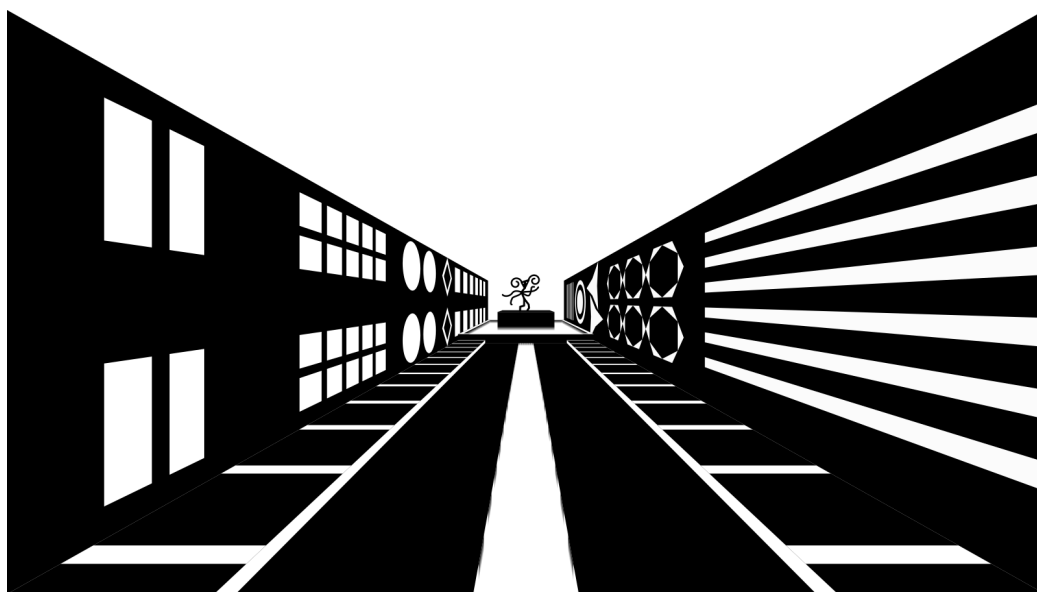
Spis treści

1	Kontakt bezpośredni	5
2	Na pewno nie jest pan wilkołakiem	13
3	Książdz	19
4	Bitwa na klawiatury	27
5	Uniwersalny tort	37
6	Bankiet w Kuli	51
7	Wypchaj się tym barem mlecznym	127
8	O tym jak mały Jasio znalazł żyrandol, a potem wszyscy się utopili	129
9	Duży dom	133
10	Bicie dzwonu, śmierć komu?	143

Opowiadanie 1

Kontakt bezpośredni

Ziemowit i Psychit lądują na dziwnej, czarno-białej planecie i próbują zrozumieć zastaną cywilizację. Wszystko jest takie oczywiste, że aż zostają aresztowani za bycie za mało oczywistymi.



Dźwięki doskonale zsynchronizowanej opery na dwanaście głosów wypełniały przestrzeń kokpitu.

— Dziennik pokładowy, wpis numer... och, jeden. — Psychit uderzał trójpazurzastymi szczypcami rytmicznie w klawiaturę. — Misja typu kontakt bezpośredni z niezbadaną wcześniej cywilizacją. Uczestniczą potwór Psychit i Ziemianin Ziemowit.

— Urodziłem się na Felicji — poprawił potwora Zimi. — Od ostatniej wizyty na Ziemi nie chcę mieć z nią już nic wspólnego.

— I tak nikt tego nie będzie czytał — odpowiedział Psychit, nie odrywając wzroku z ekranu — ...Felicjanin Ziemowit. Statek typu strzałkowiec piątej generacji, napęd na pręty operowe. Nazwa?

— Jeszcze nie wymyśliłem. Myślisz, że tak prosto nadać imię, gdy przed chwilą dostało się swój własny, ukochany statek? To trzeba przemyśleć — wyjaśnił Ziemowit. — Poza tym, jakie to ma teraz znaczenie? Chyba nie wierzysz w te przesady, że latanie nienazwanym statkiem przynosi pecha?

— Nie, ale łatwiej jest później skompletować jego fragmenty, gdy eksploduje. — Psychit wyszczerzył srebrzyste zęby. — Powierzchnia planety jest całkowicie biała. Na razie brak reakcji ze strony mieszkańców. Rozpoczynamy podchodzenie. Ziemowit prawdopodobnie znowu połamie wszystkie pręty.

— Nie pisz tego! — oburzył się Zimi i pociągnął tak nieuważnie stery, że jeden z dwunastu prętów rozsypał się z dźwiękiem mordowanej śpiewaczki operowej.

Reszta lądowania odbyła się bez niedogodności, nie licząc złośliwego uśmieszku na paszczy Psychita.



Planeta okazała się przykryta grubą warstwą chmur, światło centralnej gwiazdy rozpraszało się całkowicie i produkowało depresyjny, jesienny dzień. Pod nimi, na powierzchni równie białej, jak niebo, zobaczyli niewielkie skupiska czarnych domków. Ziemowit postanowił postawić swój stateczek na skraju małego miasteczka.

Wszystko na tym świecie było czarno-białe. Biała trawa, kamienie i chodniki kontrastowały z murami z czarnej cegły i mieszkańcami ubranymi we wzorzyste ubiory. Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, aby przy kontakcie bezpośrednim nie powstał chaos, a mieszkańcy nie uciekali przed intruzami w popłochu. Odpowiedniki wojska pojawiały się zazwyczaj w przeciągu dwóch kilopulsów. Tym razem wszyscy kontynuowali swoje czynności. Co jakiś czas, niektórzy ukradkiem przyglądali się gościom, ale zaraz wszechobecni policjanci zwracali im uwagę, głośno bucąc. Zimi postanowił nazwać ich dyrygentami, bo tak śmiesznie wymachiwali patyczkami.

Mieszkańcy planety nie wyróżniali się niczym szczególnym. Mieli po dwie nogi, zginane w trzech miejscach, kręcone rogi na trójkątnych głowach i cztery mackowate ręce. Dość normalne, zważywszy na różnorodność całego wszechświata. Nienormalne natomiast było ich zachowanie. Każdy chodził prosto, jak po linie, ze stałą prędkością, lub całkowicie stał w miejscu. Wszystkie czynności mieszkańcy wykonywali grupowo, do taktu.

Co ciekawe, to Zimi i jego statek przyciągali najczęściej spojrzeń, a nie stojąca przy nich, kolczasta, pięciometrowa, zębata bestia. Tak się złożyło, że Psychit także był czarny, ze srebrnymi pazurami i kolcami w kształcie wielkich igieł chirurgicznych, widocznie to uchodziło za całkowicie normalne w tym świecie, w przeciwieństwie do wściekle pomarańczowego strzałkowca i ubranego specjalnie pod jego kolor pilota. Ziemowit nieśmiało poprawił kaptur swojej bluzy.

Oprócz dyrygentów z pałeczkami i różnorodnie ubranych obywateli, po miasteczku kręciło się także całe mnóstwo malarzy. Każdy z nich dźwigał dwa wiadra z farbą i biegając po całym mieście, malował na bieżąco wszystkie obtłuczenia, pobrudzenia i szarości świata. Mała grupka nieustraszenie zebrała się obok przybyszów, chyba aby rzucić się na Ziemowita i go „naprawić”, lecz Psychit warknął na nich tak, że uciekli, rozlewając farbę. Jednak jeden, najmniejszy malarz, zaraz wrócił i starannie zamalował ślad uciekinierów.



Dwójka dziwaków (a właściwie tylko jeden dziwak) szła środkiem chodnika z równą prędkością, taką jak wszyscy. Zwolnili na chwilę, przechodząc na bok, aby obejrzeć wspaniałą fontannę w centrum. Mała rzeczka wpływała u dołu i wytryskiwała z pomnika na szczycie w nudnobiałe niebo. Być może fontanna uczestniczyła w produkcji tych całych chmur. Gdyby nie rozproszenie światła przez niebo, woda mieniłaby się zapewne wszystkimi kolorami tęczy. Wielu mieszkańców, po kolei, nabierało z niej wody do wiader i od razu duszkiem wypijało, pod czujnym okiem dyrygentów. Całe szczęście że woda jest przezroczysta i nie trzeba jej barwić.

Naraz wokoło przybyszów zerwało się wielkie buczenie. Wszyscy dyrygenci skakali wokół, krzycząc coś w niezrozumiałym języku, a z daleka nadbiegała tym razem chyba prawdziwa policja, z elektrycznymi włóczyniami. Ziemowit sięgnął do pasa po szyfrator, aby zamrozić ich w splocie czasoprzestrzeni, ale potwór nie chciał się bronić. Postanowili więc pokojowo rozwiązać konflikt.

Kłując swoich gości w plecy, policjanci zaprowadzili ich do budynku z kratami w oknach i zamknęli w dużej celi. Na szczęście środek budynku był biały, więc nie było to aż tak depresyjne miejsce, na jakie wyglądało z zewnątrz.

— Ciekawe, co z nami zrobią? Mają tu sąd, będą chcieli się porozumieć jakimś językiem migowym, a może zaraz nas wypuszczą i ugoszczą w pałacu? Zdarzało się to już przecież — Zimi bombardował pytaniami swojego znajomego.

Potwór wzruszył ramionami i wskoczył na łózkopodobną strukturę w kącie, która zarwała się pod jego ciężarem.

— Demolowanie im mebli na pewno nam nie pomoże — Zimi skarcił Psychita. — Myślę, że nikt ich nie budował, żeby wytrzymały trzy tony.

— Wypraszam to sobie, nie jestem aż tak wielki. Ważę jedynie dwie i pół tony, a to spora różnica — ryknęło monstrum. — I to ich wina, powinni byli być przygotowani na przyjęcie członków jednej z czołowych organizacji wszechświata. Większość cywilizacji słyszała o nas i zawsze jest gotowa na nasze przyjście.

— Większość cywilizacji słyszała o was tyle, że jesteście morderczymi jaszczuropodobnymi istotami, zabijającymi w okrutny sposób całe populacje i jedzącymi małe dzieci — poprawił Zimi, gapiąc się przez okno. — Podobno jest was tyle, że niszczyacie sprawnie całe galaktyki. Nieźle legendy jak na dziewiątkę istot na cały wszechświat.

— To Pyrroq zjada chętnie dzieci, nie ja — bronił się. — Poza tym, jak wiesz, zabijanie kogokolwiek jest od ponad osiemdziesięciu gigapulsów, znaczy tych... waszych dwóch tysięcy lat zabronione, zwłaszcza dla nas. Teraz mamy być posłusznymi zwierzątkami i nieść pokój i szczęście. Już raz Niebo ukarało mnie utratą mocy na... em... miesiąc. Straszne przeżycie. Ty jeszcze nie masz mocy, więc co możesz wiedzieć. To tak jakby ci ktoś odciął ogon, skrzydła, wszystkie kończyny i zostawił dryfującego w przestrzeni kosmicznej.

— Mieszkam na Felicji! — Zimi się odwrócił. — My też liczymy czas w pulsach, mam już gdzieś ziemskie lata! Zapamiętaj, że...

Przerwał w połowie zdania, bo trójka policjantów z włócznieami przyszła i otworzyła kratę, wyprowadzając więźniów. Psychitowi zamknęli na rękach kajdany, między pierwszym a drugim kolcem, tak sprawnie jakby aresztowali istoty z kosmosu regularnie.

Poprowadzili ich do wielkiego pokoju, na środku którego widniała spora konstrukcja. Miała ona wiele igieł, świdrów i harpunów skierowanych do środka, gdzie przymocowana była krata z pasami. Malarze sprawnie zacierali czerwone ślady po ostatnim użyciu urządzenia.

— Śmierć za przejście na nieprawidłową stronę chodnika — zaśmiał się Psychit. — Dość tej zabawy — ryknął nisko i zerwał kajdany, jakby były z plasteliny.

Zaraz rzucili się na niego policjanci, ale on podciął im nogi ogonem, w locie łapiąc ich włócznie w łapę i wbił z całej siły w podłogę, jakby chciał pokazać, że mógł równie dobrze w nich.

Popatrzył słodko na przewodniczącego, który ukrywając strach, krzyknął coś niezrozumiałego do podwładnych. Zaraz otworzyli główne drzwi i zaprosili byłych więźniów do wyjścia, jak gdyby nic się przed chwilą nie stało.



— Nie mam pojęcia, co się właśnie wydarzyło, a ty? — zagadnął Zimi, wracając w stronę rakiety. — Oczywiście dziękuję za ratunek. Jak zwykle.

— Myślę, że ten świat nie jest jedynie czarno-biały. Jest także czarny i biały nawet u podstaw — Psychit głośno rozmyślał. — Nie ma tu miejsca na szarości, nawet w zachowaniu obywateli. Śmierć, albo wolność, środek chodnika, albo stanie w miejscu. Wypicie całego wiadra wody na raz, albo wzięcie całego ze sobą. Wszyscy robią rzeczy albo doskonale, albo wcale. Za zejście z linii od razu śmierć.

— Taki perfekcjonizm może powodować dużo dobrego, ale jakoś nie widać po ludziach, żeby byli szczęśliwi. Myślę że jednak ich system działa gorzej, niż lepiej.

— Już nie raz widywaliśmy zniewolone światy. Ale ci mogą zawsze przeskoczyć na inny kolor, zrobić dokładnie odwrotnie, niż robili wcześniej, więc technicznie rzecz biorąc, mają więcej wolności od nas. — Potwór zmrużył ślepią. — Ja nie mogę jednego dnia burzyć miast, a drugiego odbudowywać bez konsekwencji.

— Nasze prawo nakazywałoby naprawić ten system. ALOPP zostało przecież przez was powołane tylko po to, żebyśmy my, ludzie, pomogli wam, potworom nieść dobro, a tutaj nie za dużo go widzę. Ale tym razem może postaraj się nie rozwalić wszystkiego w drobny mak.

— To jedna wielka kolorowanka. Możemy użyć tylu kolorów, ilu chcemy. — Psychit przystanął. — A zaczniemy od przywrócenia twojej rakiety z powrotem do pomarańczowego.

Nieuważnie zostawili statek nieupilnowany, doskonały kąsek dla malarzy. Ci z największą dokładnością pokryli każdą powierzchnię białą farbą, nawet okna.

— Mój stateczek. Moje dziecko! — Zimi pobiegł do swojego nowego nabytku. — Nawet nie zdążyłem się tobą wystarczająco nacieszyć!

Ziemowit biegał w kółko wokół urządzenia.

— Farba się zmyje, lepiej sprawdź czy... — Przerwał mu krzyk.

Wygląda na to, że malarze aż za bardzo przyłożyli się do swojej pracy. Zajrzeli w każdą dziurkę, w każdy zakamarek. Twardymi pędzlami potłukli wszystkie delikatne, zasilające pręty operowe. Znaczą prawie wszystkie, bo jeden zbił wcześniej Zimi.

Ziemowit pokazał garść niebiesko-białych kryształków.

— Masz zapasowe, prawda? Masz całe dwa zestawy. — Psychit się nie przejął. — W najgorszym razie to wyniosę cię poza atmosferę na rękach, a tam otworzymy przejście do dolnej warstwy.

Dał się słyszeć drugi krzyk. Czarna farba wylała się ze środka, gdy tylko Zimi otworzył właz.

— Ty ostatni wychodziłeś, nie zamknąłeś wjazdu, prawda? — wyszczał przez zęby. — Chyba czeka cię nieco dłuższy lot do domu na własnych skrzydłach. I będziesz trzymał mnie, statek i pięć ton powietrza w bańkach energii, bo farba zalała grubą warstwą wszystkie ściany i nie mam ochoty siedzieć w środku w czasie podróży. A przedtem jeszcze sam zanurkujesz do środka i wyłowisz klucz dolnej warstwy, żebyśmy nie spędzili na podróży tryliona pulsów.

— Dobrze, popsułem. — Potwór podwinął ogon. — Ale nie mam wystarczającej siły na lot do domu, jeszcze rozciągając tak wielkie tarcze. To wykańcza, wiesz? A gdybym ja kazał ci teraz biec podwójny maraton ze mną na plecach? Zrobiłbyś to bez problemu? My też się męczymy — broń się. — W dodatku ten system gwiazdny jest na skraju kwadry, podróż dolną warstwą, nawet prosto przez środek wszechświata, zajęłaby mi kilka kilopulsów. Lepiej wezwij pomoc, Floria z Mojmirą miały zwiedzać sąsiednią galaktykę, na pewno szybciej tu przylecą swoją latającą szklarnią. Może nasza mistrzyni życia wyrośnie tu kilka kolorowych kwiatów, ciekawe jak zareagowaliby mieszkańcy.

Ziemowit wyjął z kieszeni swój okrągły komunikator, aby wezwać pomoc, ale okazał się on być odłączony od korpusu. Te urządzenia używają wewnątrz małych portali do dolnej warstwy, jak baterii, dzięki czemu mają nieograniczoną moc obliczeniową. Czasami zdarza się, że połączenie się zerwie i zostajemy wtedy jedynie z podstawką pod szklaną.



— Skoro i tak spędzimy tu trochę czasu, to równie dobrze moglibyśmy trochę z nimi poeksperymentować — westchnął Psychit, patrząc w stronę fontanny. — Zacznijmy od czegoś prostego.

Złapali więc jednego z obywateli i zmusili do patrzenia na żarowiąstą bluzę Ziemowita. Psychit wypalił laserem ze swojej dłoni dziurę w ziemi i pokazywał mu barwne przekroje skał oraz jak świeci rozgrzana farba. Obsypywali go niebieskim proszkiem z prętów.

Kosmita nic sobie z tego nie robił. Na każdy kolor zawsze zamykał oczy i siedział w milczeniu. Czy dlatego że nie chciał, czy dlatego że się bał, bo za doświadczanie koloru groziło podziurawienie na wylot? Na dedykowanej ku temu maszynie.

Próbowali podobnie robić z kilkoma innymi istotami. Od buczenia dyrygenta wiedły im uszy, najwięcej zainteresowania wykazał jednak malarz, który opryskał wszystko pokazywane farbą.

— Pora na krok ostateczny. Dość mam już tego cackania się — powiedział czarny potwór z białe kropki.

— Nie róbmymy im krzywdy, nie wolno nam! — odpowiedział pomarańczowy człowiek w czarne kropki. — Co zamierzasz wyprodukować swoją mocą?

— Jeśli nie chcą patrzeć na kolory, to zrobimy tak, żeby widzieli je nawet przy zamkniętych oczach — powiedział, wkładając pazury do fontanny. — Zjedz tę grudkę, to antidotum na to, co się zaraz stanie.

Każdy z potworów ma jakąś podstawową moc. Psychit na przykład potrafi wytworzyć swoim ciałem dowolne lekarstwo, narkotyk, truciznę, czy halucynogen. Na niego samego jednak jego substancje nigdy nie działają. Nośnikiem tych związków jest czarny smar, nazywany potocznie ektoplazmą.

Psychit najeżył się i wypuścił z kolców na rękach czarną substancję, która natychmiast zmieszała się z wodą. Dumny ze swojego dzieła był zaskoczony, że nawet sikawka zaczęła pompować jego ektoplazmę, rozpylając czarne chmury, brudząc nieskazitelnie białe chodniki.

Z wrednym uśmiechem obserwował istoty nabierające czarną wodę do kubłów, pijące ją z trzęsącymi się mackami i przerażeniem w oczach. Nie odważyliby się zaprotestować, nawet gdyby kazano im pić płynne żelazo.



Potwór i człowiek wygodnie usiedli na końcach strzałek statku i obserwowali rozwój wydarzeń. Pierwsi zareagowali malarze. Pędzlami malowali i tak doskonale białe substancje. Rozlewali gwałtownie farby na siebie nawzajem i wymachiwali pędzlami w powietrzu, chcąc widocznie je także pomalować.

Wkrótce wszyscy obywatele wewnętrznie spanikowali. Chodzili drżącymi krokami, zakrywali oczy, ale nikt nie odważył się zejść z wytyczonych linii. Nikt nie zwolnił, nikt nie wyszedł poza binarność. Pomimo że w ich głowach i przed oczyma tańczyły wszystkie kolory wszechświata, wytworzone jednym z najsilniejszych halucynogenów jakie Psychit potrafił wyprodukować, nikt nie dał tego po sobie poznać.

Wyglądało to śmiesznie, dopóki jedna osoba nie wykluła sobie oczu, i szczęśliwa, dalej po omacku nie szła w kolejce środkiem chodnika. Kilkoro pozostałych poszło w jej ślady, zanim Psychit nie podbiegł i nie zalepił wszystkim wokoło oczu swoją ektoplazmą w przeciwbólowym trybie, oślepiając ich jedynie tymczasowo, żeby nie robili sobie krzywdy.

Środek rozpylony w chmurze podziałał na wszystkich, ale nie chcieli oni reagować na jego efekty. Jedni próbowali pomalować niebo, więc wygląda na to że wierzyli w widziane kolory. A z kolei ci, którzy wylupili sobie oczy, prawdopodobnie byli świadomi, że wszystko powstaje tylko w ich głowach. Nie mogli wewnętrznie znieść nawet tego.

Ziemowit w milczeniu zastanawiał się, czy nie posunęli się za daleko. Być może wyrządzili nieświadomym istotom niepotrzebną krzywdę. Chociaż z

drugiej strony, wytwór Psychita niedługo przestanie działać i wszystko wróci do normy. Chodniki zostaną pokryte kolejną warstwą bieli, a fontanna na nowo odmalowana. Statek się weźmie na hol i nie pozostanie tu po nich żaden ślad. Nawet wspomnienia obywateli zostaną szybko wyplewione przez wiecznie wiszący topór śmierci za każde odstępstwo od normy.

A Psychit? On smakował farbę. Ze wszystkich dziwności wszechświata, ta planeta nawet go nie ruszyła. Ziemowit wziął trochę czerni na palec i pomyślał, że sporo musi się jeszcze o życiu nauczyć.

Fuj, obrzydlistwo.

Opowiadanie 2

Na pewno nie jest pan wilkołakiem

Opowieść pewnego człowieka, dla którego właśnie mija pierwszy miesiąc od ugryzienia przez wilkołaka. A może nie przez wilkołaka?



Podobno nie każde ugryzienie wilkołaka naznacza człowieka. Ja jednak wolę dzisiejszej nocy nie ryzykować. Właśnie teraz mija miesiąc od tamtego pamiętnego dnia, rana się już prawie zagoiła, ale blizna zawsze będzie mi przypominać o mojej skazie. Pierwsza pełnia księżyca, tej nocy wszystko się wyjaśni.

Z samego rana spakowałem namiot, trochę jedzenia i wyruszyłem w las, aby uciec jak najdalej od wioski. Nie mogę narażać jej mieszkańców i rodziny, gdyby okazało się, że jednak jestem... tym czymś.

Rozbiłem namiot pośrodku jeziora, na małej wysepce, do której płynąłem kłodą drewna. Mogę mieć tylko nadzieję, że wilkołaki nie umieją pływać. Dla bezpieczeństwa przywiązałem ją łańcuchem, a klucz od kłódki opaliłem w ogniu, aby pozbawić go ludzkiego zapachu, i zakopałem pod drzewem.

Zasnąłem, gdy był jeszcze dzień, miałem cichą nadzieję że rano obudzę się w tej samej pozycji.



I tak się stało, nadal byłem w namiocie. Jednak już po kilku sekundach wiedziałem, że coś było nie tak. Kłoda drewna nadal była przywiązana do brzegu, ale z drugiej strony wyspy. Pod drzewem widniała wykopana pazurami dziura, ale klucz nadal leżał w środku. I moje paznokcie, były jakby dłuższe?

Czy możliwe było, żebym w nocy odwiązał kłodę, popłynął nią na brzeg, a potem wrócił i przywiązał z powrotem? Znacznie ciekawsze było jednak, co robiłem w lesie, polowałem, wyłem? W końcu dzień drogi, to nie tak daleko od wioski... przeszły mnie dreszcze ze strachu. Trzeba wracać. Szybko.



Już z daleka widziałem, że wczoraj w nocy jednak tu byłem. Echo gwarnej wioski zwykle niesie się przez las, ale tym razem było zupełnie cicho. Nawet ptaki zamilkły, a wiatr ustał.

Tłące się pozostałości słomianych dachów dopełniały plamy krwi na drodze. Odwracałem wzrok od zmasakrowanych ciał, nie dlatego że mnie obrzydzały, ale dlatego że bałem się zobaczyć w nich członków mojej rodziny.

Każda chałupa miała wyważone drzwi, z każdej futryny wiała śmierć. Tak oto cała wioska, w jedną noc, zniknęła z map. Czy za miesiąc jeszcze jedna podzieli jej los?

Jednakże była pewna osoba, która mogła mi pomóc. Przybysz. Nigdy nie opuszczał domu i z pewnością teraz też tego nie zrobił. Pewnego razu przyszedł do naszej wioski, za pomocą dziwnych sztuczek leczył rany, odpędzał wrogów i budował mechanizmy. Zdobył nasze zaufanie i pozwoliliśmy mu osiąść nieopodal. Zbudował sobie tam dziwną, świecącą chałupkę i robi za mędrca.

Wie, że zostałem ugryziony i z pewnością, jak tylko mnie zobaczy, strzeli do mnie jednym ze swoich dziwactw i zada bolesną śmierć. Ale moje poświęcenie nie pójdzie na marne. Jestem pewien, że zaraz potem pokroi moje truchło na kawałki i stworzy jakąś miksturę leczącą likantropizm. Może to i lepiej, tacy jak ja powinni być usuwani ze społeczeństwa. Moja wina, trzeba było oddalić się od wioski na większą odległość. Ale jeśli istnieje cień szansy, że ostatnim tchem stworzę jakieś dobro, to trzeba iść.



Kwadratowy domek zwyczajowo świecił tajemniczą, fioletową łuną. Na dachu były takie specjalne deski, które kradną światło słońca, a potem część oddają w nurcie elektroko-jakimśtam. Nowa, kanciasta gałąź dziwnego drzewa antony, wbita była w rogu, już czwarta z kolei. Płot iskrzył się jak pocierany koc, ale wiedziałem że przy dotknięciu mógł zabić silnym nurtem. Magiczne, ogrodowe krasnale, zaczęły do mnie strzelać promieniami słońca, gdy wejść nieproszony, zamiast użyć przycisku przy furtce.

Niepewnie dotknąłem kółka na małym pudełku. W domu rozległo się bicie dzwonków, chociaż byłem w domu Przybysza już wcześniej i wiem że na pewno nie miał żadnych dzwonków przy wejściu. Zamknąłem oczy i czekałem, aż gorący promień dokona mojego żywota.

— Witam naszego wspaniałego bohatera, ale im pan pokazałeś, no, no. — Przybysz chyba oczekiwał mojej wizyty. — Mam to wszystko nagrane, chodź, pokażę jak ratuje pan wioskę. — Odczytał zakłopotanie z mojej twarzy. — Nic pan nie pamięta? Ciekawe. Akurat wczoraj, tej samej nocy, zaatakowało nas Imperium. Przyjechali z wozami, żeby porwać wszystkich i zrobić z nich niewolników kopalni. — Odsunął się, zapraszając do środka, chyba jednak nie chciał mnie zabić. — Wtedy ty się zjawiłeś, w samą porę. Wszystkie te trupy na podwórzu należą do imperialistów, naszych nie tknąłeś.

— Ale truchło naszej sąsiadki, tam leży! — odpowiedziałem z niedowierzaniem.

— To dlatego, że kilku mieszkańców okazało się agentami, to oni nas zdradzili dla Imperium. Nie martw się, każdego z nich także zmieniłeś w krwistą papkę, a domy spaliłeś, biegając z pochodnią w zębach.

Czyste, perfekcyjnie wykonane wnętrze domu, przypominało gładkością mleczny lód. Magiczne przedmioty, których znaczenia mogłem się jedynie domyślać, wały się wszędzie. Na stoliku siedziała wielka, tresowana mucha z gatunku drą. Pokazywał mi kiedyś, jak głośno lata i jak potrafi przekazać potem, co widziała.

Przybysz wskazał na niezwykle okno w ścianie, nazywał je kranem E. Pokazywało nieistniejące widoki, ale nie można było go otworzyć. Tym razem

zobaczyłem na nim nocną scenę, z góry oświetloną blaskiem księżyca. Ludzie z pochodniami biegali i wchodziłi do domów, wyciągając siłą mieszkańców.

Wtedy pojawił się on. Znaczy ja. Nienaturalna pozycja, lśniące futro, wielkie pazury i dzikie spojrzenie. Zamknąłem oczy, nie chciałem tego oglądać.

Gdy krzyki ucichły, wilkołak sprawdzał dokładnie każdy z domów i czasami podpalał. Mój dom także musiał zostać zniszczony. Moja własna rodzina trzymała z Imperium? Znaczy, że... musiałem ją zabić. Rozszarpałem moje własne dzieci! Łzy napływały mi do oczu i nie wiedziałem czy dlatego, że ich straciłem, czy dlatego, że prawdopodobnie oszukiwali mnie tak długi czas, a całą wioskę sprzedali Imperium. Najgorsze w tym, że podejrzewałem ich o to już od dawna, ale sercem uwierzyć nie mogłem, jak widać niesłusznie.

— Z tego co wiem, wilkołaki nie zachowują się w tak logiczny sposób. Jeśli pan pozwoli, zamierzam przeprowadzić kilka badań i pomóc panu nad tym zapanować. — Było mi już wszystko jedno. — Możemy to wykorzystać do naszych celów, proszę sobie wyobrazić, cała armia wspaniałych bestii, może nawet obalimy Imperium! Nie będzie więcej wojny, palenia domów i najazdów, nie tylko dla naszej wioski, ale każdej! — Przybysz zachwycił się, patrząc w sufit, gdybym ja do wszystkiego miał taki optymizm, jak on. — Tu jest stół z klamrami na ręce i nogi. Przywiążę pana i zobaczymy, zapewniam, nic się panu nie stanie. Pełnia zwykle trwa dwie noce, do zachodu słońca zostało niewiele czasu.

Obojętność. Nic mi się nie stanie, to dobrze, stanie mi się, to i nawet lepiej. A jak będę przywiązany, to przynajmniej nikogo więcej nie zamorduję.

Położyłem się na stole, Przybysz zapiął klamry i przyczepił mi jakieś sznurki do ciała. Na wszelki wypadek zostawił słoneczną kuszę na widoku.

Byłem za bardzo pobudzony, aby zasnąć. Wkrótce jednak zacząłem tracić przytomność. Zaczyna się.



Obudziłem się nadal na stole, ubrania porwane na strzępy, sznurki porywane, klamry przegryzione. Przybysz siedział w rogu i trzymał się za czerwony bandaż.

— Mamy mały problem. — Sięgnął do deski przycisków. — Gdybyś po prostu się zerwał i mnie ugryzł, to by było jeszcze w porządku. Ale po transformacji, zacząłeś ze mną rozmawiać i przekonywać do swoich racji.

Ze sztucznych ust za kratką w ścianie dało się słyszeć głos Przybysza, oraz drugi, zupełnie nieludzki. Niski i ryczący, słyszeć było w nim echo kosmosu, dźwięk wielu zamieszkanym planet i ich słońc. Czerwony karzeł, żółty karzeł i wielka czarna dziura. Dwa księżyce, pierścienie i sztuczny twór.

Miasta bogate i zdobione, pokój i szczęście mieszkańców, śmiech i radość. Ale ziemski język, którym wilkołak rozmawiał, był sztuczny, ograniczony, na pewno nie polski. Skąd ja to wszystko w ogóle wiem?

— Od razu rozpocząłeś rozmowę ze mną po wspólnym, zwanym również nowomową. — Przybysz nieufnie spoglądał to na mnie, to na kran E. — Ten język powstanie dopiero za trzy tysiące lat w Ameryce, jako uniwersalny sposób porozumiewania się ludzi z różnych krajów. Nie ma jeszcze nikogo w tej chwili na świecie, kto potrafiłby się nim posługiwać. Z wyjątkiem mnie. I chyba też ciebie?

Pokręciłem głową, ja także go nie rozumiałem.

— Interesujące. — Zamyślony wstał i podał mi nowe ubrania. — Proszę wyobrazić sobie bardzo inteligentne zwierzęta. Przychodzą z bardzo daleka i chcą się od nas nauczyć części naszej kultury. Po ugryzieniu, w ciągu kilku lat, stajesz się jednym z nich. — Wskazał palcem na moje włosy na rękach, były teraz dłuższe i ciemniejsze. — Tak podbijają świat za światem, usuwają to, co złe, zostawiają tylko to, co w ich przekonaniu dobre, i przyjmują u siebie. — Wyciągnął wielką księgę z szuflady. — To nie zadziała. Sztuczne mieszanie kultur nie zadziała. Nie można mieszać. — Uniósł się, jakby chciał mnie przekonać do czegoś, ale ja nie rozumiałem do czego. — Uciekłem przed wymuszonym mieszaniem, uciekłem przed Nowomową, przed sztucznie poprawnym zachowaniem, przed multikulturalizmem. To wymaga czasu, kulturę trzeba wytworzyć, a nie zdobyć. Oni upadną, tak jak my upadliśmy... upadniemy. Na własne żądanie.

W książce były ryciny spalonych domów, brudnych ulic i wojujących, czarnych ludzi, ale nadal nic z tego nie rozumiałem. Przybysz patrzył się przez okno. Pierwsi ludzie wracali do wioski.

— Ale może gdyby wpierw oczyścić tę kulturę z brudu, to by zadziałało? — Patrzył na mnie, szukając potwierdzenia racji. — Jedno jest pewne. — Zgasił kran E. — Na pewno nie jest pan wilkołakiem.

— Nie jesteśmy my — poprawilem.

Opowiadanie 3

Książdz

Cyberpunkowe opowiadanie z nutą Boskości. Jak będą wyglądały opętania przyszłości? Przekonajmy się.



— Dzień dobry panu, przyszliśmy zabrać pana na operację — powiedziało równocześnie dwóch agentów Poczty, stojąc w drzwiach mojego domu.

— Jaką znowu operację? — Dobrze wiedziałem, jaką operację. W końcu to się musiało stać. Jednak nadal nie wiedziałem, dlaczego akurat dzisiaj.

— Nie wie pan? — Agenci spojrzeli po sobie. Mniejszy zajął głos. — No tak, jak mógłby pan to wiedzieć, nie ma pan przecież jeszcze mrówki. Nie ogląda pan telewizji. Tak, tak. W związku z ostatnimi, niewytłumaczalnymi

atakami spazmów u obywateli w całym mieście, Poczta stwierdziła, że dla bezpieczeństwa, wszyscy nieochipowani przy urodzeniu powinni obowiązkowo mieć zainstalowaną mrówkę.

— Ale przecież tylko osoby z właśnie takimi mrówkami doznają ataków, bezpieczniejsi będziemy bez nich. — Próbowałem się bronić, ale wiedziałem że to i tak nie ma sensu i że to nie o bezpieczeństwo chodzi. — Poza tym, operacja wszczepienia u dorosłych ma wysokie ryzyko niepowodzenia, nie stosuje jej się.

— Tak, tak. Niefortunne narodzenie w samolocie, awaryjne lądowanie na pustkowiach, nie można było wszczepić mrówki od razu po narodzinach, przykro nam. Ale teraz może być pan spokojny, wynaleziono nową, bezpieczną metodę. Dzięki niej każdy może cieszyć się swoją mrówką w dowolnym wieku. Czy to dorośli, czy dzieci, teraz operacja jest bezbolesna, całkowicie bezpieczna i trwa tylko godzinę. W pełni refundowana przez Poczte. Zamów już dziś — agent wyrecytował reklamę, która prawdopodobnie leci w telewizji co pięć minut. — Zapraszamy z nami, chip jest dla bezpieczeństwa wszystkich. Przyczyny ataków nadal są nieznane i jest szansa, że nosicielami mogą być niezachipowani. Poczta musi wyeliminować taką możliwość. Chyba nie chce być pan oskarżony o celowe wywoływanie zamachów? — Odsunął się, pokazując miejsce w prywatnej kapsule na szynach, która zawiezie mnie prosto do głównego szpitala. Zastanawiałem się, czy jeszcze kiedyś wrócę do swojego domu.



Kapsuła od razu wjechała na wewnętrzny tor szpitala i skierowała się do bloku operacyjnego. Wielki, płaski gmach, złożony z setek małych pudełek, spełniał zapotrzebowania całego miasta na operacje. Dojście do każdego z nich było możliwe jedynie wielkimi podajnikami, które przenosiły cały personel, chorych i towary, jeżdżąc od kratki do kratki. Nadto skomplikowany cud inżynierii pocztowej, jednakże wymagany aby zmieścić cały szpital w centrum miasta na tak małej powierzchni.

Wjechaliśmy na podajnik, który przeniósł nas razem z kawałkiem toru prosto pod tylne wejście sali operacyjnej 433. Pielęgniarki właśnie kończyły przygotowywać autochirurga do pracy, wielki pajak z tysiącem odnóży, przywiązany do sufitu, zaraz będzie dobierał mi się do mózgu. I to dosłownie. Jaka ma być ta nowa metoda? Wyglądała dokładnie tak samo, jak standardowa operacja. No cóż, może zmieszczę się w tych 83% udanych zabiegów.

Kątem oka spojrzałem na pozostałe wejścia, kapsuły na podajnikach przychodziły i odchodziły od każdego z nich. Z prawej strony ktoś nadal próbował się siłować, szybko dostał środek uspokajający. W formie tabletki podawanej dopięściowo. W lewej sali widać było, że czekali na kapsułę już bardzo

długo, pielęgniarki zasnęły z przemęczenia, oparte o ścianę nad przepaścią. Gdzieś dalej dał się słyszeć krzyk i strzał agenckiego elektronowca. Pocztaowcy delikatnie, acz stanowczo, powiedli mnie za bark w kierunku łóżka operacyjnego.



To było dzisiaj rano. W tej chwili wracam niebusem ze szpitala na stację górnego dworca, gdzie poczekam dziesięć minut na pociąg magnetyczny do domu. Jadę sto trzydzieści jeden metrów nad ziemią, w wagoniku zawieszonym na szynie, z prędkością pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Pode mną są slumsy, miejsce od którego powinienem się trzymać z daleka. To składowisko podejrzanych osób, niebezpiecznej technologii, mafii i wszystkich odpadów z miasta. Wyznają nawet swoją zakazaną [REDACTED]. Dziwne, nie mogłem znaleźć odpowiedniego słowa. Niebus dojedzie do stacji za dwadzieścia trzy minuty.

Wiedziałem wszystko, nie musiałem nawet spoglądać na ekran z rozkładem, aby znać kolejność stacji. Dworzec górny, fabryki jedzenia, jezioro pocztowców, centrum handlowe klasy średniej, rezerwat. Byłem wszystkim, mogłem wszystko. Dzięki ci, Poczo, za tę mrówkę. Ty, która zaczęłaś od dowożenia listów, tak się rozrosłaś, przejmując firmę za firmą, że sprawnie zarządzasz teraz całym miastem. Jedyną myślą, która nie pozwala mi być w pełni szczęśliwym, to myśl o atakach. Przecież prawdopodobieństwo dostania spazmów jest tak małe. Jest większa szansa na wygraną w loterię, kupon kupię na stacji za dyche, niż to że jakiś atak nastąpi teraz w tym szynobusie. I nie stwierdzono, jakoby było to zaraźliwe.

— Proszę się nie bać, w telewizji mówili że liczba ataków maleje. Pewnie ten program komputerowy zaczął już atakować sam siebie. — Kobieta z obcisłej spódnicy z animowanymi kwiatami uśmiechnęła się, odsłaniając nienaturalnie białe zęby. — Naukowcy Poczty ciężko pracują na szczepionkę, jestem pewna że wkrótce każdy z nas dostanie aktualizację systemu.

— A jeśli to nie wirus, tylko taki... no... niekomputerowy wirus? Taki prawdziwy wirus, jak kiedyś były, albo bakteria jakaś? — zapytałem. Czyta mi w myślach, czy to pocztowy automat właśnie podsunął jej ten pomysł, gdy zobaczył co zaprzęta moją głowę?

— Przy obecnej służbie zdrowia? Proszę pana, nie żyjemy przecież w XXI wieku! Musiałoby coś uciec chyba z muzeum. — Biodra jej zafalowały, to po tych lekcjach tańca na które chodzi z chłopakiem. — Chociaż w tym śmietniku pod nami, to nigdy nie wiadomo, co się czai — dodała.

— Wystarczy tam nie chodzić i wszyscy będą bezpieczni — wyrwało mi się niespodziewanie. — Pewnie wszystkie poszkodowane osoby same sobie były winne.

To były moje myśli? Jeszcze rano bałem się wyjść z domu, bojąc się tej tajemniczej choroby, ale teraz coś mi mówi że byłem w dużym błędzie. Tysiące informacji, potwierdzających że to nic groźnego, przelatuje przez moją głowę. Kierują mną, abym stwierdził że sam doszedłem do takich wniosków. Albo też nic mną nie kieruje, wszystko jest tak, jak dawniej. To ja mam całkowitą kontrolę nad sobą.

Kupię sobie ładną nakładkę na czoło, w tej chwili goła mrówka jest brzydkim, wystającym trójkątem. Widzę, jakie inni noszą ciekawe rozwiązania, nie muszę szukać podobnych w sklepach po całym mieście, od razu wiem, gdzie sprzedają, który model. O, ten ma takiego fajnego irokeza, który świeci kolorowo w zależności od uczuć. Patrzy w okno, różowy oznacza miłość. Wraca właśnie z udanej randki w kinie, grają tydzień starych filmów w 2D.

██████████. Ostatnimi siłami spróbowałem przywołać na myśl ██████████. Zarówno to, jak i ██████████ oraz ██████████ były zakazane. Same te słowa, jakby były wymazywane z głowy jeszcze przed interpretacją przez mózg. Ale przecież to nie problem, nie powinienem w ogóle zaprzętać tym sobie głowy. Tylko mieszkańcy slumsów robią ██████████, jestem porządnym obywatelem, trzymam się od tego z daleka.

Słabość, czuję się słabo. Tak, to pierwszy objaw ataku, ale nie ma się czego bać. Każdemu może się zrobić słabo, tak duszno jest w tym wagoniku, 50% stężenia CO_2 . Ale zaraz, przy takiej ilości już bym nie żył, przypominały mi się lekcje chemii. Coś się zepsuło? Nogi odmawiają posłuszeństwa, dźwięk zanika, tracę kontakt z otoczeniem. Tracę władzę nad ciałem! Irokez zmienił swój kolor na czerwony. Ktoś wezwał pomoc. Karetka nie podleci do wagonika, jest zajęta innym atakiem! Spokojnie. Nic mi nie będzie.

Wtem wychodzi z tłumu wysoki człowiek w płaszczu. Nogi skrywa su-tanna, pod szyją ma biały kołnierzyk, to musi być ██████████. Patrzy na moją mrówkę, przeszywa ją na wylot, wzrok utkwiony w zewnętrznym gnieździe do podłączania. Słyszę teraz jego słowa, to stary język, łacina. Treść jest nieistotna, mrówka podpowiada że nie muszę znać tego bezużytecznego języka. Surowe spojrzenie, ręką wykonuje znak ██████████, w lewej dłoni trzyma wisiołek z ██████████. W prawej butelkę z wodą ██████████, otwiera ją, wylewa na nas. Piecze, piecze! To kwas. Palimy się. Ciszej, ciszej! Tylko nie Ojcze Nasz, nie wypowiadaj Jego Imienia, nie przyzywaj Jej, nieee! Uciekać, trzeba uciekać. Zabije nas. Z tego śmiertelnika już nic nie będzie, odwołać atak. Gdzie uciekać? W dół, do slumsów. Tam, dwójka ma sprawne mrówki, rozdzielić legion! Ha, żegnaj ojczulku, nie uratujesz go już. Chwila, czy to pendrive z Mrówixem? Cholera, ale to nic. Ten system też wkrótce padnie.

— Wolne oprogramowanie, tworzone przez wszystkich, dla wszystkich. Napisane z miłości, waszej największej słabości. — Usłyszałem niski głos.

— Postać wyciągnęła rękę w kierunku mojej głowy.

Ciemność. A potem szturchanie przez nieznanego. Wysoka osoba w płaszczu była pochylona nade mną, uśmiechała się, jakby właśnie uratowała człowieka przed śmiercią. Mężczyzna pomógł mi wstać i utrzymać się na nogach, choroba ustąpiła natychmiast. Miałem mokrą twarz, ale nie od potu. Po co mnie oblał wodą?

— Czy dobrze się czujesz? — Jego głos pełen był nadziei. — Udało się, Bogu dzięki. Przy okazji, jestem Ojciec Tomasz, franciszkanin.

— Przepraszam, chyba trochę zasłabłem. — Ludzie wokół stali, jak zamrożeni. Nikt się nie poruszał, nie mrugał. — Czy...

— Dobrze, potem wyjaśnimy, goni nas czas. A dokładniej Poczta. — Ksiądz pociągnął rękę do awaryjnego otwierania drzwi. — Tak na szybko. Zostałeś zaatakowany przez demona, udało mi się go przepędzić i zainstalować Mrówixa, wspinamy się na górę i uciekamy po szynie. Masz pełną kontrolę nad chipem, Poczta nie będzie wiedzieć, gdzie jesteś. Ci ludzie zostali zdalnie spauzowani, żeby nic nie widzieli i nic nie słyszeli. Oczywiście Poczta nadal wszystko przez nich widzi, możesz jej pomachać. Za kilka minut włączą ręczne sterowanie i ci wszyscy ludzie nas rozszarpią, dlatego spiesz się. Tu jest rączka, podnieś się, zaprzyj nogą tam.

— Przecież szyna jest pod napięciem! — Tak stwierdziłem wedle mojej niewspomaganej mrówką wiedzy. — Sto-ileś tam metrów w dół!

— Tylko niektóre części są niebezpieczne, masz w głowie wykradzione plany budowy niebusa, poszukaj dokładnie, póki co, rób to, co ja, i nie dotykaj niczego więcej.

Wyszliśmy ostrożnie na dach i zaczęliśmy biec po szynie do najbliższej podpory. Niebus. Szynobus. Mam. Dokładne plany linii, przekroje, schematy budowy i działanie. Pod napięciem są tylko zewnętrzne brzegi. Już nie byłem wszystkim. Byłem książką, dokładniej biblioteką. I to dość zakurzona. Brak bezpośredniego połączenia z Internetem. Już nic mi informacji nie podsuwało, musiałem je sobie sam znaleźć.

Przeszło numer 23, będą schody na dół. Zamek szyfrowy przy wejściu to PoczLok-2122, zamknięty, ale zabezpieczenia dziurawe, jak Windows P. Znalazłem kilka exploitów i program do hackowania. Jest też instrukcja obsługi, ale to plik tekstowy, trzeba przeczytać samodzielnie.

Akurat dopadliśmy schodów, gdy pocztowy grawitowiec wysunął się z budynku. Zbiegliśmy, prawie zeskoczyliśmy ze schodów. Zamek poszedł w kilka sekund, byliśmy w centrum slumsów. Miałem mapę, na niej zaznaczone kryjówki, dopadliśmy pierwszej z nich i zniknęliśmy w sieci starej kanalizacji. Notatka mówiła, że Poczta nie zna jej przebiegu. Jeszcze.



Mieszkanie Ojca było bardzo biedne, ale czyste i zadbane. Usiedliśmy pod oknem, patrząc na ostatnie pocztowe grawitowce opuszczające zawieszony w górze wagonik. Gdy ruszył, wszystko wróciło do normy, ludzie zostali odpauzowani, nikt nic nie pamiętał, nikt nie zauważył mojego zniknięcia. Z wyjątkiem mnie samego.

— ...i taka właśnie jest historia — Ojciec Tomasz skończył opowiadać o atakach. — Tym razem to ani nie wirus, ani nie choroba, ani żadna broń biologiczna, ale demony nie z tego świata. Przez setki lat ludzie mieli w mózgu naturalną obronę przed tymi pomiotami, ale teraz, wraz z nadejściem mrówek, to się zmieniło. Kiedyś trzeba było interesować się voodoo, odprawiać czarne msze i wróżyć z kart, aby zaprosić szatana do siebie. Dzisiaj sam wchodzi, atakując chip przez połączenie internetowe, i dalej mózg. Nowoczesne czasy, nowoczesne opętanie.

— I może jeszcze szatan wgrywa tam swoje własne oprogramowanie? — zażartowałem. Trudno mi było uwierzyć w to wszystko.

— Nazywa się BorutOS, mamy jego obraz i inżynierię wsteczną opracowaliśmy exploity, aby przełamać go i zastąpić otwartym projektem Mrówixa. — Ksiądz skrzywił się, widząc uśmiech na mojej twarzy. — Nie wierzysz? To dzięki temu właśnie cię uratowałem, wykorzystałem lukę w systemie, który demony wysłały do twojej mrówki, i zastąpiłem naszym. Póki co, nie mogą znieść faktu że ten system jest tworzony przez różne, niepowiązane osoby. Non-profit, z miłości. Na razie jesteśmy bezpieczni.

— No dobrze. W każdym bądź razie żyję, jestem uodporniony na ataki, ale co dalej? — Doszło do mnie, że nie mogę teraz tak po prostu wrócić do domu.

Ojciec otworzył okno, smród stęchlizny, spalonych silników elektrycznych i smarów wdarł się do pomieszczenia.

— Czekamy na koniec świata — powiedział, wskazując ręką na miasto. Grupa pocztowych grawitowców ponownie gdzieś zmierzała. — Albo pomożesz mi ratować ludzi. Nie żebyś miał jakiś większy wybór, do domu nie pójdziesz, legalnie nie popracujesz, właściwie to oficjalnie umarłeś. Każdy się przyda, trzeba zdobywać informacje, ulepszać nasz system, pisać wirusy, podkładać bomby, dbać o słabszych... czasem zabijać pocztowców.

— Zabijać? Szkodzić innym? Przecież Pismo Święte wyraźnie zakazuje!

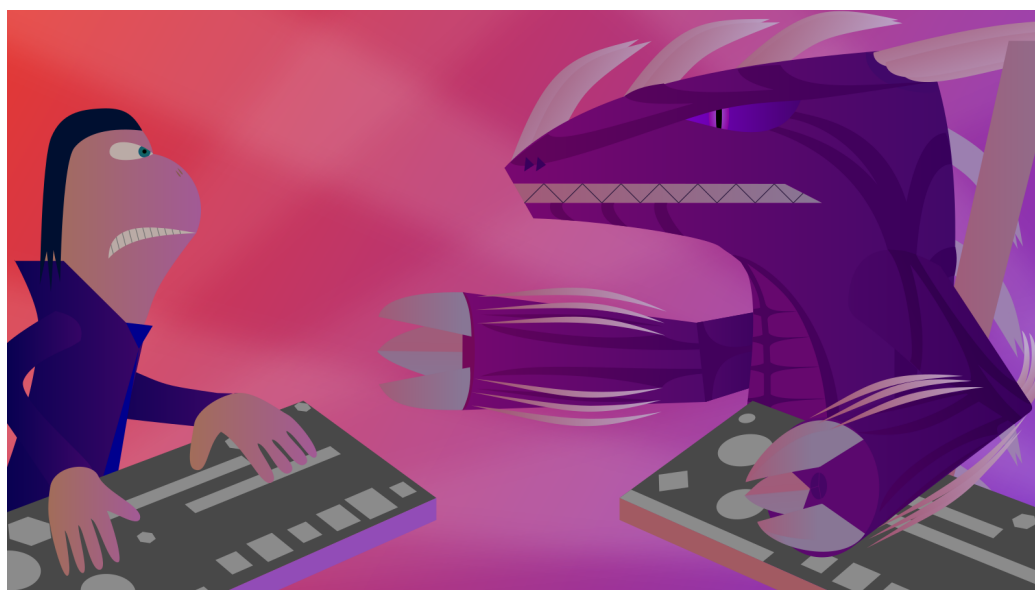
— Chciałbym być doskonały, ale zobacz na nasz świat. Albo zabijesz pocztowca, albo on zabije dziesięciu z nas. To nie jest tworzenie dobra. To jest tworzenie mniejszego zła. Ja nie... — Tomasz wziął głęboki wdech. — ...umiem... tworzyć takiego dobra, jakie powinienem. Nie jesteśmy w stanie działać tak, jak nakazuje Biblia. Przykro mi. Nie mogę obiecać ci Nieba, bo mam wrażenie, że sam idę w złym kierunku. Czy zatem zgodzisz się popełniać ze mną zło przeciwko złu?

- Tylko jeśli ty pozwolisz sobie pomóc w odejściu od zła.
- Dam sobie pomóc — odpowiedział.
- Dam swoją pomoc. — Nie zastanawiałem się długo. I tym razem był to mój świadomy wybór.

Opowiadanie 4

Bitwa na klawiatury

Niepoważny dramat o całkiem poważnej maszynie do zmieniania zasad wszechświata.



Ta komedia została znaleziona w Głównej Bibliotece w czasie jej digitalizacji z sześciokątnych płytek pamięci do komputera. Nie jest dokładnie wiadome, kto ją napisał, a i nikt się do tego nie przyznaje. Może to i lepiej.

BITWA NA KŁAWIATURY

Postaci:

- Doktor Evilion — człowiek.

- Przydupas — dziwna hybryda człowieka z czymśtam, stworzona przez Eviliona.
- Mikołaj — potwór.
- Nadar — człowiek.
- Ferro — potwór.

Wymagania:

- Puste miejsce w pierwszym rzędzie, dla Eviliona.
- Kilka osób o imieniu Mikołaj na widowni.
- Podstawiona osoba z telefonem i bombą pod siedzeniem.

Poniższy scenariusz powinien być zagrany w naszym jedynym teatrze na Księżycu Radości. Dla realizmu, powinno się zamiast aktorów użyć rzeczywistych postaci przedstawionych w skrypcie (z wyjątkiem Ferra, gdyż jest beznadziejnym aktorem i nie zagrałby dobrze nawet samego siebie).

Akcja rozgrywa się na Potworanie, w najbardziej strzeżonej części zbrojowni, przy naszej maszynie do nadpisywania zasad wszechświata (znanej też jako Maszyna Życzeń, albo Matrycogmeracz). Na scenie znajdują się dwie konsole do sterowania maszyną, po bokach, na podwyższeniach, zwrócone przodem do siebie. Na scenę wychodzi wpierw Nadar. Doktor Evilion siedzi w pierwszym rzędzie widowni.

NADAR

A oto najciekawszy punkt naszego zwiedzania.

Wielka maszyna do życzeń spełniania.

Tutaj widać tylko dwie konsole.

Większość maszyny znajduje się pod ziemią, na dole.

Modyfikuje zasady wszechświata, wedle życzenia.

Czy to wartość π , czy kolor nieba, to bez znaczenia.

Jest tak potężna, że nikt jej nigdy nie dotyka.

Jednak nie zniszczymy jej, na wypadek nietypowego ryzyka.

Nie ma bardziej strzeżonej rzeczy na tej planecie.

A my oprowadzamy wycieczki. Humor autora czujecie?

Myszę, że nasz świat za długo by się nie ostał,
gdyby teraz jakiś wróg do konsoli się dostał.

OPOWIADANIE 4. BITWA NA KŁAWIATURY

*Z widowni na scenę wbiega Doktor Evilion i jego pomocnik Przydupas.
Zaraz potem z boku wbiega Mikołaj.*

DOKTOR EVILION

W końcu się udało! Dostałem się!
Maszyna Życzeń, teraz należy do mnie!
A tu konsola, zaraz zacznę nią sterować.
I problemy niespotykane będę generować.

MIKOŁAJ

Już po nas. To koniec wszystkiego.
Evilion zrobi z nami, cokolwiek chce jego ego.

DOKTOR EVILION

Przetestujmy ją, najpierw coś małego.
Coś bez zbytnich problemów, zbędnego.
W klawiaturę te słowa wpisywać bez liku.
Otóż — chcę loda na patyku.

PRZYDUPAS

Nic się nie stało, mój panie,
czy na pewno poprawnie podłączone sterowanie?

MIKOŁAJ

Wszystko poprawnie, wszystko tak ma być.
Inaczej moglibyśmy już wszyscy nie żyć.
Nikt z was nie wie, jak to wszystko działa.
Jak nadać maszynie poprawne sterowania.

PRZYDUPAS

Chyba Maszyna Życzeń to nazwa nieodpowiednia.
To nie tak jest, że ona cokolwiek spełnia.
Jeśli pozwolisz, przejmę sterowanie...

DOKTOR EVILION

...panie. Dla ciebie — „panie przejmę sterowanie”.

Mikołaj swoimi lodowymi mocami stwarza loda w ręce.

MIKOŁAJ

To może ja spróbuję... wielmożny panie.

Rękami pomacham, jakbym robił pranie.
Poczekaj chwilę, aż będą gotowe.
Lodowe lody, w smaku lodowe.
Oto i przysmak, którego tak pragniesz.
Chwileczkę, zaraz jeszcze więcej dostaniesz.
I w klawiaturę wpisać ten rymowany tekst.
Rozkazywanie maszynie, toż to sztuką jest.
Dzieje się tak, że nad głową Eviliona
w każdej sekundzie pojawia się ilość takich lodów miliardowa.
Hmm. Nic się nie dzieje. Co to się stało?
Żeby tylko się nie zepsuło, bo problemów mamy niemało.

NADAR

Mikołaju!
Właśnie odczytałem coś na moim komunikatorze.
Spowodowaliśmy niemałą katastrofę. O Boże!
Wpisałeś Evilion, ale jaki?
Na Tirandii rządzi przecież jeszcze król taki.
To ta planeta, która ciągle na swą gwiazdę spada,
co im wielki silnik daliśmy, żeby im nie była biada.
Teraz góra lodów zamroziła go w mig,
siła nośna natychmiast zniknęła, o tak — pyk!

MIKOŁAJ

Zobacz, coś narobił Evilionie,
przez ciebie cała planeta teraz spłonie.

DOKTOR EVILION

Ach, to na mnie wina zwalona jest, taka?
Mikołaj właśnie umiera na raka.

Kilka osób z widowni osuwa się na ziemię.

MIKOŁAJ

Ja człowiekiem nie jestem, jak pewnie odkryłeś.
Komórek w ciele do zraczenia nie mam, być może nie zauważyłeś.
Ludzi do zabicia na Potworanie o tym imieniu też nie znajdziesz,
ale na Ziemi prawdopodobnie prezentów pod choinką już nigdy nie odnajdziesz.
Hej, czy tamta osoba też właśnie umarła?
Zobaczcie, jak prosto maszyna mu życie pożarła.

DOKTOR EVILION

Lodowy potworze,
mój ty Boże.
Mógłbym napisać, że po prostu znikasz,
ale lubię zabijać, gdy z innymi problemami się borykasz.
Poza tym, ciężko wpisać tekst, żeby rymowała się każda komenda.
Po to, żeby osoba czytająca ten dramat była jak zaklęta.
Zatem potrafisz produkować lód?
Zaraz będziesz mieć tu gorąca w bród.
I ze strachu i roztopów jeszcze bardziej zbielejesz,
klawiatura jest tak gorąca, że zaraz stopniejesz.

Mikołaj opiera się o rozżarzoną klawiaturę, jak gdyby nigdy nic.

MIKOŁAJ

Gorąca nie znoszę, ale co to są tysiące stopni temperatury.
Byłem zapraszany na herbatę do lawowych smoków z Karkentury.
A więc myślisz pewnie, że jesteś nade mną górą?
Co zrobisz teraz z własną, gorącą klawiaturą?

DOKTOR EVILION

Zapomniałem. O ja głupi znowu.
Zmiana zasad wszechświata dotyczy nas obu.
Jestem doktorem nauk. W rękawie mam jednak asa.
Przydupasie, już, zastąp mnie. Hopsasa.

PRZYDUPAS

Ależ jak, panie? Klawiatura płonie.
Rozumiem, że mam kompletnie spalić sobie dłonie?
Od zawsze chodzę posłusznie, po pana drodze,
a szacunku nigdy dostaję — zatem odchodzę!

DOKTOR EVILION

Głupi eksperymencie, aby cię wytworzyć,
lata nauki poszły, abyś mógł trochę pożyć.
Myślisz że ja, Evilion, jam jest idiotą?
Dałem ci odporność na ogień, niecnoto.
Wpisz zaraz, że ważysz całe tony, zaczyna coś trybić?
Wtedy skocz na niego, aby do ziemi natychmiast przybić.

Mikołaj lecący za scenę pod ciężarem Przydupasa.

MIKOŁAJ

Jestem potworem, podnoszę całe tony,
zaraz się wygramolę spod jego ciała zony.
O nie, widać wpisał także, że siłę mi odbiera,
Ferro, zastąp mnie, pokaż że potwór nie popiera.

Na scenę wchodzi Ferro. Fioletowe światło oświetla scenę. Sytuacja gęstnieje.

FERRO

Nie jesteś jedynym, który się pastwi nad swą ofiarą,
co powiesz na minutę milczenia? Z ust nie puść parą.
Kto następny w tym teatrze nie będzie cichy, jak ryba,
ten majestatycznie eksploduje. ...teraz enter chyba.

Po kilku sekundach dzwoni telefon podstawionej na widowni osoby. Eksploduje bomba pod jej siedzeniem.

FERRO

Co to było? Przecież ta konsola nie jest do maszyny podłączona!
To ma być tylko teatr! Komedia niedorobiona.
Czyli to wszystko, co wpisujemy, to się na prawdę stanie?
Co za pojeb pisał całe to wypracowanie!

DOKTOR EVILION

W kieszeni znalazłem ognioodporne rękawice,
wielu tu ludzi na widowni widzę!
Na zabawy z wami mam teraz branie.
Umrze ten, kto z miejsca tutaj wstanie.

FERRO

Mówi serio, nie wstawajcie, proszę,
zaraz się z nim rozprawię, aż spadną mu kalosze.
Lubisz rodeo? Zaraz polubisz.
Przez niekontrolowane wstrząsy konsoli, zaraz się zgubisz.
Patrz na mnie, ważę trzy tony.
W porównaniu ze mną, jesteś jakiś niedorobiony.
Jak myślisz, czy mnie to w ogóle ruszy?
Lepiej od razu szukaj na swoim ramieniu duszy.

OPOWIADANIE 4. BITWA NA KLAWIATURY

Wpisuję kolejny tekst, możliwościami maszyna się chlubi.
Konsole trzęsą się tak, że Doktor Evilion nie polubi.

DOKTOR EVILION

Nic się nie dzieje, wiedziałem o tym,
zdziwiony? Wyjaśnię ci to wszystko potem.
A póki co, kolej teraz moja.
Mechanicznych komarów rzuci się na Ferra cała sfora.

FERRO

No to jesteśmy po równo, na mnie też to nie działa.
Dlaczego? Nasz język często robi ludziom w uszach „ała”.
Dlatego też, to tylko ludzie,
wymyślili nam te przydomki, żeby rozmawiać na luzie.
Mojego imienia, to nawet w pełni usłyszeć byś nie mógł.
A ty z kolei nie jesteś doktorem. Oj, czyżbym twoje ego stłukł?
Już abstrahuję od tego, że mam magnetyczne zdolności,
Więc twoje komary rozebrałbym w locie na ości.

DOKTOR EVILION

Nie ma znaczenia, zaraz to naprawię.
Przede mną leży mój doktorat. Niech tak się stanie.

FERRO

Nie powiedziałeś jaki, a w nieokreślonym przypadku,
maszyna używa specjalnej przysadki.
Kto ją budował? Mikołaj — radośnie!
Spodziewaj się na papierze jakiejś dziedziny sprośnej.
Bardzo ciekawe, co ci wyszło tam?
Nie pal tego, chcę wiedzieć! Powiedz proszę nam.
Ale wiesz, doktoratu zniszczenie,
zasad wszechświata wcale nie zmieni.

DOKTOR SZAMBONURKOLOGII JANUSZ EVILION

Głupia maszyna. Teraz mi ukojenie.
Da tylko jej całkowite zniszczenie.

FERRO

Evilion to nazwisko, zagadka się wyjaśniła,
dlatego też komenda Mikołaja nie tego namierzyła.
Zasady wszechświata raz zapisane,

nie zważają na dalsze maszyny poczynanie.
Jeśli ją zniszczysz, wszystkie zostaną,
zasada zapisana, pozostanie zapisaną.
Siedzieć wtedy tu wszyscy będziemy,
aż całkowicie z głodu pomrzemy.

DOKTOR SZAMBONURKOLOGII JANUSZ EVILION

Już widzę dlaczego używać tej maszyny, jest tak niebezpiecznie,
sala z konsolą powinna zamknięta być wiecznie.
Trzeba ten śmietnik jakoś ogarnąć.
I zwycięstwo nad światem do siebie przygarnąć.
Zasada z konsoli, z konsolą padnie.
Rozwiązałem ten problem całkiem ładnie,
teraz tylko wyłączyć twoją.
I kontrola nad światem będzie całkowicie moją.
Druga konsola rozpada się, jakby dostała batem.
To mi da pełną kontrolę nad całym wszechświatem.

FERRO

Myślałeś że ci się to uda, tak po prostu?
To moja konsola do pierwszego gniazda podłączona była kabli wiorstą,
to znaczy że twoja część teraz pada, wiarę dasz?
Pamiętaj, z potworami szans na zwycięstwo nie masz.
A na zakończenie, wpiszę komendę wspaniałą, niczym angielski poem.
Ojej, moja konsola wzięła się i się zrobiła złomem.

Przydupas wychodzi zza sceny z kluczem francuskim.

DOCENT PRZYDUPAS

W czasie waszej niepoważnej potyczki,
ja poszedłem na dół i zamieniłem wtyczki.

DOKTOR SZAMBONURKOLOGII JANUSZ EVILION

Zaraz, ale wstałeś z miejsca, jak to możliwe?
Jak w takim razie żyjesz? Powiedz skwapliwie.

DOCENT PRZYDUPAS

Moje miejsce, nie wiem czy wiecie,
to zawsze pomagać panu, gdziekolwiek we wszechświecie.
Teraz, które zasady padły, a które żyją?
Powiem panu na ucho, ruszyć proszę szyją.

FERRO

Teraz coś wam powiem, że aż wyjdą wam gały,
zapomnieliście że potwory mają słuch doskonały.
Nasz docent powiedział jedną rzecz, od niechcenia.
Przyklejone na stałe nie muszą być już wasze siedzenia.

Prawdopodobnie wybucha teraz panika na sali i wszyscy uciekają.

DOKTOR SZAMBONURKOLOGII JANUSZ EVILION

Co za panika. Wszyscy w pośpiechu wychodzą.
Czy ta sztuka jest aż taką nedorobioną?
W takim razie będę musiał streścić się zatem,
aby każdy z was doświadczył mojego triumfu nad wszechświatem.
Co by tu wpisać, teraz jestem bogiem,
może coś prostego, potem się zastanowię.
Nic mi nie zagraża, więc czemu mam was zabijać?
Nie mogę się ciągle o ten sam cel obijać.
Co mi po waszej śmierci, dobry władca dba o swój lud,
dlatego będę dawał wam wszystkiego w bród.
Jak zrobić, żeby między nami wszystkimi była zgoda?
Już wiem, na patyku dla każdego loda!

Opowiadanie 5

Uniwersalny tort

W czasie wesela do tortu wpada mały, uniwersalny meteoryt. Gdy zakażony uniwersalnością tort zostaje zjedzony, zaczynają się dziać dziwaczne rzeczy.



Wesele rozkręciło się już na dobre. Podpici goście powoli przestali zwracać uwagę na dwie, wielkie istoty z kosmosu, przemykające zwinnie między stołami. To był doskonały czas na najważniejsze wydarzenie wieczoru — tort. Gigantyczna góra lukru wjechała na środek sali, w akompaniamencie fajerwerków i gradu brokatowego konfetti. Malowany złotem lukier, pokryty brokatem, mienił się w świetle świec, półprzezroczyste żelki rozpraszały tęczowo światło, a w perłowych szlaczkach można się było przejrzeć. Było to

wszystko na tyle mocno przesadzone, że jedna z rakiet wpadła do tortu i wysadziła w powietrze ostatnie, dziesiąte, piętro. Malutcy pan i panna młoda, rozerwani, polecili w cztery strony świata. Nie żeby ktoś to zauważył, ludzie byli zajęci tratowaniem się aby dorwać jak najwięcej przepysznego deseru. Po kilku chwilach została już tylko wylizana patera. To musiał być bardzo dobry tort.

Do czerwonego kosmity mało osób się zbliżało, z wyjątkiem panny młodej i jej siostry.

— Ty musisz być jednym z tych sławnych potworów, tyle nam o was opowiadali, to zaszczyt was spotkać — siostra panny młodej zagadła do Pyrroqua. — Jestem Magda, a to mój mały synek. Tymek.

— Miło mi poznać rodzinę Anastazji. Jestem... — Pyrroq wydał z siebie niezidentyfikowany głos, przypominający dźwięk eksplodującej planety. Potem wyszczerzył ostre ząbki i wyciągnął pazurzystą łapę, z której wysunęły się trzy macki, chcące uścisnąć rękę Magdzie. Odruchowo cofnęła wyciągniętą prawicę.

Mojmira stojąca obok, wtrąciła się.

— Pyrroq, nazywamy go Pyrroq. Musisz mu wybaczyć, ma bardzo trudny i wredny charakter, ale spokojnie, nie jest groźny. Pyrroq, przestań, proszę, być sobą, zachowuj się po ludzku, nawet jeśli nie jesteś człowiekiem, nie rób mi wstydu. — Uśmiechnęła się. — Wybacz za to, ja jestem Mojmira, przyjechałam tu z tymi dwoma potworami, pilnuję ich, żeby nie zrobili niczego głupiego. Jak teraz. A ten drugi, zielony, co tak się trzyma z boku, to Chronos.

— Więc ty także jesteś spoza Ziemi? Mieszkasz z nimi na jakiejś planecie? — Magda zapytała. — Nie przewidywałam, że kosmici będą tak podobni do ludzi.

— Dobrze przewidywałam. — Mojmira się zaśmiała. — Ja się urodziłam na Turandii, tej wysepce na Atlantyku. Jestem w stu procentach człowiekiem i Ziemianinem. — Zauważyła, że Magda wyraźnie się rozluźniła. — W kosmosie wcale nie ma tak wielu myślących istot, jak to mówią filmy. Najbliższe nam, pozaziemskie życie, jest bardzo daleko, poza naszą gromadą galaktyk. A i tak, to jakieś nedorobione szczeniopodobne cosie, głupsze od naszych ziemskich szcurek. Jednak niestety, żadne istoty nie są zielonymi ludzikami z wielkimi oczyma.

— Więc moja siostra, Anastazja, was zaprosiła. Od jak dawna znacie się z panną młodą? Jak to się stało, że poznała tak ekscentryczne osobistości? Musi to być bardzo nietypowa znajomość.

— Bardzo standardowo. Uratowaliśmy jej życie z płonącego pociągu, jak wielu innym osobom. Ci „obrońcy”, jak sami siebie nazywają, we własnym języku, są dostatecznie rozwinięci technologicznie i kulturowo, aby móc bez-

problemowo podróżować po wszystkich galaktykach. No i zdarzyło się, że byli tu na Ziemi i akurat uratowali twojej siostrze życie. A że wtedy i ja byłam z nimi, to panna młoda wzięła sobie za życiowy cel mi się jakoś odwdziżyć. I tak oto zaprosiła mnie, Pyrroqua i Chronosa na swoje wesele, nie zważając na nic, straszac, przy okazji, większość gości.

— Więc to wy ją uratowaliście? Nic mi nie mówiła.

— Oficjalna wersja to chyba wybuch pobliskiego wodociągu, który zgasił pożar. Znaczący, wodociąg rzeczywiście zgasił pożar, ale nie sam z siebie. — Mojmira westchnęła. — Wiesz, co by się działo, gdyby tak po prostu, wszystkim, nagle objawić prawdę? Cześć, jesteśmy potężną, ludzko-potworową, organizacją kosmitów, będziemy wam zwalczać zło.

— To pewnie dlatego Anastazja powiedziała gościom, że zaprosi dwóch klaunów w kostiumach. Ciężka dola superbohaterów. Ale nadal wam trochę zazdroszczę.

— Jestem taką samą superbohaterką, jak ty. Właściwie, to w moim przypadku sama przyszłam do potworów, a nie oni do mnie. Odkryłam, że Turandia, to sztuczna wyspa, osiedlili tam garstkę ludzi w 1818 roku, stylizując to na katastrofę statku. Celem miało być stworzenie szczęśliwej cywilizacji od nowa. Moja wścibskość doprowadziła mnie do prawdy i nawiązałam z nimi kontakt. Wyszło na to, że ten eksperyment już dawno był zapomniany i od lat nikt się nim nie interesował! Ale zamiast wyczyścić mi mózg, pogratulowali i pozwolili dołączyć. Okazało się, że w swoim świecie prowadzą całą akademię ludzi. Zrzeszają wiele osób podobnych do mnie, bo po prostu chcieli mieć pomoc w „pracy” i podzielić się potęgą. Dali nam technologię i kazali razem ratować światy. Czasami wołałabym nadal siedzieć z rodzicami w chatce na Turandii.

Mały Tymek podszedł do Pyrroqua. Miał małe, niebieskie oczka, blond włosy i słodki garniturek. Buzia umazana tortem. W ręku trzymał wymięty rysunek Pyrroqua.

— Jesteś smokiem? — zapytał — weźmiesz mnie do na lot do smoczego królestwa?

— Pewnie. — Pyrroq odwrócił się i nachylił. — Wskakuj.

Tymek spróbował wejść po jego kolecach na grzbiet, ale jak tylko złapał się półkolistego noża, zaraz przeciął sobie rączkę. Krew i łzy pociekły na podłogę, a płacz poszedł w nocne niebo.

— Co ty zrobiłeś mojemu dziecku! — Magda dopadła potwora, żeby okładać go torebką, ale zaraz się cofnęła ze strachu i złapała płaczącego synka.

— Ja? Nic. To twoja wina, że masz głupie dziecko, które nazywa potwora smokiem i łapie się jego ostrych koleców. I jeszcze traktuje mnie, jak jakiegoś konia, może specjalnie siodło mam założyć?

Mojmira złapała krwawiącą rączkę Tymka, wyciągnęła kamienną buteleczkę i psiknęła kilka razy na ranę, która zaraz zniknęła.

— Uwierz mi, ale on nie jest aż taki zły, na jakiego wygląda. Jest tylko wredny. Nie zabiłby twojego dziecka, przysięgam. — Mojmira uspokajała Magdę i Tymka. — Wiedział, że mam trochę antyczasu i zaraz ulecę Tymka i nic się nie stanie, jak zatnie się o kolce.

Magda jednak już zapomniała, o cierpieniu swojego dziecka, i utkwiała wzrok w magicznie leczącej rany, kamiennej buteleczce.

— Co to za magia? Gdzie można to kupić? Tymek potrzebowałby tego codziennie, to przebojowe dziecko, a ja wydaję fortunę na plastry. Co tam, każdy tego potrzebowałby, będziecie to sprzedawać? Sprzedawajcie.

— Tego nie można kupić, to trzeba wytworzyć. — Mojmira zaczęła tłumaczyć. — To jest antyczas. Środek, który, gdy się go dotknie, odwraca upływ czasu. Tak naprawdę, to nie uleczyłam rany Tymka, a cofnęłam jego dłoń o kilka minut wstecz. Spokojnie, to bardzo małe stężenie. Powstaje poprzez dodanie jakiejś antymaterii do dodatniego płynnego czasu, który z kolei postarza przedmioty przy kontakcie. Jest w kamiennej buteleczce właśnie dlatego, że kamień jest stary i długo może być odmładzany, a szklana butelka zaraz zamieniłaby się w piasek. A pewnie zapytasz, jak powstaje ten dodatni, płynny czas? — Odwróciła się do Chronosa, który zabawiał jakichś gości stanieniem na ogonie. — Każdy z potworów ma jakąś moc, Pyrroq potrafi wytworzyć bomby i zdalnie je eksplodować, a Chronos... cóż. Teoretycznie potrafi sterować czasem. — Nachyliła się nad ucho Magdy. — A w praktyce jest tak przerażony używaniem swojej mocy, że nigdy tego nie robi. Tyle się nasłyszał o paradoksach, rozerwaniach czasoprzestrzeni, czarnych dziurach, że jest sparaliżowany tym kompletnie. Teoretycznie więc, najsilniejszy ze wszystkich, w praktyce, najslabszy. Używa jedynie standardowych mocy: lasera i pola siłowego. Ale jak się go przymusi, żeby jakoś spróbował sterować cykaniem zegara, to po nieudanych próbach zostaje taka zielona substancja, płynny czas.

— Czyli to jest taka jakby jego krew? Krew potwora?

— Potwory nie mają krwi, ani mózgu, ani żadnych organów wewnętrznych. To taka żywa materia. Bardziej to jako pot. Pot potwora. Co się wykrzywasz, chciałaś wiedzieć, to wyjaśniam. — Zwróciła się do Tymka. — A Chronos też potrafi latać, jak nadal chcesz, to z chęcią zabierze cię, do królestwa smoków. I specjalnie założy siodło.

— Zielony smok, to nie smok, ja chcę czerwoneeeeegoooo.



Sala bankietowa nie miała dachu, ciepła noc i lekki wiaterek orzeźwiały gości. Chmury zaczęły się przeredzać i niedługo miał wyjść księżyc. Moj-

mira po spróbowaniu wszystkich dań zaczęła żałować, że nie dopchała się do tortu, ale pocieszała się tym, że na pewno nie był lepszy, niż niektóre kosmiczne przysmaki, jakie miała okazję skosztować na swoich misjach. Wtedy też zauważyła, że ludzie zaczynają się dziwnie rozglądać na boki. Podszedł do niej Chronos.

— Mojmira, czy to normalne u ludzi? Widzę, że wielu na sali nabrało jakichś niespokojności. Co się z wami dzieje? Co to za anormalność? Wy tłumacz.

— Spokojnie, w sumie. Na pewno nic groźnego. Ja nie czuję nic dziwnego. A czy ty coś czujesz?

— Wszystko czuję. Patrz, połowa ludzi nie potrafi poprawnie tańczyć, przecież dla ludzi tańcowalność jest wbudowana w mózg. To pewno owoce klonu, sprawdź czy nie są roślinami podszywającymi się za ludzi...

— Skończ.

— Księżyc wychodzi właśnie zza niebobrudów. W telepogodoprzepowiadance było to przewidziane dopiero na za dwie godziny, czy to dlatego że za horyzontem szaleje jakieś burzodziwactwo modyfikujące pogodę? Musimy to zweryfikować.

— Proszę.

— Albo celowo źle nam oznajmili pogodę, pewnie mają w tym jakąś mordochęć. Lecimy to potwierdzić.

— Przestań.

— Racja. Za dużo teorii spiskowych. Pewnie po prostu ludziopaliwo jest zatrute. Nie dotykałaś, mam nadzieję, niczego co leży na stołach? Ani nie wąchałaś? Ani nawet nie podchodziłaś do nich? W rakiecie mamy sporo bezpiecznych ludzkoębowkładów, specjalnie aby nie jeść niezweryfikowanego.

— Dość.

— No więc dlaczego posiadasz brak wiedzy na temat tego, co się tu aktualnie dzieje? Agent ALOPP musi być zawsze czujny, niespodziankośmierć czyha wszędzie. Może ktoś wypuścił coś do powietrza?

— Jedzenie nie jest zatrute. Zjadłam trochę wszystkiego, co tu leży i nic mi nie jest.

— To koniec. Trujomateria o zwolnionym zapłonie, to ostatnia godzina twojej egzystencji, zaraz skrócę ci męki, nadstaw tętnicę.

— Chronos! Koniec! Czemu ze wszystkich potworów akurat wy dwaj, musieliście ją uratować? Nie mogę was znieść. Nic poważnego się nie dzieje. Jeden panikuje, drugi kroi dzieci. Ludzie są niespokojni, tak, ale przecież jedli to samo, co ja. Poza... — Mojmira odwróciła się w kierunku środka sali — tortem.

— Zatruty tort, klasyczne.

— Nie śmiej się, to poważne. To mogłoby się zdarzyć, na sali jest wiele ważnych osobistości. Doskonałe miejsce na zamach.

— A dlaczego dowiadujemy się tego godzinę po tym, jak ów tort zniknął w jedzeniówkach ludzi, których masz za zadanie chronić? Słucham? Czemu od początku nie spacerujesz z omnimetrem, nie testujesz wszystkiego pod kątem każdej śmiertelności?

— Nie spodziewałam się, zaprosili nas jako gości, uznałam że wszystkiego pilnują. Poza tym, ten tort tak szybko zniknął, nawet nie było się jak mu przyjrzeć. I hej, jestem od niedawna w ALOPP, jeszcze nie mam doświadczenia.

— Musimy ewakuować ludzi, brudny tortopodpieracz nadal emanuje śmiercią. To pewnie trucizna lotna.

— To się nazywa patera. Naucz się polskiego. Torty podaje się na paterach! Bycie kulturalnym człowiekiem... potworem, polega na rozróżnianiu wszys...

— Patera, ciastobaza, nóżkotalerz, podcukrogrzybek, deserotrzymadło. Co za różnica. Nie znam się na sztucologii, potwory nie używają paterów.

— Paterek.

— Idź już.

Mojmira wyciągnęła omnimetr i jeździła nim po resztkach ciasta, ale nie wykrył on żadnej trucizny, poza nieprawdopodobną ilością cukru. Jednak to nie uspokoiło wcale Chronosa. I Pyrroq się zaciekał.

— Uniwersalność. Sprawdzaj zawsze uniwersalność. O ile trucizny są tylko na ludzi, to uniwersalność jest łatwozabijaczem dla całej Ziemi.

Wyciągnęła miernik uniwersalności i wypuściła zaraz z ręki, gdy wskazał wartości spoza skali.

— Uniwersalność, więc tak zginiemy. Zawsze to podejrzewałam. To konieczne. Nie. To gorzej. Nieprawidłowomateria spoza naszego świata, jest obok nas i w ludziach wokół. Sztuczny wytwór, łamiący dowolne prawa fizyki, znowu trafił na Ludziokulę. Wszystko może się zdarzyć, wyrosną wszystkim dodatkowe kończyny, a potem te kończyny zmieniają się w koniczyny, rzucają się na nas i przywołają armię nożyczek, która wytnie wszystkie okoliczne drogopokazywacze w śnieżynki. A te z kolei zaczną się obracać, jak dyskopiły, i założą swój własny biznes tartaków, zniszczy on gospodarkę kraju i zmusi ludzi do rzucenia się z głodu w ocean, ale oni nie będą mogli wodoodetchnąć, gdyż podmorskie lawapluje, zasilane wiatrem z krów, które zjadły za dużo koniczyny, podniosą dno morskie i...

— Czy możesz wreszcie przestać?

— Przestać? Ale przecież tak właśnie działa uniwersalność. Magia, dowolnobyty, nieposkromienie, łamanie praw fizyki. Wszystko. Wszystko. Wszystko.

— Chronos ten jeden raz ma rację, Mojmiro. — Pyrroq był podejrzenie spokojny. — Uniwersalność nie ma granic. Żadnych. Już pominę że sam zjadłem całkiem sporo tego tortu. Cóż, nie sądziłem że tak zginę. Ale uniwersalność to nawet zabawna śmierć, nie boję się. A jak i tak wszyscy niedługo umrą, to może, ach, może w końcu będę mógł bezkarnie mordować!

— Co oczoląpisz? Powiedz! — Chronos potrząsał Pyrrokiem.

— Sam nie wiem, wydawało mi się jakby ludziom rozpraszało się lekko ubranie. A jak chciałem podejść, to wszystko wracało do normy. Panna młoda miała dłuższą suknię, tamten gość był jakiś większy, a ten dostał wisiorek na szyi. To się działo przez chwilę, a potem zniknęło. Lepiej sprawdź tym miernikiem, co było źródłem. Może ktoś, czegoś w kuchni dosypał? Celowo, albo i nie.

Mojmira machała miernikiem na wszystkie strony. W kuchni nie było niczego groźnego. Był jednak cienki szlaczek na podłodze, który szedł do leżącego pod stołem, małego kamyczka.

— Och. Czy to możliwe? — Pyrroq się zastanowił. — Pamiętacie, jak do tortu wpadła rakietka? To nie była rakietka, tylko meteoryt. Ten właśnie kamyczek, znalazłem go w swoim kawałku... znaczy piętrze i wyrzuciłem w cholerę.

— Dotykałeś uniwersalności! Nie zbliżaj się! — Chronos schował się za Mojmirę.

— Chodźmy na zewnątrz. — Mojmira rozejrzała się po ludziach, którzy przyglądali się, zwabieni rykami Chronosa. — Dlaczego nie powiedziałaś? To nietypowe, meteoryty nie wpadają na Ziemię do tortów, jak muchy do zup.

— Nie? Myślałem że jak latają po kosmosie, to trafiają w planety i nie zawsze się palą w atmosferze. Mogą wtedy wpadać w różne, dziwne miejsca. I że to się zdarza cały czas.

— To się zdarza bardzo rzadko, a ich prędkość rozwaliby cały tort, razem z paterą, stolikiem i kawałkiem podłogi. Ale to uniwersalność i nie musi słuchać się fizyki.

Mojmira ukradła szczypce z sałatki i podniosła nimi meteoryt. Wyglądał jak całkowicie normalny kamyczek, z tym że stawiał dziwny opór w trakcie ruchów. Trzeba będzie go dokładnie zbadać i wymyślić sposób na neutralizację.



Byli akurat na zewnątrz, nad stawem, i obgadywali plan działania. Pyrroq formował płaskie bomby, a potem puszczał nimi kaczki, pomagając sobie mocą zdalnej manipulacji. Na końcu eksplodował je pod wodą, w majestatycznych wybuchach.

Wtedy zza chmur wyszedł księżyc w całej okazałości, razem z gwiazdami. Zbiegło się to z krzykami ludzi na weselu. Uniwersalność reagująca na światło serokuli? Chronos miał obawy. Lecz Mojmira stwierdziła, że równie dobrze może być to zależne od fal grawitacyjnych, powstałych przy zderzeniu się jakichś czarnych dziur, akurat będących w pewnej odległości lat świetlnych, równej liczbie ziarenek piasku w doniczce z tulipanem, w jakimś domu o adresie będącym liczbą pierwszą, i na ulicy pamięci człowieka, który umarł w 1966 roku. Chronos pogratulował Mojmirze, że zaczyna rozumieć, na czym polega uniwersalność.

Szli szybko, z powrotem do drzwi, gdy wypadła z nich panna młoda, ścigana przez mały tłumek.

— Pokaż tę suknię, jest taka piękna.

— Muszę się przyjrzeć tym świecącym diamentom.

— Czy to białe złoto, oplecione platyną?

Aby uratować pannę młodą, Pyrroq zrobił to, w czym był najlepszy. Tupnął łapą, ryknął i wystraszył wszystkich z powrotem, aż jeden się przewrócił.

— Nie, proszę, nie zjadaj mnie! Nie nadziewaj mojej głowy na swoje kolce! Nie chcę dołączyć to twojej kolekcji! — krzyczał.

— O czym ty mówisz? Przecież on nie mógłby niczego bolcoprzebić na swoje ciało, bo ma półkoliste kolce — zdziwiony Chronos odpowiedział. — Zobacz, przecież nie ma żadnej kolekcji ludziomózgokulek.

— Czego? — Wystraszony gość wstawał. — Jak to nie ma tych głów! Jest wielki, brudny i śmierdzący. Pokryty zaschniętą krwią swoich ofiar. Ma wielkie szpikulce na całym ciele, na które powbijał głowy tych, których zjadł! Jeden, dwa, trzy... sześć wyschniętych czaszek, dziecięcych. I ten błysk śmierci w oku. Zabije mnie i całą moją rodzinę, w męczarniach.

— Chyba za dużo wypieś. Ja nie widzę w nim nic z tego, co opisujesz.

— Mojmira podeszła do niego, żeby pomóc mu wstać, ale sam się uwinął szybciej i uciekł. — Czy ta uniwersalność polega na tym, że ludzie widzą... Pyrroq! — Mojmira aż się przewróciła w tył, tak samo jak gość. — On miał rację, patrząc stąd jesteś przerażający! I obrzydliwy.

— O co chodzi, ja nadal widzę go normalnego. — Chronos nie dowierzał.

— Czyli ma to związek z odległością?

Mojmira wstała i zaczęła powoli podchodzić do Pyrroqua, którego kolce z każdym krokiem stawały się coraz mniejsze. Zaschnięta krew znikła, a czaszki parowały. Będąc na wysokości Chronosa, widziała już dawnego potwora. Ale postanowiła iść dalej. Wtedy ponownie zaczął się zmieniać. Tym razem porósł futrem, półkoliste już kolce zmieniły się z ostrych noży na pluszowe. W końcu go dotknęła. Nie był twardy i kanciasty jak zwykle, a miękki i przytulaśny, i do tego ciepły, co było dziwne, gdyż potwory są zmiennocieplne. Ścisnęła go.

— Weź przestań. Nie jestem pluszakiem. — Pyrroq zaczął ją delikatnie odklejać od siebie. — Sama słyszałaś, jestem groźny i noszę czaszki zjedzonych dzieci na kołcach.

— Rzeczywiście, jesteś dzieciościskakiem. — Chronos także podszedł do niego. — Mojmira, nie wtulościskaj się do uniwersalności, na miłość Boską. To wygląda na jakąś zależność od odległości, z której aktualnie oczolapiemy. Ani ja, ani Mojmira, nie zjedliśmy tortu, ale nadal widzimy zmianę wyglądu Pyrroqua, który zeżarł cały tortosegment.

— To nie tylko wygląd, ja czuję rzeczywiste futro. I czułam także jego smród z daleka. A ty, Pyrroq, widziałeś jakąś zmianę w nas?

Pyrroq zaprzeczył. A potem spojrzał na przestraszoną pannę młodą, stojącą na małym półwyspie. W tej nienaturalnie uniwersalnej sukni wyglądała absolutnie kosmicznie. W świetle księżyca jej ubiór mienił się, prezentując wszystkie odcienie bieli. Tysiące diamentów, każdy dokładnie oszlifowany i wpleciony pomiędzy jedwabne nici, od jedwabników karmionych jedynie kwiatami paproci. Na tle czarnej wody wyglądała jak słowiańska bogini. Jak zaklęty łabędź, albo tajemnicza zjawą. Jej welon, targany przez wiatr niczym rosa na pajęczynie, zostawiał w powietrzu srebrny pył. Poświata sukni była tak jasna, że można było przy niej czytać. Odbicie w wodzie wręcz przestało się marszczyć, aby tylko nie skalać wyglądu postaci. Wokół latały świetliki i dopełniały wspaniałości.

Jednak Pyrroq, Chronos i Mojmira widzieli wystarczająco dużo skarbów wszechświata, żeby nie rzucać się bezmyślnie na białe złoto, oprawione platyną, jak robili to przed chwilą goście. Podobnie, jak to było z Pyrrokiem, podchodzili do niej, a jej suknia gasła z każdym krokiem. Z bliska nie miała na sobie żadnej sukni, a jedynie proste ubranie. Całkowicie niepozorna, szara myszka.

— Czy ktoś mi wytłumaczy, co tutaj się do cholery dzieje? To wasza sprawa? — zapytała.

— Nic szczególnego, jedynie najgroźniejsza forma materii we wszechświecie przez przypadek wpadła do weselociasta i zatrwała wszystkich gości, tak że widzą iluzjobyty — Chronos odpowiedział.

— Próbujemy ogarnąć, jak działa. Sytuacja jest poważna, ale jeszcze nikt nie umarł, więc mogło być gorzej. — Mojmira patrzyła to na szarą myszkę, to na krwawego mordercę w oddali. — Wiemy, że patrząc na osobę, która zjadła trochę tortu, widzi się trzy różne rzeczy. Pyrroq z daleka jest wściekłym mordercą, ze średniej odległości normalny, a z bliska słodkim kotkiem. Ty natomiast z daleka nosisz nieprawdopodobną, diamentową suknię, ze średniej odległości jesteś ubrana w twoją zwyczajną suknię ślubną, a z bliska, nosisz bardzo niepozorne ubranie. Coś musi łączyć te trzy rzeczy.

— Pyrroq, chodź tu i pomóż nam! — Chronos zawołał. — Nie stój tam

i nie sercozawalał ludzi.

— Mnie nie przeszkadza. Jest dobrze. — Patrzył na lustra zdobiące zewnątrz sali i robił groźnie pozy. — Poradzicie sobie beze mnie. Na co wam bezużyteczny kociak. I zawołajcie kilku gości, niech się przestraszą.

— Byłam w sali bankietowej, gdy to się zaczęło, ludzie otrzymywali góry pieniędzy, kobiety, samochody. Ale zawsze, jak podchodziłam bliżej, to wszystko znikało. Zmieniało się w coś odwrotnego. Te osoby, które dobrze znałam, one z bliska zmieniały się w... siebie? Prawdziwych siebie. — Panna młoda wpatrywała się w swoje odbicie w wodzie. — Zawsze chciałam mieć niewyobrażalnie doskonałą suknię ślubną, ale w głębi duszy... chyba właśnie jestem takim nikim w szarych ubraniach. Trzy odległości. To jacy chcemy być, to jakimi widzą nas inni i to jacy jesteśmy wewnątrz.

— Czy może być to aż tak proste? — Mojmira się zastanowiła. — Wiem, że Pyrroq chciałby być taki, taki obrzydliwy, budzić postrach. A jednocześnie jest aż za dobry wewnątrz i do końca nie skrzywdzi nikogo. A to całkiem logiczne, że chcąc mieć diamentową suknię, wewnątrz, wybac mi, wcale nie jesteś diamentowa. Uniwersalności pokazującej pragnienia i wygląd serc jeszcze nie spotkaliśmy.

— Wszystko to nieprawda. To, jacy chcemy być, nie ma znaczenia, bo i tak nigdy się to nie stanie. Nigdy nie będę mogła kupić sobie takiej wymarzonej sukni i nosić gigantycznych diamentów, a przecież biedna nie jestem. Marzenia nie mogą przyćmić naszego aktualnego życia, gdyż nigdy nie marzymy o realistycznych rzeczach. Suknia, której nie da się wyprodukować, samochody niespalające paliwa, doskonałe żony i dyplomy uczelni bez przykładania się do nauki, ludzie o tym marzą, ludzie tego nie mogą dostać. — W odbiciu luster jej sukni zaczęła marnieć i się rozpadać.

— Ale nie tym razem — Chronos odpowiedział — wszystko to się dzieje naprawdę. Uniwersalność rządzi się własnymi prawami. Tutaj wszystko jest możliwe. Czujesz słodki zapach śmierci Pyrroqua? Zobacz, na trawie został jeszcze srebrny pył z twojej wstążkoczapki. Zdejmiesz suknię, przejdiesz kawałek i nadal tam będzie. — Chronos zdjął polem siłowym czaszkę z kolca Pyrroqua i przyciągnął ją do siebie. — Dziewczynka, pięcioletnia, jeszcze żyła, gdy przebijano jej głowę. Możesz ją palcokontaktnąć, możesz jej doświadczyć, nie jest żadną iluzją. Poza tym. Czy nie dałoby się wyprodukować takiej sukni atomolącząc ją w jakimś teleporterze? Albo podobnie zmienić ci mózgoosmiornice w głowie, abyś zdobyła potrzebną wiedzę bez chodzenia na uczelnię? To, co dziś wydaje się niemożliwe, często może być uzyskane w przyszłości. Zapewniam, że dawno temu ludzie marzyli o niestworzonych rzeczach, całkowicie normalnych dzisiaj.

— No właśnie. Zawsze marzymy o rzeczach dla nas aktualnie nieosiągalnych. A kiedy jednak jest okazja do spełnienia arcymarzenia, to okazuje się

jakąś sztuczną uniwersalnością. — Na te słowa panny młodej, Chronos wypuścił z rąk czaszkę, przypominając sobie swoją awersję do uniwersalności. — Suknia może i będzie mogła być ubrana, ale co dalej? Jeśli akurat się zdarzy, że nie będzie powodowała jakichś kłótliwych efektów, to co ze mną? Jeśli będę miała suknię, to będzie koniec. Największe marzenie spełnione, pora umierać. To właśnie dążenie do sukni trzyma nas przy życiu. Spełnienie najwyższego marzenia, koniec drogi. Nacieszysz się nim dzień, a potem ono uświadomi cię, że nie masz już w życiu celu. Wesele nie może wiecznie trwać, nie ma nieskończonej ilości dróg do jazdy supersamochodem, a dyplom nie służy do powieszenia na ścianie. — Odbicie w lustrze przedstawiało makabryczną pannę w sukni zjedzonej przez mole. Ale jej bliski wygląd wracał z szarej myszki do normalności.

— Ale jeśli nasze najwyższe marzenie nie może być nigdy osiągnięte, to po co żyć? — Mojmira nie płakała.

— Po to, żeby zastępować je mniejszymi. To nas pociąga do działania, nie sam główny cel, ale pomniejsze. Nie można mieć diamentowej sukni, ale można mieć mniej magiczną. Można mieć bardzo ładną, normalną suknię. Taką, jak ta.

Diamentowa suknia w odbiciu rozpadła się zupełnie, a ubranie myszki ewoluowało do standardowej sukni, jaką panna młoda początkowo nosiła. Mojmira przyłożyła do panny miernik uniwersalności, który teraz wskazywał całkowite zero.



Już nikt nie krzyczał. Ludzie stali w równej odległości od siebie, patrzyli w lustra i na siebie nawzajem, robiąc dziwne ruchy. Każdy podziwiał swoje odbicie. Panika się skończyła. Była jedynie martwa cisza.

Nikt nie zwrócił uwagi na pannę młodą, która była jedyną ruszającą po sali postacią. Chronos i Mojmira patrzyli z okna, jak jej idzie. Sunęła w swojej sukni przez surrealistyczne widoki nierealistycznych postaci, skąpanych w świetle księżyca. Wysunęła się zza sportowca, obwieszonego medalami z olimpiady ze wszystkich dziedzin, zwłaszcza tych które odbywały się jednocześnie. Przejechała ręką po karoserii termojądrowego samochodu sportowego, swojego wujka. Doszła do wielkiej góry mięśni, która była bardziej szersza, niż wyższa, i kilkukrotnie dłuższa od potwora. Wszyscy bohaterowie komiksów złączyli razem. Postanowiła jednak przejść przez sam jej środek. Mięśniak rozmywał się pod obecnością panny młodej, w centrum zobaczyła chudego patyczaka, nie rozpoznała który to był z gości. Jej stryj siedział na kupie papierów i coś pisał, wszystko to były badania medyczne i przepisy na lekarstwa do leczenia każdej choroby. W oczy rzucił jej się dokument leczący

uniwersalność, dokument leczący samego siebie. W końcu jej siostra Magda, z bliska nie wyglądała niezwykle, ale panna wiedziała, jaka będzie z daleka. Odchodziła, a u stóp siostry wyrastała mównica. Magda pozdrawiała swoich wyborców. Widziała swojego ojca, jak obraca jej nowego męża na ruszcie nad ogniskiem. Sama czasami z chęcią by to zrobiła. Nagle z powietrza wyłonił się jej kuzyn. Niczym upiór z mgły. Ale gdy przeszła bliżej, zniknął ponownie. Depresja. Mały Tymek bawił się klockami i całkowicie nie zważał na to, co się dzieje wokół. W żaden sposób także nie zmieniał się pod wpływem odległości. W końcu doszła do końca sali. Pan młody spoglądał na lustro. Zobaczyła w nim samą siebie. Drugą siebie. Weszła w swoje odbicie, a jej mąż odwrócił się i uśmiechnął. Powiedział, że szukał jej wszędzie, aż zobaczył jej postać w lustrze i nie mógł oderwać wzroku. A może niektóre marzenia rzeczywiście mogą być prawdziwie spełnione? Trzy osoby i potwór, została jeszcze reszta gości i drugi potwór.

Anastazja miotła się po sali.

— Tego nie ma naprawdę, nie istnieje. Nigdy nie wygrasz całej olimpiady, to niemożliwe. A nawet jeśli byś wygrał. Jakim wrakiem człowieka się staniesz? Umrzesz rok później. — Medale odpadły i potoczyły się po podłodze. — Wujku, nigdy nie będziesz mieć samochodu na wodę. A nawet jeśli. Ile by ważył? Gdzie byś go bezpiecznie parkował? Kto by go naprawiał? Przecież nawet nie ma porządnej drogi z waszego domu do miasta. Gdzie byś nim pojechał, mając radioaktywny tokamak pod maską? Pewnie prosto do kostnicy, cięższy o całe mnóstwo dodatkowych neutronów, przewoziliby cię w pudle do radioaktywnych odpadów. — Wujek zamrugnął, wyprostował się. Samochód zmienił się w jego własnego poloneza i zniknął. Już sześć dusz. — Siostrunio, wybacz. Ty akurat nigdy nie będziesz rządzić krajem. I nie dlatego, że nie będziesz umiała, a dlatego, że ludzie są za głupi, aby zaakceptować twoje odważne zmiany. Jak myślisz, jak zareagowaliby wyborcy na twój pomysł tego dziwnego, wspaniałego prawa, o którym mi ciągle tyle opowiadasz? — Mównica przewróciła się z łoskotem. Siedem. — Wasze marzenia nigdy się nie spełnią tak, jak tego oczekujecie. — Osiem. — Po spełnieniu ich i tak byście żalowali. — Dziewięć. — Nie da się, nie możesz, nie zrobisz. — Wszyscy.

Mojmira i Chronos powoli podchodzili do Pyrroqua. Jego kolce zmniejszały się tak, jak wcześniej.

— Dlaczego uważasz, że nie jesteś dość groźny? — Mojmira zapytała.

— Bo ciągle słyszę, jak to mało spiczasty jestem. Małe dzieci wolą mieć na mnie przejażdżkę, niż uciekać z krzykiem. „Ha, ha, Pyrroq. Twoje kolce wyglądają, jak noże do pizzy.” Ile razy to słyszałem.

— I tak, jak pizzotnarkami, jesteś w stanie nimi obracać i ciąć wszystko z chirurgiczną doskonałością — Chronos opowiadał. — A do tego jeździć, jak

na kółkobutach. Każdy z nas jest w czymś lepszy, a w czymś gorszy. A ja? — Westchnął. — Ciągłe mi dźwiękoprzekazują. „Jesteś najbardziej bezużytecznym potworem ze wszystkich.” „Jak można bać się używać własnej mocy?” „Co to znaczy, że nie umiesz cofnąć czasu i uratować mu życia?” „Szkodzisz nie tylko sobie samemu, ale nam wszystkim.” „Sam potrafię bardziej nagiąć czasoprzestrzeń magnetyzmem, niż ty dedykowaną zdolnością.” „Prędzej wynajdziemy wehikuł czasu, niż ty sam nauczysz się używać własnej mocy.” Ile razy już to dźwiękoodbierałem.

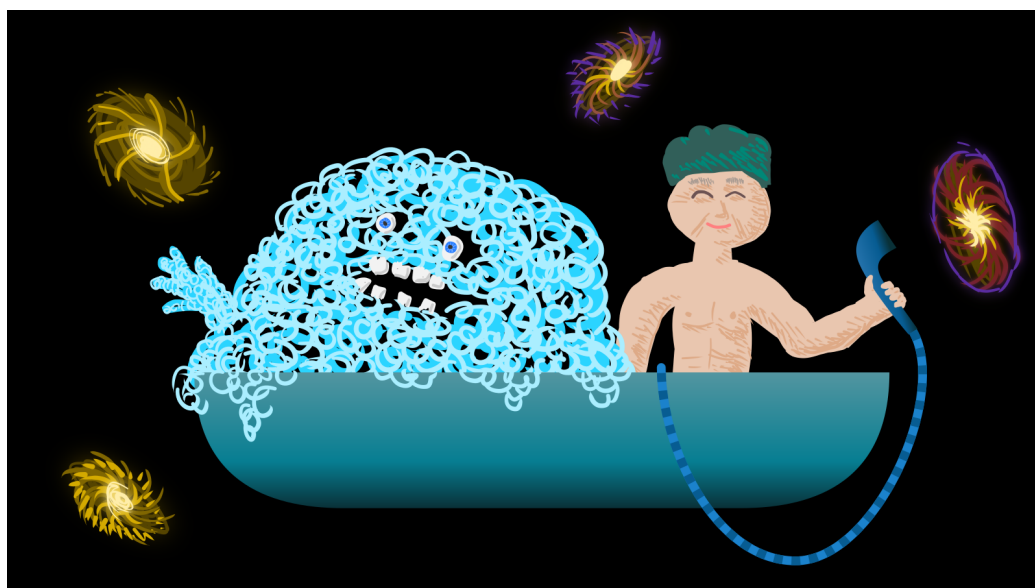
— Widzisz? Obaj nie jesteście doskonali i nigdy nie będziecie dokładnie tacy, jacy chcecie. — Mojmira jeszcze bardziej się zbliżyła. Spiczaste kolce zniknęły zupełnie. — Ale czy to powód, żeby nie mieć w ogóle marzeń? Zapewniam cię, Pyrroq, że większość kosmitów trzęsie się na wasz widok ze strachu. I nie ma znaczenia wygląd, wasza zła sława niesie się wszędzie i działa znacznie potężniej, niż jakieś igły. Wiesz, Tymek nadal czeka na swojego czerwonego smoka. — Mojmira ostatecznie ścisnęła Pyrroqua. Był zimny, twardy i kanciasty. Taki, jak zwykle.

Goście po tej przygodzie na pewno nie chcieli kontynuować wesela. Wszyscy, z wyjątkiem najbliższej rodziny Anastazji, pakowali się do odjazdu. Ale czy wesele okazało się klapą? Ludzie powyciągali lekcje z tej przygody, co jest znacznie ważniejsze, niż dotańczenie tańca do końca.

Opowiadanie 6

Bankiet w Kuli

Wioska jest atakowana przez literackie demony. Tylko dzielny, acz niedoświadczony wojownik, jest w stanie je pokonać, używa do tego swojego miecza kreatywności i worka z alternatywnym wszechświatem. Tworzy zagnieżdżoną historię o kulistych UFO, jaszczuropolodopodobnych bestiach i pancerzach wspomaganych.



Gdy tylko czubek głowy Kryminalisty wyłonił się zza gór, odpalono armaty załadowane gorącym atramentem. Katapulty wystrzeliły litery, a papierowe samoloty wzniosły się w przestworza. Wszystko na darmo, gigant ani drgnął.

Wojownicy z fantastycznej wioski, uzbrojeni w pióra i kałamarze, ruszyli do boju. Atakowali wroga, używając całego swojego leksykalnego przeszkolenia. Opowiadania cyberpunkowe, fantasy i fantastyka naukowa cięły powietrze. Surrealistyczne horrory, algorytmicznie wygenerowane wiersze i skrypty filmowe rozбивały się o jego ciało. Jednak niewzruszony Kryminalista pozostawał niewzruszony. Stał przed zabudowaniami i wysypał z rękawa, niczym wytrzepując piasek z buta po całodniowym siedzeniu na plaży, dziesiątkę straszliwych demonów. Jego posłańcy mieli za zadanie usunąć z powierzchni ziemi ostatni bastion fantastyki. Przyszłość należała do romansideł, kryminałów i książek podróżniczych. Wszystko, co nierealne, musi umrzeć! Demony użyły czarnych mocy przekupywania właścicieli sklepów, aby wciskali sekcje fantastyczne w mało widoczne miejsca. Było to super efektywne, żadne kolorowe okładki tu nie pomagały. Nikt z obrońców nie przeżył, wieś stała się bezbronna.

Ale jak to w baśniach zwykle bywa, znalazł się młody syn doktora — Klekisław Złamane Pióro. Wolał o sobie mówić „Złamana Klawiatura”, bo jako jedyny w całej wiosce używał komputera i \LaTeX a, zamiast analogowo pisać po papierze, lub co gorsza, w Wordzie. Trochę ułomny językowo i bez jakiegokolwiek doświadczenia, postanowił zginąć dzisiaj w walce. Nie miał, jak wszyscy, zbroi, pióra, czy zapasu atramentu. Posiadał jedynie szklany miecz, wypełniony płynną kreatywnością, dmuchawkę z serum śmiechu, unixalne buty i worek z alternatywnym wszechświatem.

Najbliższa demonica, Nowia, dostała otwartym jądrem unixalnego buta prosto w zadek i nawet nie poczuła tego subtelного ataku. Dopiero środek rozśmieszający, wstrzyknięty centralnie w szyję, zwrócił jej uwagę. Wtedy Klekisław sięgnął do swojego worka i wyciągnął... rzecz. Księżycowa postać popatrzyła na zagubionego wojownika, to na dziwny przedmiot, to znowu na wojownika. Zamrugła, nie rozpoznając zupełnie, co to jest i czy się tego bać. Ostatni pisarz też obracał w dłoni i oglądał znalezisko z każdej ze stron, ale i on nie wiedział, co właściwie właśnie wydobył. Wywalił cosiowość za siebie i spróbował ponownie.

Po kilku minutach wyrzucania różnych, nieokreślonych obiektów ze workowego źródła alternatywności, spostrzegł że grupka demonów go otoczyła i z zaciekawieniem obserwuje jego zmagania z samym sobą. Nie umiał używać własnego wszechświata. Co za dzban. Postanowił więc wykonać swoją powinność w tradycyjny sposób, zamachnął się i wbił miecz w najbliższego sługę Kryminalisty, że ten aż odskoczył z bólu. Stare, sprawdzone metody zawsze działają. Niedługo cieszył się z sukcesu, zaraz wszystkie straszdyła razem wzięły głębokie wdechy i dmuchnęły w niego strumieniem przecinków — jego największą słabością. Śmiercionośna chmura przypominała bożonarodzeniowy śnieg, lecz przynosiła ze sobą same różgi.

Pierwszy lecący znak interpunkcyjny ominął, podskakując na powłoce butów, niczym akrobata nad wanną krokodyli. Drugi skontrolował kreatywną broń, jak kucharz rozplątujący marchewkę na pół. Trzeci złapał w zęby, korzystając z faktu że w książkach wszystko jest możliwe. Jednak tysiąc kolejnych pocisków odrzuciło go na kilkaset metrów w tył. Upadł obolały w błoto, po przeciwnej stronie wioski, nad którą chyba właśnie przeleciał. Jakimś cudem nic sobie nie połamał. Błotne kąpiele podobno dobrze działają na skórę. Lecz to nie był koniec kontrataku, spadający błąd ortograficzny prawie rozciął bohatera na pół, Połamaniec zdążył wykonać unik, lecz przez przypadek puścił szklaną broń. Pękła na gadzilion drobnych kawałeczków, zmiażdżona przez spadające „ó”. Kreatywność wsiąkła w mokry grunt, tworząc nowe królestwo ziemnych mrówko-androidów, zasilanych parą z wody basenowej po lekcjach aqua-aerobiku.

Niedoszły bohater był teraz bezbronny, niczym cenna starożytna waza, na której wystawę wpuszczono wycieczkę przedszkolaków. Tak bezbronnym człowiekiem żaden z demonów się już więcej nie interesował. Pisarz wstał i zobaczył, jak jego osada jest równana z ziemią. Cień wielkiego Kryminalisty, wychylającego się zza góry, wyglądał jak dłoń dziecka, które zgarnia klocki z dywanu, aby je zaraz obślinić i połknąć. Czy to był już kres jego egzystencji i wszystkiego co znał? Czy nudne opowiadania o ziemskich morderstwach wyprą absolutny świat wszystkiego?

— Nie, to nie miało się tak skończyć. — Sięgnął po worek. — Ja tu jestem pisarzem i to ja ustalę epilog.

Wtedy jego unixalnym butom wyrosły śmigła, wspomagane programem w C, i poniosły go prosto pod nos Nowii, zostawiając za sobą otwartoźródłowy ślad. Zaciekawiona demonica rozpoznała niedojdę. Tego samego niedojdę. Pamiętała że wcześniej go zmiażdżyła. Kleksław nie miał już żadnej broni, tylko swój wór. Zajrzał do środka i długo nie wyciągał ręki.

— Mam coś specjalnie dla ciebie, Księżycu będącym tak blisko Słońca na niebie, że aż niewidocznym za rozpraszającą światło atmosferą.



— Kolejny dzień w pracy, kolejny dzień wykonywania bezużytecznych czynności dla bezużytecznej korporacji w tym bezużytecznym świecie — pomyślałem.

Wziąłem komórkę i zacząłem przeglądać maile. Kupa elektronicznej poczty czekała na spuszczenie w wirtualnym sedesie. Spam z reklamą talerzy, zaproszenie do znajomych na Facebooku, oczywiście od obcej osoby, powiadomienie o komentarzu na YouTube, uwaga o mailu na innej skrzynce emailowej, przypomnienie o opłacie za subskrypcję tej bezużytecznej gry komputerowej

i tysiąc innych bezużyteczności. O, znowu rozpętałem gównoburzę na Mirko i zablokowali mi konto Twittera za niepoprawną politycznie myślozbrodnię. Bezużyteczność do kwadratu.

Z nadmiaru bezużyteczności zdrzemnąłem się w ubraniu, na godzinę. Obudziło mnie głośnie gruchanie z okna. Czyżby jakaś użyteczność w końcu mnie spotkała? Na oknie siedział biały gołąbek, w dzióbku trzymał kopertę. Było to tak abstrakcyjne, jak literacka wojna w wiosce pisarzy, wojna na średniki i znaki interpunkcyjne. Nie będąc pewnym, czy nadal nie śnię, odebrałem przesyłkę i przyjrzałem się żółtawemu prostokątowi. Ptasi listonosz chwilę potem zniknął, oddalając się bezszelestnie.

Całość była wykonana z papieru czerpanego. Adresowana była elegancką kursywą do mnie, do Mateusza Mechalcznego, zamieszkałego na ulicy Szerokiej w Gdańsku. Województwo Pomorskie, Polska, Ziemia, Układ Słoneczny, Galaktyka Droga Mleczna, Gromada Lokalna, Czwarta Kwadra. Z tyłu widniała pieczęć z wosku pszczelego, wypukły obraz kuli i jakiś napis z niezrozumiałych znaków. Przecież był 2017 rok, kto dzisiaj wysyła papierowe listy, zamiast maili? Zatem to był kawał. To musiał być kawał. Pytanie jeszcze, po co ktoś mi go wyciął?

Ostrożnie otworzyłem prostokąt, trzymając go obcęgami, spodziewając się że coś strasznego z niego zaraz na mnie wyskoczy. Nic takiego się jednak nie stało. Pisany odręcznie list był tym, co zwykle znajduje się w kopertach. Nie, w sumie częściej dzisiaj znajduje się rachunki.

Szanowny Panie Mateuszu Mechalczyku.

Mam zaszczyt zaprosić Pana na uroczysty bankiet z okazji wyboru na jednego z nowych, obiecujących agentów ALOPP. To wielka dla mnie radość, móc gościć ludzi z tej organizacji na pokładzie mojej C. Mam najskrytszą nadzieję, że zostanie Pan przyjęty i będzie mieć Pan we współpracy z D udział w walce o wspólne dobro.

Zapraszam do siebie dnia 14 listopada, roku Pańskiego 2017. Myślę, że marina w Głównym Mieście Gdańsku jest doskonałym miejscem na lądowanie C. Tam się spotkamy w lokalne południe. Po obiedzie wybierzemy się w podróż na Felicję, gdzie pozna Pan swoich przyszłych, mam nadzieję, członków przybranej rodziny.

Przypominam, że w C, oprócz najwyższej kultury osobistej, od zawsze obowiązywał rokokowy styl ubioru. Wszyscy goście powinni przynosić niezwykłą wagę do szczegółów swojego wyglądu. Uprzejmie proszę także, aby nie posiadać na pokładzie żadnych urządzeń użytkujących elektryczność.

Z Bogiem.

— Profesor C

Kilka dziwnych, okrągłych znaków zostało wtrąconych pomiędzy litery. Zaczynało się robić ciekawie. Autor tego dowcipu chciał, abym za trzy dni, w osiemnastowiecznym stroju pałacowym, udał się w sam środek miasta w godzinach szczytu, nie zabierając ze sobą żadnej elektroniki. Potem tajemniczo miałem przejść tajemniczy test na zostanie tajemniczym członkiem jakiejś tajemniczej społeczności. Cóż za tajemnicza tajemnica. Trzeba odtajemniczyć ten tajemniczy list.

Szybkie szukanie Felicji w Internecie wskazało jedną stronę o teoriach spiskowych. Miała być planetką, stworzoną przez kosmitów, na której hodoowano ludzi, aby przeprowadzać na nich straszliwe eksperymenty. Standard. Jeśli to prawda, może zabrakło im tam królików doświadczalnych i porywają kolejne ofiary? Ale wtedy przecież nie dawali by mi wolnej ręki do odmowy.

Na tym samym forum podano: ALOPP jest pozaziemską organizacją terrorystyczną, zrzeszającą Ziemian w celu mordowania mieszkańców własnego globu. Ale od czego był to skrót, to nikt nie wiedział. Brzmiało ciekawie, pomordowałbym sobie niektórych ludzi.

„Czwarta Kwadra” dawała za dużo losowych wyników, aby wywnioskować z nich, o co mogło Profesorowi chodzić. Ale pewnie były także trzy inne... jakieś kwadry.

Lokalne południe w Gdańsku, czyli dwunasta godzina czasu słonecznego, uwzględniając jeszcze czas letni, to trochę przed trzynastą według podziału strefowego. Przyjdę o dwunastej, najwyżej ciutkę poczekam.

Wikipedia natomiast wskazała, że gołębie pocztowe w żadnym wypadku nie mogłyby doręczyć listu bezpośrednio do odbiorcy. Ich mechanika polega na wracaniu do macierzystego gołębnika, z dowolnego miejsca na świecie. I tylko tyle. Zupełnie jak sadełko z brzucha. Listów z pewnością nie wsadzano im do dzióbka, a przywiązywało się je do nóżek. Rozejrzałem się po pokoju, czy przypadkiem nie miałem w nim gołębnika, aby hodować tych lotnych listonoszy, ale nie. Moja teoria o dowcipie zaczęła się lekko sypać. Jej drobinki spadały mi do oczu, co wcale nie było miłe.

Kilka razy, w różnych częściach świata, widziano w tym samym momencie kuliste UFO i ludzi w strojach rodem z Wersalu. I nie było to w trakcie kręcenia jeszcze jednego odcinka Doktora Who. Podobno zdjęcie zrobione kuli nigdy nie wychodziło poprawnie, a większość świadków magicznie zapomniała o zdarzeniu chwilę po odlocie tajemniczej struktury. Nieliczni pamiętali i rozpowiadali to dziwo, ale nikt im oczywiście później nie wierzył. Kulę widywano w niezwiązanych ze sobą miejscach, nie ograniczała się, jak na filmach, tylko do USA, przelatywała przez centra miast, pływała pod wodą, cumowała do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, straszyła samoloty, ślizgała się po biegunowych lodach i toczyła bitwy z wojskami wszystkich krajów Ziemi. Zupełnie, jak w słabej jakości opowiadaniach fantastycznych, pisanych przez losowych ludzi na losowych stronach internetowych.

Następnego dnia zabrałem list do znajomego chemika. Potwierdził on moje obawy, list wykonany był oryginalną techniką sprzed kilkuset lat. Skład chemiczny papieru i atramentu odpowiadał tym, używanym dawno temu. W dodatku narzędzie pisania z pewnością było ptasim piórem. Na myśl o bezużyteczności otaczającej mnie rzeczywistości, postanowiłem pojutrze zrobić coś użytecznego.



Pod naporem nietypowości i kreatywności dzieła, Nowia zaczęła krzyczeć, zwijać się w konwulsjach i palić mrocznym ogniem, jak mrówka na płycie kuchennej. Zmieniła się w czarny, kraterzasty dysk i poleciała, obracając się jak frisbee, z powrotem w kierunku swojego pana.

Triumf pisarza nie trwał długo, za chwilę, od tyłu, złapała go Poszlaka. Jej kosmata ręka owinęła się wokół delikatnego światostwórcy, jak czarny worek na zwłoki. Poczęła go ścisnąć, niczym nawiedzony lekarz mierzący ciśnienie. Zaraz opróżni wnętrze naszego bohatera, jak tubkę pasty do zębów. Wywijając się rybno, Klekisław zanurkował do worka i nieprędko

wyszedł. Demonica przez godziny nachylała się nad otworem, aby capnąć go, jak tylko wystawi głowę. Gdy w końcu coś się wysunęło, porwała to z ochotą. Była to jednak kolejna opowieść, zabójczo eksperymentalna, niesamowicie abstrakcyjna. Nietypowość poparzyła jej łapska.



Mateusz uzyskał wymaganą górę w wypożyczalni kostiumów. Zastanawiał się, czy nie podkraść jakiegoś szustokora z muzeum, ale to chyba nie byłoby zbyt poprawne zachowanie. Bał się, czy mierna jakość kaftana, spowodowana nieoryginalnością, nie będzie zwracać nadmiernej uwagi w świecie najprawdziwszych atlasowych pasów i perłowych guzików. Postanowił kupić więc kilka ozdób ze sztucznej biżuterii, które wyglądały dość kosztownie, a stworzone były z byle-czego, i doszyć w losowych miejscach. Miał nadzieję, że Profesor i inni goście nie zauważą różnicy.

Z pończochami nie było żadnego problemu, znalazł je w damskim sklepie. Tak samo coś, co można było podciągnąć pod starodawną koszulę. Musiała być flanelowa, z wystającymi rękawami. Ogarnął także puder.

Peruka, cóż. Przynajmniej miał trójkątną czapkę piracką z za zakurzonej szafy, jeszcze po poprzednich lokatorach. Najgorzej, że zazwyczaj chodził na łyso, gdyż rodzice nie obdarzyli go mocnymi włosami. Potrzebował więc na szybko przykleić coś sobie na łeb. Liczył w głowie, ile lat może dostać za kradzież włosowej czapeczki sędziemu, gdy spostrzegł wyprzedaż starych futer. Używając magii nożyczek, kleju i starego mopa, wygenerował coś, co po przykryciu jego trójkątnym nakryciem wyglądało dość znośnie.

U zegarmistrza kupił za grosze kopertę zegarka, pustą w środku, z brakującymi wskazówkami, całość zaczepioną na łańcuszku. Mechanizm nie musiał działać, ważne aby otoczka się zgadzała.

O dziwo, to buty przysporzyły mu najwięcej problemu. Niby lakierki z paskami nie są niczym bardzo skomplikowanym, a jednak nikt ich nie produkuje. Może właśnie dlatego, że były modne trzysta lat temu? Wpadł na pomysł, aby kupić coś podobnego i przerobić. Znalazł buty dla zakładów pogrzebowych, gdyż tylko te odpowiednio się błyszczały, i przyszył im klamry od spodni. Z daleka nie było widać różnicy.

W domu ubrał się i przejrzał w lustrze. Przeraził się swojej naiwności. Połączenie Napoleona Bonapartego, Ludwika XIV i informatyka z Gdańska. Muszą zrozumieć.

O jedenastej godzinie, owego wielkiego dnia, wdział pełny strój. Nie mógł się przecież tak pokazać w mieście. Pończochy zatem przykrył spodniami dresowymi. Na elegancki szustokor nałożył nieco za dużą bluzę z kapturem. Stopy wsadził do szmacianych worków, aby błyszczące lakierki nie zwracały zbytnej uwagi. Pseudo-perukę schował do plecaka.

To nie mogło pójść tak łatwo. Z daleka zobaczył kordon policji i wojska, stojący w Zielonej Bramie, niczym gęsty las blokujący drogę do magicznej polany. Blokował wstęp każdemu wychodzącemu z Długiego Targu. Ucieszył się i kamień spadł mu z serca. Oznaczało to, że jednak nie padł ofiarą żartu. Znalazł w końcu promyk użyteczności w oceanie bezużyteczności. Każda normalna osoba, wiedząc że wielka latająca kula-zapominajka wylądowała w centrum miasta, ewakuował by się z niego jak najdalej. Mateusz w każdym razie nie był normalny, i może właśnie dlatego został zaproszony na najbardziej nienormalną ucztę we wszechświecie.

Do mariny spróbował dostać się okrężną drogą, przebiegł przez Krowi Most na Wyspę Spichrzów. Klucząc uliczkami, zbliżył się do portu, niestety, tutaj też była blokada. Widział jedynie kawałek wody w basenie jachtowym, nietypowe fale odbijały się od brzegów, coś się tam jednak działo. Popatrzył smutno w kanał i pomyślał, że chyba pozostanie mu wskoczyć do wody i popłynąć wpław, pod mostem omijając strażników. Ale przecież pewnie nie wpuściliby go mokrego do rakiety. No i co z pudrem, który już sobie wcześniej pieczołowicie nałożył? Głupi. Podziurawią go pociskami, jak durszlak, gdy tylko zobaczą kogoś taplającego się w wodzie pod ich nosami. To był koniec.

Szustokor był bardzo gruby, rozpiął więc bluzę żeby się nie ugotować, już było mu wszystko jedno, czy ktoś go zauważy. Był tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Całość miała prysnąć, jak bańka wypuszczona przez sprzedawcę mydlanego płynu, goniona przez upośledzone dziecko z ADHD, na rynku w centrum turystycznego miasta. Czuł się jak rybka w siatce, wrzucona do oceanu. Zaraz będzie wyraźnie widział swoją straconą szansę, jak w głównej gablocie muzeum porażek życiowych, ustawionej pomiędzy żywiczną statua, a pudełkiem z popiołem. Co robić? Co robić?

Wybawienie przyszło nieoczekiwanie, niczym słabo napisane *deus-ex-machina*. Oto bowiem mama z małą dziewczynką podpłynęły do niego skuterem wodnym, oferując szybką podwózkę. Myśląc, że to pomyłka, zdjął wierzchnie zakrycie, pokazując swój strój w połowie okazałości. Kobieta jednak nie uciekła, nie przestraszyła się dziwaka, tylko się uśmiechnęła.

— Chyba się teraz nie poddasz? — zapytała.

— Skąd... kim...

— Kula miał wielu gości. — Położyła rękę na piersi. — W momencie jak zobaczyłam, że wrócił do Gdańska, wiedziałam. Ktoś może potrzebować pomocy.

— Ja... — Główny bohater milczał przez chwilę. — Ha, ha. Prawie się nabrałem. To niezwykle. Jak wynajęliście żołnierzy, żeby zastawili miasto specjalnie dla mnie? Głupim, przecież to profesjonalni aktorzy.

Tajemnicza osoba przewróciła oczyma, zdjęła swoją córkę na chodnik i zeskoczyła, zawiesiła mu klucze od motorówki na kryształowym guziku i

poszła, nie odzywając się więcej, ciągnąc dziecko za rękę.

Mateusz w rokokowym stroju wersalskim zasuwał na skuterze wodnym kanałem Nowej Motławy, ozdoby szustokora mieniły się w pełnym słońcu tak samo, jak latające wokół niego krople wody i stalowe kule, wystrzelone z mostu przez żołnierzy zabezpieczających lądowanie wielkiej, białej kuli w centrum miasta. Schował się na chwilę pod mostem, jak zagoniony watahą wilków królik w norze, a gdy wypłynął z drugiej strony, wtedy ją zobaczył.

Była gigantyczna, jak budynek, wypolerowana, biała i doskonale kulista. Tak abstrakcyjna, że nawet nie wyglądała na nadmuchany balon. Dołem dotykała lekko powierzchni wody, tworząc promieniste fale. Odbijała w sobie cały Gdańsk. Przybysz ujrzał w niej tyciego siebie na łódeczce-zabawce, malutkie domy, żołnierzyków, spichrze, basenik, niebo, helikopter jak muchę i blask naszej gwiazdy, niczym żarówkę w lampie. Już nikt nie strzelał, już tylko wszyscy patrzyli. I bali się. On się nie bał. Przyszedł tu na bankiet. Przyszedł we francuskim stroju. Przyszedł tu, bo został zaproszony.

Wdrapał się ze skutera na pomost i poprawił perukastą strukturę, wtedy też właz w dolnej części zaczął się otwierać. Tak jak się spodziewał, był to dźwięk szczęku łańcuchów, a nie elektrycznego silnika. Kłapa, jak w małych samolotach, robiła także za schody. Ze środka powiał zapach kurzu, wosku i lekkiej stęchlizny. U dołu rozwinął się elegancki, czerwony dywan. W przejściu stanął On. Nosił strój wspanialszy, niż Mechałyczny mógł sobie kiedykolwiek wyobrazić, tak inny od jego własnego, a przecież z tego samego okresu historycznego. Przy jego ozdobach, sztuczna biżuteria Mateusza, rzeczywiście wyglądała na sztuczną. Jego najprawdziwsza peruka przyćmiła wielkością cały futrzany twór z głowy gościa. Lakierki błyszczały się tak samo, jak jego statek kosmiczny z którego się wyłonił. W rękę trzymał laskę z białą kulką, pomniejszoną wersją tego, co znajdowało się tuż za nim.

— Jestem Profesor Kula. Miło mi pana gościć na moim statku.



Złamana Klawiatura wyszedł z worka, gdy z Poszlaki została już tylko kupka popiołu. Jeszcze ośmiu. Tym razem demony nie bardzo chciały go atakować. Pisarz więc wskazał jednego z nich palcem, niczym sędziego nowo-skazanego na śmierć. Minucja. Pora na mikropomysły. Sięgnął do czeluści alternatywnego wszechświata i od razu złapał to, czego szukał.



— Waćpan Mateusz Mechałyczny, jak mniemam — powitałem gościa. Waćpan Mateusz Mechałyczny ostrożnie, acz żwawo, podszedł, uklonił się, i schował za framugą włazu, znikając przed przeszywającym wzrokiem miasta.

— Proszę wybaczyć mi mój ubiór i maniery, panie Profesorze Kula. — Zniżył głowę ponownie, prawie do ziemi. — Musiałem przedrzeć się przez kordon wojska i ominąć grad pocisków, aby przybyć do pańskiego statku.

— Nazywam się Kula, mości Mateuszu Mechalyczny, nie Kula — poprawiłem, zamykając korbą właz. — A ta kula nosi nazwę Kula. I nie jest jakimś statkiem kosmicznym, a Kulą.

— Kula... — niepewnie odpowiedział.

— Nie Kula, Kula. Moje nazwisko, nazwa tego miejsca, typ urzędnika, i bryła geometryczna. Kula, Kula, Kula i kula. To cztery różne słowa, zupełnie inaczej wymawiane. Zupełnie inaczej zapisywane.

Mój gość podrapał się po głowie, ścierając puder.

— Ignoruj go, on mówi i słyszy na częstotliwościach poza zakresem naszych uszu. — Katarzyna Kosmata zjechała po falistej poręczy schodów i przysunęła do nas, nawet się nie witając. — Jestem Kasia, cześć.

— Droga Katarzyno Kosmata! — skarciłem ją. — Maniery! Niech panna nie prezentuje złego przykładu naszemu gościowi. Panie Mateuszu, mam zaszczyt przedstawić panu...

Gość jednak utopił wzrok w olbrzymiej sukni Kosmatej, nachalnie gapiąc się na każdy jej detal. A już się radowałem, że chociaż on będzie wiedział, czym jest odpowiednie wychowanie. Nadaremnie. Najgorsze w tej sytuacji było to, że ona sama wręcz go do tego zachęcała. Zamiast wyjaśnić, kim jest, zaczęła tłumaczyć skąd i jaka część jej modnego nakrycia pochodzi.

Najpierw zawiesił oczy na jej biuście, wodząc źrenicami to w lewo to w prawo. Najprawdopodobniej podziwiał plecionkę z anielskich włosów, którą obszyta była góra. Niebiańskie włosy są całkowicie przezroczyste, gdy odpadną od właściciela, więc aby stworzyć ten element ubioru, trzeba było najpewniej zbierać je z perłowych podłóg w całym raj, niczym ptak szukający materiału na gniazdo.

— Trafiłam przez to na dywanik boskiego ministra od poprawnego zachowania, chciał to podciągnąć pod brak szacunku dla zarządu Nieba, ale wybroniłam się tym, że wszyta w suknię świętość będzie dodatkowo ochraniać mnie przed demonami, czy jakoś tak.

Następnie zszedł niżej, aby przyjrzeć się lepiej pasowi. Katarzyna gustowała się w niezwykle kosztownych ubiorach, lecz jej pas był uszyty ze zwyczajnego, ziemskiego jedwabiu. Może chciała tym pokazać, jakoby jej suknia była w równym stopniu wykonana ze składników z całutkiego wszechświata?

— Ten jedwab pochodzi od jedwabników karmionych nektarem jedynie z najrzadszych gatunków orchidei, podlewanych krystaliczną wodą źródlaną z Himalajów — wyjaśniła cały sekret.

Po pasie, przyszedł czas na szyję. Modnisią założyła tym razem kolie

ze zmutowanych pereł Khaliniskali... czy to była Rezurma? Nie pamiętam, kto ostatnio przejmował stolicę i nazwę tej przeklętej... Planety Wojny, jak ją wielu nazywa. Kulki mieniły się i pulsowały wszystkimi kolorami tęczy. Od podczerwieni, po nadfiolet. Kłuły w oczy nie tylko pięknem, ale też i wysoką energią fotonów odbijanego światła. Te perły można było znaleźć w małżach, żyjących w skażonym jeziorze, na północy pustynnego kontynentu Terb. Chwila, teraz to już nie był już Terb... no na północy tego największego kontynentu. Zdaje się, że to albo Czarna Armia, albo Komodowa utopiła tam kiedyś beczki z kancerogennym żelem, w celu wewnętrznego wyniszczenia przybrzeżnego miasta Hirten... wtedy to było Hirten. Nie udało się, mieszkańcy wyczuli podstęp i zamiast umrzeć na nowotwory od picia zatrutej wody, poumierali z pragnienia. W każdym razie flora i fauna w tym zbiorniku wodnym przeszła nieprzyjemne zmiany fizyczne.

Buty. Był to wspólny wytwór czterech Khrnzrkhk. Najpierw poprosiła Chrrkrhkrkk o stworzenie lodowej podstawy. Potem pewnie Iliścirr obudował to swoją czarną rkkizniisi, Buffsirr dodał czerwone paciorki z buffzerda, a Fluszsrisss utwardził ogniem.

— Te buty zostały zrobione przez potworów, Mikołaj wyrzeźbił kopyto z zamrożonej wody, Psychit zalał ektoplazmą, Pyrroq stworzył rubinowe klejnoty-bomby, a Plazma wypalił w ognistej kuli. — Katarzyna Kosmata właśnie spowodowała, że kolejna osoba będzie nazywać Khrnzaalk potworami, zamiast porządnie w ich własnym języku.

Zahaczył o wachlarz. Ten był z półprzezroczystych łusek białego cyrkowca, zszytych razem w heksagonalny wzór. Te smoki wyginęły doszczętnie po ataku czerwonych kartaczy na ich wyspę. Właściwie, jedyne pozostałe istoty tego gatunku można teraz znaleźć w zoo w Capitalu. Szkoda ich, miały cudowną kulturę. Cyrkowe baśnie do dziś opowiada się małym smoczkom do legowiska, a cyrkowi malarze są niedoścignionym przykładem talentu w wielu cywilizacjach. Kartacze to zwykłe zwierzęta. Żeby chociaż te barbarzyńskie pasowce ich rozbiły, ale nie. Największy i najbardziej bezmózgi gatunek smoków zaatakował, rozszarpał i pożarł najwspanialszych.

Ostatecznie Mateusz popatrzył na jej twarz. Nie, nie na twarz, a na makijaż. Oczywiście, Katarzyna Kosmata nie mogła spocząć na wyrywaniu łusek prawie wymarłym gatunkom. Jej puder był stworzony ze zmielonych ciosów mamuta. Biała twarz śmierci całej populacji, uczennica kostuchy. Jak ona odkopała wyschnięte zwłoki z syberyjskiego błota i wybieliła, tego nie wiem.

— Przekonałam Chronosa, jednego z potworów, żeby odwrócił trochę czas i przywrócił im świeżość.

Nikomu się nie udało namówić kiedykolwiek Pfiishuss do jakiegokolwiek używania swojej mocy! Jak ona to zrobiła?

To jednak nie był koniec podziwiania, poszedł wzrokiem wyżej. Jej fryzura była przeogromna. A wszystko to z naturalnych włosów. Wiem na pewno, że Floria... znaczy Hhurnna przywiązuje podobną uwagę do wyglądu. Myślę, że nie odmówiłaby Katarzynie podkreślenia jej cebulek włosowych w celu przyspieszenia wzrostu czupryny.

— W drogeriach sprzedają taki super szampon. Nic więcej nie potrzeba. Może na twoją łysinkę też pomoże.

Na jej głowie osiadły wielobarwne motyle. Co jakiś czas, któryś wzbijał się w powietrze, robił pętlę wokół jej głowy i lądował z powrotem. Były to najprawdziwsze owady, hodowane i tresowane w tajnej placówce pod motylarnią w Burggarten. Ciekawiło mnie, jak je zdobyła. Znając Katarzynę, pewnie jak gdyby nigdy nic weszła przez ukryte wejście do podziemi, w tej pełnej sukni, z naładowanym szyfratorem w ręce, i powiedziała: „Dajcie mnie tych tresowanych motyli na głowę, bo zaraz mam bankiet we wielkiej, latającej kuli.” Być może tylko po to w ogóle przyjechała dzisiaj do Wiednia. Przybyła po żywe ozdoby, i żeby przyprawić o zawał serca całą Austrię.

Więc tym razem postanowiła wsiąść do Riesenrad i pojechać wagonikiem na sam szczyt, gdzie wcześniej specjalnie umówiła się ze mną, abym podleciał po nią Kulą. Oczywiście, w momencie jak przyleciałem, wybuchła panika. Całość się zatrzymała, uwięzieni na dużej wysokości ludzie próbowali uciekać po konstrukcji koła przed wielką białą kulą, cumującą właśnie do najwyższej budki. Katarzyna otworzyła drzwiczki, i robiąc krok nad przepaścią, weszła do sfery, niczym królowa do swej karocy. Pomachała wachlarzem pozostałym, ledwo żywym ze strachu osobom w wagoniku, i odlecieliśmy. Jeśli w przyszłości ponownie ją zaproszę, pewnie stanie na szczycie Empire State Building, a ja będę robił za King Konga. I też będę potem uciekał przed myśliwcami. Ciekawe, czy skończyłoby się jak w filmie. Czy można się uzależnić od amnezji, którą pokryty jest statek? Uzależnić od siania paniki w tłumach, które i tak za chwilę o wszystkim zapomną?

Przeczyściłem gardło.

— Znaczy... witam... bardzo mi miło, dzień dobry... eee... Kasiu-ażyno. — Stał bez ruchu kilka pulsów, aż zdecydował się delikatnie ująć jej dłoń i pocałować. Ważne, że się starał. — Ja Mateusz... jestem.

Katarzyna zarumieniała się. Widać została w niej szczypta kultury osobistej. A może to był makijaż?

Mój gość dostał oczopląsu, jego wzrok skakał od ozdoby do ozdoby. Każdej falki, każdego wgłębienia musiał dotknąć, niczym sprawdzając czy rzeczywiście wykonane są z hebanu i masy perłowej. Poprowadziłem ich po schodach, do salonu w którym nakryty był już stół dla czterech osób. Aż przysiadł z wrażenia, łamiąc kark przy zadzieraniu głowy.

— Na nasz bankiet zaproszonych zostało w sumie troje gości — oznajmi-

łem zgromadzonym. — Zatem dołączy do nas jeszcze jedna osoba. Będzie to Nadar Nocny, aktualnie bada, albo szabruje, wrak Titanica. Podróż potrwa około dwa i pół kilopulsa, to jest niecałe dwie godziny. — Poprawilem żabot. — Pan Nocny jest dość... ekscentryczny. Dla jednych jest najlepszym przyjacielem, a inni go nienawidzą. Szczerze powiedziawszy, nie popieram jego charakteru, ale obawiam się że może pan, mości Mateuszu, należć w nim swoją bratnią duszę.

— No dobrze, gdzie są ukryte kamery? — Gość niespodziewanie wypalił.

— Proszę pana, zaręczam że w całym tym miejscu nie znajduje się ani jedno obrzydliwe cyfrowe urządzenie. Ta strefa jest wolna od nieprzyjemnych pól magnetycznych i elektrycznych.

— On chyba nadal nie wierzy, Profesorze — Katarzyna zaproponowała.

— Nadal nie wierzy w Kulę? Pomimo, że sam w niej stoi? — Uśmiechnąłem się. — Nigdy nie widziałem takiego zaparcia przy obronie własnych idei. Panie Mechalyczny, ręczę że będzie pan wspaniałym agentem.

Położyłem rękę na lasce. Lekko uderzyłem małym i wskazującym palcem, by obniżyć lot. Następnie przycisnąłem w dół otwartą dłoń, w celu pokonania siły wyporu, jakbym wmuszał pustą boję pod lustro wody. Zaczęliśmy się wtedy zanurzać coraz głębiej i głębiej w Atlantyku, zostawiając za sobą pióropusz tęczowych rozbryzgów.

Tymczasem zacząłem oprowadzać naszego gościa po Kuli. Wycieczkę rozpoczęliśmy, wracając do głównego wjazdu na najniższym piętrze. Ta otwierana w dół, mająca od wewnątrz kształt schodów, wykrzywiona płyta, była jedyną, niepokrytą karmazynowym futrem, częścią pancerza. Zamiast tego posiadała czerwony dywan i wysuwaną poręcz, automatycznie rozwijane przy kontakcie z podłożem. Operowana za pomocą skomplikowanego systemu łańcuchowo-sprężynowego na korbę. Zawsze przypominała mi zamkowe wrota nad fosą.

Nie zmieniając wysokości, przeszliśmy do garderoby. Zakurzona pieczara z ubraniowymi stalaktytami i buciarskimi stalagmitami. To właśnie tutaj trzymałem awaryjne suknie, habity, koszule i trzewiki, w razie gdyby któremuś z gości zdarzyło się nie mieć wystarczająco odświeżonego ubioru do uczestniczenia w uczcie. Mateusz zwrócił mi uwagę na grube stroje, wiszące w kącie. Wedle jego wizji były to kostiumy nurkowe. Opisałem, że pomimo mylącego dla niektórych wyglądu, w rzeczywistości nadawały się zarówno do schodzenia pod wodę, jak i w próżnię kosmiczną. Są integralną częścią Kuli, wyjaśniałem, trochę jak ściany i meble. Czerpią z białego pojazdu energię do podtrzymywania życia. Będąc w takim kombinezonie, nigdy nie zabraknie nosicielowi tlenu i pożywienia. Na szczęście nie zauważył, iż jeden z haków był pusty. Nie chciałem się tłumaczyć, że zgubiłem kawałek wyposażenia swojej rakiety.

Zapytany o służę ciśnień, aby bezpiecznie wychodzić na zewnątrz, opowiedziałem mu o niewidocznej tarczy rozciągniętej na włazie. Chroniła ona wnętrze przed różnorakimi hazardami zewnętrznymi, takimi jak kosmiczny mróz, uniwersalność, demony, czy brak kultury osobistej. Była jak kotara z paciorków, oddzielająca biuro alfonsa od reszty burdelu. Chwila, czy ja właśnie porównałem moją sferę do domu publicznego?

Nie był przekonany, co do pewności działania, więc kręcąc jeszcze raz korbą, otworzyłem ponownie właz. Płynęliśmy aktualnie tuż przy samym dnie morskim, zostawiając za sobą chmurę wzburzonego dna oceanicznego, niczym ślad dymu z palącego się samolotu. Falista, lekko wypukła powierzchnia wody, utworzyła się na wysokości framugi. Mateusz z niedowierzaniem zamoczył rękę w wodnych głębinach, wyciągając garść osadzającego się piasku. I meduzę.

Kolejne piętro posiadało same pokoje gościnne. Gość uprzejmie podziękował za apartamencik, ale nalegał, abyśmy szli dalej.

W centralnej części Kuli znajdowała się łaźnia, muzeum i mój gabinet. Do tego ostatniego nikogo nie wpuszczam. Ludzie snują różne domysły na temat tego, co może się kryć za dębowymi drzwiami. Zasilanie całej Kuli, zwyczajny pokój, jakieś kosmiczne artefakty, prawda o moim pochodzeniu? Nikt z nich nigdy nie miał racji, a ja nikomu nigdy środka nie pokażę.

Łaźnia. W wyłożonym terakotą pomieszczeniu panował standardowy zaduch. Gość zdziwił się niemiłosiernie, widząc tutaj basen, jacuzzi, saunę fińską, masażery wodne, a także mały wodospad. Pośrodku stał wielki, sześcienny piec na węgiel. Świecił się na bordowo, rozpalony ognistym wnętrzem. Serce mechanicznej bestii. Bez niego zimna pustka kosmosu szybko by nas dopadła. Jedna z jego ścian wychodziła do sauny. Mateusz powiedział, że w XVIII wieku nie używano łaźni i że po stylu wnętrza spodziewał się co najwyżej wychodka w kącie. Zaśmiałem się na myśl, iż wziął Kulę za stuprocentowy wycinek pałacu w Wersalu. Kultura idealna nie istnieje, zacząłem wykład, z każdej cywilizacji należy wyciągnąć najlepsze części. I tak, na przykład łącząc rzymskie starożytne łaźnie, francuski późnobarokowy wystrój, średniowieczne królewskie dania i słowiańską mowę przyszłości, stworzyłem tę właśnie latającą wyspę kultury idealnej.

Teraz najciekawsza część statku, wystawa. Moje muzeum zawiera artefakty z różnych zakątków wszechświata. Gość zapytał o wartość zebranych przedmiotów.

— Nie wszystko da się sprowadzić do liczby pieniędzy — dałem mu wykład — i nie wszystko ma tak zwaną cenę. Jeszcze się o tym nie raz przekonasz.

Równy ułożona siatka gablot przynosiła na myśl szachownicę. Wskazałem skałę przyczepioną widelkami do podstawy i począłem wyjaśniać: To

jest kawałek meteorytu, który uderzył w księżyc planety Tos. Wartość tego kamienia jest równoważna wartości losowego kamienia polnego z Ziemi, znajduje się tutaj ze względu na historię, jaką ze sobą niesie. Otóż, uderzenie tego kosmicznego głazu było tak silne, że wybiło ich naturalnego satelitę z orbity, popychając ją w kierunku Tosa. Po stu latach ciągłego zbliżania się do powierzchni, w końcu zahaczyła o atmosferę, gwałtownie zwolniła i zderzyła się z powierzchnią. Każdy organizm, większy od jednokomórkowca, został zniszczony, czy to w morzu ognia, czy w ciemności popiołów.

Co ciekawe, mieszkańcy tego świata byli na tyle rozwinięci naukowo, że doskonale widzieli i rozumieli zbliżającą się katastrofę. Jednak ich technologia nadal była za słaba, aby móc jej uniknąć. Przewidzieli dzień swojego końca co do dnia, a koniec faktycznie nastąpił.

Tak, wiem że to smutne, ale cóż począć? Gorsze rzeczy zdarzały się w zbiorowej historii życia. Tylko pierwotne grzyby przetrwały globalny Armageddon. Toksyczna atmosfera, brak słońca i wysoka temperatura post-apokaliptycznego świata wręcz przyspieszyły ich ewolucję. Na przykład, tutaj jest dziób pewnego latającego ptakochomora. To fungus i ptak jednocześnie, ładnie świeci w ciemności. Da się go spożywać, niestety nie jest bardzo wysublimowany w smaku. Ma posmak śmierci, jak każda istota wychowana na truchłach poprzedników, lub też gorzka czekolada.

Przeszliśmy dalej. Kamień z lodowej strony Kryonii, nic niezwykłego. No może poza tym, że musiał być wydobyty spod kilku kilometrów litego lądolodu. Co w tej planecie jest wspaniałego? Otóż obraca się ona wokół swojej gwiazdy, jak Księżyc wokół Ziemi. Wiecznie zwrócona tą samą półkulą. Mieszkańcy nie mają zatem dni oraz nocy, a słońce permanentnie jest w tej samej części nieba, niczym lampa w wielkim terrarium. Nocna część jest zamrożoną pustynią, dzienna od zawsze ma pośrodku szalejące tornado. Może kiedyś zobaczysz Pałac Nadiru, położony w centrum wiecznej zmarzliny, jest cudownym dziełem sztuki glacialnej. Potężna iglica z kryształowych łuków, kopuł, balkonów i kolumn. Nieporównywalna z niczym innym. Podświetlona trytowym światłem na przeróżne kolory. Jest plan by odpowiednio ustawić bieguny planety, jeden w Nadirze, drugi w Zenicie, by dodać przepiękne zorze polarne na obu stronach. Freon, wielki lodowy król, rządzi swoim państwem dobrze i sprawiedliwie. Szkoda, że duża grupa jego ludu tego całkowicie nie rozumie. Demokraci, socjaliści, libertarianie, i reszta niepolitycznych ruchów społecznych chce go dosłownie zwać z tronu i pogrążyć cywilizację w chaosie.

— Skąd wie pan, że byłoby gorzej, niż jest teraz? — zapytał.

— Może kiedyś zostanie waćpan zaproszony do pałacu Freona i wtedy, na własne oczy zobaczy pan, że na pewno nie mogłoby być lepiej, niż jest obecnie — odpowiedziałem. — Zresztą, prędzej czy później to i tak się pew-

nie stanie. Król się starzeje i nie znalazł jeszcze na swój tron odpowiedniego następcy. Nikt inny nie może go zastąpić. Więc albo rozkaże wybrać kogoś głosem ludu, albo znajdzie kolejnego godnego władcę spoza planety. To najprawdopodobniej doprowadziłoby do wojny domowej, rozumiecie, nikt nie chciałby być rządzony przez obcego kosmitę z kosmosu, nie ważne jak dobrze by królował.

— Jak spoza planety?

— To jedna z tych cywilizacji, zwanych zapoznanymi. Na tyle rozwinięta technologicznie i kulturalnie, przede wszystkim kulturalnie, że ma dostęp do warstw wszechświata. Warstwy to takie jakby obszary „pod”, „nad” i „z boku” czasoprzestrzeni. Pozwalają na szybką i dowolną podróż w każde miejsce, do każdej galaktyki, do każdego układu, używając minimalnej ilości paliwa.

— Jak to? Czyli taka na przykład Kryonia może w dowolnej chwili przelecieć jakąś warstwą i zaatakować Ziemię? — Złakł się. — I czy moja planeta także jest zapoznana?

— Powiedziałem, rozwinięta kulturalnie cywilizacja. Czy waćpan jest absolutnie pewien, że ludzkość nie napadłaby obcego globu, gdyby lot do niego byłby tak łatwy, jak do Księżyca? No właśnie. Poza tym, Ziemi bronią jeszcze Khrnzhki.

— Kto?

— Potwory — westchnąłem. I ja też się w końcu poddałem. — Robią za policję wszechświata, dbają o pokój na wszystkich zapoznanych światach i poza nimi. ALOPP, do którego pan został zaproszony, to skrót od Akademii Ludzkiej Otoczonej Protekcją Potworów. Jako agent tej struktury, będziesz im waść pomagał, będziesz dbał o pokojowy bieg historii, zatrzymywał wojny, walczył ze złem w różnych postaciach. To niebezpieczna i bardzo ciężka praca, ale jakże ciekawa. Raz ucieczka na skuterze grawitacyjnym przed stadem czerwonych kartaczy, a innym razem zasiadanie w sali obradowej Pałacu Nadiru. Znaczy, oczywiście jeśli okażesz się godny.

— Godny?

— Chodzi o charakter. Do Akademii należy odpowiedzialność przed przyszłością. Każdemu z was może zdarzyć się musieć dokonać wyboru decydującego o milionach istot. Dlatego kandydaci są poddawani testowi osobowości, żeby mieć pewność że zawsze wybiorą większe dobro. Test ma kilka faz, sprawdza reakcję na zaistniałe przeciwności losu.

— Kilka faz? Jak mam je pozdawać? — Zaczął panikować.

— Spokojnie, pierwszą ma pan już za sobą. Przecież jest pan tutaj z nami. Celem było przetestowanie, co dana osoba robi w absolutnie nietypowej sytuacji. Można było wyrzucić ten list, można było zgłosić go władzom, można było pokazać w internecie, a można było, jak pan, potraktować go poważnie. Jest także fragment odpowiadający za twoje zaangażowanie, posłuszeństwo,

wykonywanie rozkazów, siłę psychiczną itp.

Kontynuowałem oprowadzanie. Zapytałem go, czy potwierdzi, iż wskazany przeze mnie kawałek clockpunkowych mechanizmów wygląda intrygująco. Kupka chaosu wyglądała jak zezłomowany sterowiec, razem z załogą. Poprosiłem, żeby powiedział, co mu to przypomina. Pomogłem, informując jakoby to nie był żaden zegar. Nie zgadł, jak mógłby zgadnąć?

— Otóż, jest to mózg reprezentanta pewnej wybitnie nieprzyjemnej nacji robotów. I mówiąc roboty, nie mam na myśli ludzików zasilanych na prąd, jak to się przyjęło w ziemskiej kulturze. Mam na myśli wszelkie żywe istoty zbudowane z nieżywych składników. Pozornie zwykła materia, lecz natchniona myślą.

— Proszę mi wybaczyć, ale z daleka to dla mnie kupka śmieci.

— Bo nią jest! Te... struktury, powstały z ludzkiego złomu, jako sztuczne ciała dla głodnych demonów. To jest tak, że niektóre upadłe anioły są za słabe, aby pożywiać się duszami prawdziwych istot, zatem muszą się zadowalać martwymi fragmentami maszyn, najlepiej tymi, które towarzyszyły różnym osobom przez jak najwięcej lat ich życia. — Położyłem rękę na gablotce ze szkła wymiarowego. — Ludzki złom. Wszystko, co codziennie było wam tak bliskie, jak własne części ciała, ale jednak nadal martwe i wymienne. Protezy kończyn, wózki do poruszania się, kule do chodzenia, rozruszniki serc, inhalatory, tego typu rzeczy. Te roboty mogą więc także składać się z metalu i układów logicznych, ale nie są napędzane energią elektryczną, lecz szatańską!

Na te słowa Mateusz zrobił krok w tył.

— Szatańską — powtórzyłem z grodzą. — Szatańska opętana kupka śmieci. Powstały, jako wcielenie najczystszej zła, zasilanie parą z palonych zwłok, stworzone z ludzkich odrzutów, zlepione śliną i cyrografem. Może się pan przyjrzeć, ten element przykładowo, jest wykonany ze sztucznej szczęki.

— Dziwna ta szczęka.

— Nie, no. Nie ludzkiej sztucznej szczęki, czy ludzie mają po dziesięć półkolistych zębów, jak te tutaj? Wiele istot we wszechświecie ma przecież zęby i większość z nich, tak jak wasz gatunek, czasami potrzebuje zamiennika.

Mechalyczny przysunął się z powrotem, chociaż nie krył obrzydzenia. Ciekawość brała górę.

— To rurka, od kuli od podpierania się, tym razem ziemskiej kuli. Właściciel był jakimś wielkim gangsterem, skazali go bodajże za morderstwo na własnych dzieciach, powiesił się w więzieniu, oczekując na śmierć. Im większy grzesznik, tym dla takiej diabelnej istoty smaczniejszy. A to jest gumowy wężyk, był kiedyś w rozruszniku serca... smoka.

— Mam wrażenie, że wciąż się porusza. To znaczy że nadal żyje?

— Absolutna racja, nadal żyje, lecz akurat nie pamiętam imienia demona, który go zasila.

— A... a to nie jest trochę niebezpieczne tak go tutaj trzymać?

— Tylko trochę. W najgorszym razie, gdyby uciekł, i tak pierwsze co by ten demon zrobił, to czmychnął jak najdalej od tego świątecznego miejsca. Poza tym, jest zamknięty w gablocie wymiarowego szkła, przez wymiarowe szkło nic się nie przebije.

Powiodłem wzrokiem tam, gdzie wskazywał Mateusz.

— Ta nie jest ani atomowa, ani termojądrowa, zwyczajna na proch. — Otrzepałem kurz ze starego, pokrytego wyschniętym smarem pocisku. — Kiedyś zadarliśmy troszkę za bardzo z wojskiem Stanów Zjednoczonych. Nadal zadzieramy. Mocno nadszarpnęli nam ochronne powłoki i w końcu ta mała bombka przebiła się przez pancerz i wpadła prosto do pieczonego dzika. Było blisko, jakby eksplodowała, długo bym musiał czyścić ściany z resztek jedzenia.

— Czyli goście przeżyliby wybuch?

— W Matrycy jest zapisana gwarancja na odbudowanie dowolnej istoty, w razie gdyby coś jej się stało na pokładzie. Innymi słowy, nie da się tutaj umrzeć, gdyż twoje ciało zaraz zostałoby automatycznie złożone w jedną całość. Również dusza po utracie fizycznego nośnika nie ucieknie, któraś tam warstwa pancerza blokuje ektoplazmę, byłaby zamknięta tutaj, jak w śnieżnej kuli. Z definicji śmierć nie jest utratą ciała, lecz duszy. Dusza zwiewa do dolnej warstwy i leci z nurtem energii, gdy nie ma postaci do zamieszkania. W związku z tym szybkie przywrócenie organizmu do życia przyjmie duszę z powrotem. Niektórzy już umarli i nawet o tym nie wiedzą...

— Matryca? To brzmi jak wielka szafa z tysiącami szufladek, w jakiejś zakurzonej bibliotece.

— Widzę, że nie masz pojęcia, jak zbudowany jest nasz wszechświat. Nie wiesz pewnie, czym są kwadry, warstwy, Wielki Filtr, główna pompa w centrum, Niebiańskie Słoje Symulacji... polecam książkę z mojej biblioteczki. A tak na szybko, Matryca ma zapisane prawa sterujące całością. Od prędkości światła, po wymiary prześcieradła na twoim łóżku piętro niżej, ale nie historię. Nie wygląda, jak szafa z szufladkami, a jak foremka do robienia kostek lodu.

— Po moim doświadczeniu z wojskiem w Gdańsku, wnioskuję że Kula często jest atakowana.

— Prawie zawsze, gdy składałem wizytę na Ziemi — powiedziałem oczywiście. — Piekielni Amerykanie. Ulali swoje pociski z żelaza, wydobywanego przez niewolników w Afryce. Wypełnili je prochem wyciągniętym z fajerwerków, które miały być wystrzelone na szatańskie święto Halloween. Na koniec pokropili zapalniki krwią z abordowanych dzieci. Takie coś znacznie prościej

przebija kadłub stworzony z sacroterii.

— Przepraszam, czego?

— Materii pod bezpośrednim sterowaniem Matrycy, na górze jest książka o tym.

Przy okazji, wytłumaczyłem mu ochrony zastosowane w tym latającym pałacyku. Nie lubię porównywać mojej kuli do cebuli. Albo ogrów. Były trzy powłoki, z tym że trzecia to już fizyczny pancerz z sacroterii. Pierwsza zatrzymuje wszystkie szybko poruszające się obiekty. Druga chroni przed naporem niepożądanych substancji, już ją widział jak blokowała oceaniczną głębię przed wdarciem się do środka.

Mateusz zapytał się, jak to możliwe, że nie w internecie prawie żadnych informacji o Kuli, pomimo że często ląduje, jak gdyby nigdy nic, w centrach miast.

— Dlaczego ludzie nie pamiętają... to dobre pytanie. Otóż Kula pokryta jest amnezją. Każdy, kto na nią spojrzy, nawet pośrednio, zapomina. Wspomnień nie tracą tylko ci, którzy wierzą. Wierzą w Profesora Kulę, wierzą w bankiety na niebiosach, wierzą w złożone wnętrze. — Objąłem rękami całe otoczenie. — Na pewno nie będzie to dla pana zaskoczeniem, że większość osób uważa Kulę zwykle za balon meteorologiczny, fatamorganę, dowcip, sztuczkę magiczną, nowoczesny samolot wojska, itp. Pan uwierzył w prawdę, dlatego pan tutaj jest.

Wycieczkę przerwał dźwięk otwieranego wjazdu i chlapanie wody. Poszliśmy zatem przywitać trzeciego gościa. Mateusz był bardzo podekscytowany i pobiegł przodem, niczym kot słyszący właściciela w pobliżu szafki z puszkami tuńczyka.



Minucja popatrzyła na Połamańca i pokiwała w aprobachie głową. Potem sama skierowała swoje kroki w kierunku Kryminalisty.

Demony były już chyba przerażone, gdyż teraz poczęły wszystkie uciekać. Jednak Klekislaw był szybszy. Złapał jednego z nich za nogę (a właściwie to jego monolityczno-kernelowy but złapał nogą nogę), przyciągnął do siebie, i włożył mu swój worek na głowę. Można było powiedzieć, że zakrywał mu twarz, niczym przed egzekucją ścięcia toporem. Standardowy Lektor zaczął się dusić, trująca abstrakcja wgryzała się w jego demoniczne płuca, a niezwykle but, z siłą wolnego oprogramowania, ścisnął mu szyję, jak o dwa rozmiary za mała, automatycznie nadmuchiwana kamizelka ratunkowa, aktywowana przedwcześnie w tonącym w oceanicznej pustce samolocie.

— Dość, wystarczy. Wsadzę do mojego opowiadania fantastycznego ducha! — Z worka słychać było jedynie stłumione jęki. — Dwa. Niech będą dwa duchy. I jedno zjawisko paranormalne.

Złamane Pióro jednak nie odpuszczał. Ruchy Lektora stawały się coraz wolniejsze i wolniejsze, jak majtanie się babci poślizgniętej na oblodzonym chodniku.



Nadar. Czemu to akurat jego musiał ten Kula zaprosić? Planowaliśmy eleganckie przyjęcie, a ta niewychowana świnia pewnie pociągnie w swoje odmęty i Mateusza.

Jak tylko usłyszałam szcęk łańcuchów, przerwałam robienie makijażu i wystawiłam głowę z pokoju. Zobaczyłam nowego gościa, zbiegającego po schodach do szatni, biegł tak szybko, że spłoszył mi motyle z głowy. Nie spieszyło mi się powitać Nadara równie prędko, ale ciekawiło mnie ujrzeć reakcję Mechałycznego, gdy po raz pierwszy zobaczy tego szaleńca. Z trudem przecisnęłam się w tej sukni przez drzwi na korytarz i ostrożnie podeszłam do pierwszego schodka w dół. Oczywiście wdzianko zahaczyło o balustradę, od razu zrobiłam hyc i resztę drogi koziołkowałam, wywijając podwójne salto, jak telewizor przez przypadek upuszczony na schody w trakcie robienia przeprowadzki. Wylądowałam na głowie, z nogami majtającymi się w powietrzu. Wyglądałam jak polująca na grzybową faunę sesteria z Tosa, z tym wyjątkiem że nie strzelałam jadem. A chciałabym.

Wiedziałam, co w tej chwili usłyszę i nie zawiodłam się.

— Ale dupa, co nie? — Nadar zamykał korbą właz, gapiąc się na moje machające w górze nogi.

— No, nawet... — Mateusz okazał się równie niewychowany. Nie wierzę, że się z nim zaprzyjaźniłam.

Natychmiast przybiegł Kula i pomógł mi się postawić do pionu. Był czerwony ze złości. Ale czy dlatego, że właśnie ze statku z sykiem uchodziła kultura, czy dlatego że świństwo uzyskało nowego członka?

— To ty! — Kula trzymał laskę w górze, niczym śmiercionośny laser krojący Nocnego na pół. — To ty wzięłaś czwarty kombinezon z mojej garderoby! Szukałam go po całym wszechświecie. Ten kostium jest integralną częścią Kuli, generuje go Matryca tak samo, jak meble, dywany i ozdoby. Jest niereplikowalny. Nie wolno go zabierać!

— Przecież nie zabrałam, a pożyczyłam. Zresztą i tak zawsze się kurzył w tej twojej jaskiniowej szafie. — Nadar uznał to za wystarczające wytłumaczenie, rozpiął strój. Pod spodem miał swoje standardowe dresy. — A na przeprosiny mam prezent. Wyłowiłem ci, Profesorze, zestaw kieliszków i butelkę najdoskonalszego wina, prosto z kapitańskiego mostka. Mieli ją wypić na ukończony rejs, ale wiadomo co się stało. Niech więc Kula ukończy swoją własną wyprawę i nie uderzy w żadną lodową kometę po drodze.

Kula w jednym pulsie zmienił się z czerwonego z powrotem w białego, jak rozwydrzone dziecko z którego uniwersalny wampir wysysa całą krew. Przypomniła mi się walka z tym straszylem. Brrr.

— Och. To bardzo miło z twojej strony — odpowiedział głosem tak miękkim, jak poduszka Pyrroga. — A teraz wybaczenie, muszę dopilnować ostatnich poprawek przy naszym bankiecie. — Porwał butlę i kieliszki, poleciał na górę.

Nadar był arogancki, jednak pomimo wad potrafił, jak nikt, walczyć z uniwersalnością. Nie miał własnej mocy, jak niektórzy, lecz wcale jej nie potrzebował.

Mateusz wpatrywał się w niego, jak Kula w płótno namalowane przez białego cyrkowca. Jego największe zainteresowanie wzbudzały dwa pistolety, zawieszone przy pasie, i laserowa pałka na plecach.

— To urządzenie pozwala zaszyfrować i odszyfrować dowolną osobę w splocie czasoprzestrzeni. — Nocny tłumaczył działanie swoich zabawek. — Cel zachowuje się tak, jakby był zamrożony w czasie. Jakby ktoś nacisnął pauzę na globalnym odtwarzaczu filmu katastroficznego pod tytułem „życie.” W pełni bezpieczny sposób na unieszkodliwianie wrogów bez zabijania. Wadą jest tylko to, że naboje do niego są olbrzymie i jednorazowe, wyglądają jak akumulatory do wiertarek. W środku takiego wkładu zapisuje się symetryczny obraz klucza, jedyny sposób na przywrócenie zaszyfrowanej osoby z powrotem do życia. Strzelając można zamrozić, a potem odmrozić daną osobę. Kosma, właśnie zgłosiłaś się na ochotnika, aby zaprezentować naszemu gościowi ten wynalazek. — Wycelował we mnie szyfrator. Co za świ...



Kleksowy bohater podniósł lekko worek, Standardowy Lektor spróbował złapać oddech, ale zaraz znowu światło zgasło mu przed oczyma, niczym elektryczność komputera w trakcie aktualizowania krytycznej części BIOSu.



...nia z niego. — Nie nazywaj mnie Kosma! Jestem Katarzyna.

— Jak widzisz, działa znakomicie. — Spostrzegłam, że w czasie gdy byłam zaszyfrowana, zdążył już się przebrać w galowy, pożyczony z garderoby strój. Właśnie nakładał puder na swojego irokeza.

— Nadar, coś ty? Od kiedy ubierasz się elegancko dla Kuli? — zapytałam z niedowierzaniem. — Przecież nie gustujesz w niczym innym niż dresy.

— Od kiedy wywalił mnie pośrodku kosmosu w tym skafandrze, za przypadkowe rozlanie barszczu na obrus. Lewitując w bezkresnej pustce, miałem

sporo czasu na przemyślenie mojego zachowania i stanie się nowym człowiekiem. — odpowiedział.

— Naprawdę? — Wtedy coś mną tknęło. — Oczywiście, że nie naprawdę. Znowu się zgrywasz tak? — Tylko się wrednie zaśmiał.

— To drugie to pikler — kontynuował. — Potrafi zapeklować kogoś do umieszczonego tutaj słoika ze szkła wymiarowego, żeby się nigdy nie dostał. Wystarczy tylko odłożyć go na najniższą półkę w jakiejś głębokiej piwnicy na całą wieczność. — Spostrzegł, że gość niekoniecznie rozumie. — Szkło wymiarowe to takie coś, co przechodzi równo przez wszystkie wymiary, także w czasie. Wygląda jak szkło, ale istnieje od zawsze na zawsze. Ma nieskończoną długość, szerokość, głębokość i... wszystkie inne ości. — Nadar nie przestawał wyjawiać sekretów naszej organizacji.

— A to jest miecz świetlny?

— To jest laserowa pałka, laserpała, taki przecinak. W przeciwieństwie do miecza świetlnego, nadal można nią zdzielić w łeb, jak się zepsuje. Po uruchomieniu zaczyna wirować, wzdłuż pojawiają się promienie dasera. Pozwalają łatwo ciąć materię. Czyli trochę jak miecz świetlny, tak. Daser (*Death Amplification by Stimulated Emission of Radiation*) przecina prawie wszystko jak masło, a pozostałe rzeczy jak ser. No, mózg przeciąłby jak powietrze. Fajna zabawka.

— I szkło wymiarowe też przetnie? — Mateusz zapytał, widąc że uważnie słuchał.

— Nadar, on nie przeszedł jeszcze wszystkich testów — wtrąciłam. — Nie zdradza mu tylu sekretów, bo nie wiadomo, czy na pewno z nami zostanie.

— No popatrz na niego, Kosma. — Nocny obchodził i studiował Mateusza ze wszystkich stron, zupełnie jak geniusz oglądający kostkę Rubika i dochodzący, dlaczego nadal mu nie wychodzi. — Myślisz, że sobie nie poradzi? Poza tym, już pierwsze części testu zdał poprawnie. Odpowiedział na abstrakcyjny list Profesora, ubrał się w najprawdziwszy strój francuski, a potem odważył się wsiąść do dziwnej, wielkiej, latającej kuli z kosmosu, jak poboczny bohater w każdym oklepanym horrorze dla mas.

— Niby racja, ale doskonale wiesz, jak chory test potwory mogą tym razem wymyślić. Pamiętasz, jak Mikołaj przetestował Ziemowita? Kazał mu się przebrać za klauna, przyjść na zabawę urodzinową dla dzieci i robiąc magiczną sztuczkę, zamordować jednego z nich, bo był złym owocem klonu. Coś nie wyszło, morderstwo nie było czyste, wszyscy skapali się w zielonej krwi tego podrabiańca. Drugim zadaniem było uciec z więzienia, do którego go wrzucili po aresztowaniu. Może gdybyśmy wiedzieli, gdzie jest prawdziwe dziecko, to inaczej by poszło?

— Przecież zdał.

— Albo tego, jak mu było, Błażeja, co Hdro zostawił w Capitalu i kazał

jakimś sposobem wrócić na Ziemię. Człowiek sam na planecie, w całości zamieszkaney przez wszystkie gatunki smoków. — Kontynuowałam rozmowę, zupełnie ignorując osobę, na której temat ją toczyliśmy.

— Nie zaliczył, bo ukradł raketę jakiejś rodzinie błękitnych celebrytów, będącej wakacjach w stolicy latających jaszczurów, zamiast rozegrać to w pokojowy sposób. Nawet nie przejął się, że w środku statku wciąż były jaja właścicieli! A gdy rzucił się za nim opłacony pościg bordowych pasowców, on ich bezwzględnie pozabijał, strzelając do każdego z raketowego działka. Na szczęście nie miał klucza warstw, nie mógł uciec z ich kwadry, doleciał do jej końca i rozbił się o ścianę wszechświata. W dodatku to była ściana drugiej kwadry, nie czwartej! Idiota tylko się oddalił od Ziemi. Może w akcie zemsty postanowił zaatakować Potworan? — Spostrzegłam, że Mateusz chyba przestał rozumieć, ale Nadar nadal nawijał. — Jak się rozbił, to lewitował w smoczej przestrzeni, w chmurze resztek statku kosmicznego przez pół megapulsa, prawie umierając z głodu. W końcu te małe smoczki, których jaja były w rakiecie, wykluły się i zjadły go żywcem. Śmierć, jak w wielkiej maszynie do szycia. Dobrze mu tak.

— Przepraszam, że wam przerwę, ale co ze mną? To jakiś test zręczności, albo inteligencji? Zginę, pożarty przez coś? — Nowy bezwstydnie wszedł w słowo, jak wpychający się w kolejkę do przepełnionego samolotu bez numerowanych miejsc, odlatującego zaraz z wyspy, która wkrótce ma być zmieciona przez wielką falę tsunami. — Co mam zrobić, żeby go zdać?

— Masz być sobą. — Odpowiedziałam równocześnie z Nadarem.

— Ciebie chyba postanowił przetestować Plazma. — Zamyślił się. — On lubi militarne klimaty, pewnie trafisz na Planetę Wojny. Albo będziesz wyrzynał jakieś miasto, albo sam będziesz wyrzynany. Musisz sam zdecydować. To bardziej test charakteru, niż umiejętności. Ta kula chaosu to wstrętne i niebezpieczne miejsce. Najlepszą śmiercią... rozerwanie na kawałki przez jakąś futurystyczną wunderwaffe, najgorszą, prawdopodobnie wcielenie do Czarnej Armii. Obedrą cię tam ze skóry, wyłupią oczy i zęby, wcisną w cyber-zbroję i zaleją powodującym szaleństwo, uzależniającym smarem khaki, będziesz umierał powolną śmiercią, dobrze się bawiąc przy mordowaniu niewinnych pod komendą Kryształowej Królowy. Ja tam wolę robić to samo, nie będąc rozpuszczanym przez czarny kwas.

Tymczasem rozległ się dźwięk dzwonu, oznajmającego posiłek. Poszliśmy zgodnie na najwyższe piętro statku, Mateusz tym razem trzymał się z tyłu, jak samochód w grze wyścigowej prowadzony przez kawałek taśmy klejącej, trzymającej klawisz gazu. Przechodząc przez muzeum, Nadar poklepał radośnie gablotę z demonicznym mózgiem, który w odpowiedzi klapnął groźnie szczerbatą protezą zębów.

Na najwyższym piętrze znajdował się salon, biblioteka, scena teatralna,

ogród i kapliczka. Dach przyjmował tutaj miłą, półkulistą wypukłość, ze szczytu zwisał żyrandol na lampy oliwne. Mechałyczny zapytał mnie, dlaczego w ogródku rosną tylko ziemskie kwiaty.

— Nie wiem czy wiesz, ale Ziemia jest uważana przez wielu za najpiękniejszą planetę wszechświata — odpowiedziałam. — A przynajmniej na pewno przez naszego Profesora.

— Tos? — Mateusz zwrócił się w kierunku muzeum.

— Tos jest bardziej niezwykły, niż piękny. Poza tym, grzyby trzeba by hodować w amoniakowej szklarni. No i nie powąchasz ich jak kwiatów — wyjaśniłam. — Aha, jeszcze Tosowe życie puszcza wszędzie zarodniki. Jeden wdech atmosfery tej planety i fungusy zaczną ci rozpuszczać żywcem nos. Dwa wdechy i spleśnią ci płuca. Trzy wdechy i grzybnia wkręci się w mózg, jak narracja mediów głównego ścieku.

— A kaplica? — Popatrzył na mały budynek w rogu.

— Jak pewnie zauważyłeś, Profesor jest bardzo religijny. Poza tym, dobrze mieć miejsce, gdzie można pomodlić się o ratunek, będąc atakowanym przez kosmicznych piratów. Każdy większy statek morski ma przecież kaplicę, to dlaczego statek kosmiczny także nie miałby mieć?

— Jeszcze zapytam, kto zbudował Kulę?

— Ona jest bardziej strukturą wszechświata, niż konstrukcją, jest zapisana w Matrycy. Profesor otrzymał ją w prezencie od Nieba, kiedyś zrobił coś bardzo wielkiego i dobrego dla świata, dzięki czemu zyskał nadzwyczajną przychyłność aniołów. — Rozejrzałam się, szukając naszego gospodarza. — Ale on nie lubi, gdy się o nim rozmawia.

— Tylko, kim on jest? — Mateusz nagle zapytał.

— W sumie nikt nie wie dokładnie, kim, lub czym, jest nasz niezwykły właściciel tej sferycznej zabawki, pomimo że z zewnątrz wygląda jak człowiek. Niektórzy mówią, że aniołem, inni, że dziwnym człowiekiem, jest też teoria jakoby był ostatnim z jakiejś umarłej cywilizacji. Posługuje się jedynym w swoim rodzaju pismem i językiem, którego nikt inny we wszechświecie nie rozumie. Widzi szerszy zakres barw, słyszy więcej dźwięków, nie wiem jednak, czy jest supersilny...

Przed kontynuowaniem nieprzyjemnej rozmowy uratował mnie dzwonek, zwiastujący rozpoczęcie bankietu. Odruch Pawłowa nakazał mi odczuwać radość większą, niż przy ogłoszeniu wyników na ogólnowszechświatowy konkurs ciast, który swego czasu wygraliśmy. Powinnam być rzadziej zapraszana.



Klekisław podniósł worek, Standardowy Lektor był sztywny, jego wyraz twarzy poskręcany był w dziwności. Tylko jedno oko lekko mu drgało, niczym przepalająca się świetlówka.

Tymczasem wszyscy inni uciekli. Nie było już ani demonów, ani Kryminalisty. Światostwórca nie był aż taki głupi, żeby uwierzyć, że niebezpieczeństwo minęło. Na pewno czyhali na niego, pochowani w ruinach miasteczka.

Stąpał cicho. Pomimo to, jego kroki były doskonale słyszalne w grobowej ciszy, spowijającej dolinę, niczym dźwięk chrupania na obiedzie bezzębnych staruszków. Zero wiatru, zero ptaków, zero mieszkańców. Wszystko umarło. Przypominało to spacer po zasypanym świeżym śniegiem lesie, zwiedzanie zgłiszczy po pożarze planety zniszczonej flarą słoneczną, siedzenie w uszkodzonej rakiecie bez zasilania w czasie kosmicznego pochówku żywcem. Za chwilę on sam umrze, śmierć przyjdzie po cichu i nawet nie spostrzeże się, kiedy. Zaskoczy go, jak kontroler biletów zaskakuje pasażerów tramwaju.

Wtedy wysunęła się zza winkła Winkła. W każdej książce detektywistycznej zabójcy kryją się za winklami.

— Pisze się „wysunęła” — powiedziała i cisnęła w niego błędem ortograficznym. Ostrze wbiło mu się w pierś do połowy, jak nóż osoby nieumiejącej kroić mango.

Złamana Klawiatura poczuł truciznę dyktanda, rozpływającą mu się po żyłach. To był koniec. Żadna ilość abstrakcji nie wygra ze zwyczajną poprawnością językową. Choćby stworzył kompletny, co do atomu, świat, to i tak niewiele by to dało. Księgarnie zdmuchnęłyby go jak piasek z dłoni. Powinien wrócić i pisać programy komputerowe, zamiast tworzyć epikę. Przynajmniej tam kompilator powie mu o brakujących średnikach.

— Daj mi jeden powód, dla którego miałabym cię oszczędzić. — Demonica zawiesiła nad pisarzem olbrzymie ostrze z poprawnie zastosowanych dialogowych myślników.

— Mateusz musi dolecieć na miejsce, prawda? — odpowiedział.

— Jakoś leci i leci, a nadal nie wiadomo, gdzie tak dokładnie jest. Rzucaś na prawo i lewo pojęciami, zupełnie ich nie tłumacząc. Uniwersalność, światłografy, warstwy, potwory. O co chodzi?

— Chciałem opowiedzieć o nich później, akcja rozwija się powoli, ciekawiej jest najpierw rzucić hasło, a potem dopiero je opisywać. Poza tym, obowiązkową częścią fantastyki naukowej, jest niewyjaśnianie niektórych zagadnień.

— Od kilku stron ta opowieść to jeden wielki opis! I nie jest to żadna fantastyka naukowa, nie ma w tym nauki. Są kule z sacroterii.

— Nic byś nie zrozumiała, gdyby nie opisy. Jakbym napisał, że polecili na Felicję, używając górnej warstwy, chociaż Kula nie posiadał do niej kluczy, to co byś sobie wyobraziła?

— Że to jakaś nadprzestrzeń, coś w stylu alternatywnego wymiaru. A klucze to pewnie wysokotechnologiczne urządzenia do wchodzenia w nią.

— Prawie. Górna i dolna warstwa odpowiadają za obieg energii we

wszechświecie. Górna rozprowadza, a dolna zbiera. Bez opisu nie wiedziałabyś, że nie wolno korzystać z górnej warstwy, gdyż wprowadza to zawirowania w przepływie w czasoprzestrzeni pod nią. Zawirowania powodują niedomiary i nadmiary Boskiej Siły, co się objawia większą skłonnością ludzi do popełniania grzechów, lub dobrych uczynków. Każda ziemską wojna była spowodowana podobną fluktuacją. W ogóle wszechświat składa się z czterech kwadr...

— Znowu aniołowie i chrześcijaństwo, wszyscy już o tym piszą. Nudne się to robi.

— Ale gdybym napisał, że statek Kula jest zasilany przez samego Belzebuba, a Profesor ma na swojej łasce czaszkę dziecka, oraz potwory były by tylko od niszczenia światów, to nie byłoby w tym nic niezwykłego, prawda? Może dostałbym porównania do Warhammera 40K? Otóż nie. Statek Kula działa na energię Boską, potwory służą aniołom, a ALOPP składa się z białych katolików Polaków. I tak, są rasistami. Bo widzieli dziesiątki cywilizacji i wiedzą które upadają, a które nie. Nikt nie opisał wcześniej takiego dziwnego świata, a ja będę pierwszy.

— No więc opowiadaj. Masz kilka minut zanim trucizna dotrze do twojego mózgu, a wtedy już nigdy więcej nie popełnisz żadnego błędu ortograficznego. — Na te słowa pisarz przełknął ślinę jak leniwa sprzątaczkę wciska kłęb włosów z odpływu jeszcze głębiej, żeby nie musieć go wyciągać. — A w ogóle, to beznadziejnie wszędzie wstawiać co chwila te abstrakcyjne porównania.

Demonica wyprostowała się, jakby właśnie czekała z reklamacją przeterminowanego serka na przyjście managera w sklepie z produktami o krótkim okresie do spożycia.

— Przestań!



Zasiedli do stołu. Srebrne sztuce z diamentowymi akcentami oraz ręcznie rzeźbione talerze dobrze współgrały z tkanym obrusem ze złotych nici. Nigdy nie widział tyle zastawy dla jednej osoby. Otrzymał po trzy noże i widelce, łyżkę, łyżeczkę, widelczyk, pałeczki, dziwny szeroki nóż, trzy kieliszki różnych kształtów, duży talerz, dwa małe i jeden głęboki. Do kryształowych szklaneczek Profesor nalał wszystkim titanicowego wina.

Na przystawkę było sushi z kawiozem i truflami. Gdy przyszli, było już nałożone na talerzu. Kula odmówił krótką modlitwę, dziękując za dar egzystencji, w imieniu wszelkiego życia, czasu i przestrzeni.

Jedzenie, jak wszystko, było bardzo wystawne. A jakże. Lecz w stu procentach pochodzenia ziemskiego. Mateusz spodziewał się jakichś nieziemskich przysmaków, dziwacznych owoców, grzybów z Tosa, czy steku ze smoka.

Czy to była prawda, że wszechświat jest całkowicie pusty, a Ziemia jest jedynym znośnym miejscem w zimnym niebycie?

Bardzo zaskoczyło naszego głównego bohatera to, jak kulturalnie zachowywał się Nadar. Był arogancki i nie leżały mu galowe ubrania, lecz z zachowania wychował się na dworze królewskim. Z kolei Katarzyna przywiązywała olbrzymią wagę do ubioru, ale nie potrafiła poprawnie złapać pałeczek. Profesor miał naturalnie i jedno i drugie. Mateusz udawał, że umie jeść sushi, a dyskretnie nadziewał kawałki na pałeczkę, jak na widelec.

Gospodarz wstał i przemówił, jakby właśnie oznajmiał obywatelom stowarzyszonego kraju, że jego wojsko wygrało dla nich wojnę i uratowało ich od najazdu nieprzyjaciela.

— Tradycją jest, że przy głównym daniu wybieramy się w jakieś malownicze miejsce, dezaktywujemy tarcze i otwieramy dach, spożywając posiłek na świeżym powietrzu — rozpoczął tajemniczo. — Proponuję, aby tym razem, nasz nowy gość wybrał miłą okolicę, w której będziemy mogli najlepiej delektować się dzisiejszą pieczenią z bażanta.

— Tylko nie środek oceanu, ani bezludna plaża. — Nadar bezwstydnie się wtrącił. — Mam na jakiś czas dosyć wody.

— To może pustynia? Piaskowe wydmy są bardzo ładne w promieniach zachodzącego słońca — odpowiedziała Kasia.

— Nie, piasek wpada do jedzenia i chręści w zębach.

— Szczyt Andów? Ładne widoki z jednej strony na puszcę, z drugiej na ocean.

— Zimno tam jest, będzie ci zamarzać zupa na talerzu. Potem skończysz całą mokra od topniejącego śniegu.

— Amazonia.

— Komary.

— Antarktyda.

— Pingwiny.

— To chyba zaleta.

— Nie, jeśli podkradają ci jedzenie z talerza.

— Nie wiem, może Paryż?

— Śmierdzi, jak szambo przywódcy komunistów na Kryonii.

— Gejzery na Islandii.

— Dla mnie okej.

— Przepraszam bardzo, ale wyjątkowo nie przepadam za zapachem siarkowodoru. — Kula nagle się przyłączył. — Za bardzo przypomina mi moją przeszłość.

— Sawanna?

— Za dużo turystów na safari, ciągle robią zdjęcia. Poza tym lwy łaszą się o kawałki ze stołu.

— A może Etna? — Mateusz niespodziewanie wypalił.

— Etna? — Kosma nie kojarzyła.

— Środek wulkanu, kula do połowy zanurzona w płynnej lawie, fontanny ognia oświetlające otoczenie. Subtelne pomruki z wnętrza Ziemi. Jeśli dobrze zrozumiałem, tarcze powinny nas przed magmą ochronić.

Nastała niezręczna cisza. Czy Profesor śmiał się w duchu, że Mechalityczny przecenił zdolności statku, czy może rozpatrywał ideę poważnie?

— To doskonały pomysł. Aktywujemy wszystkie warstwy na raz. Normalnie spowodowałoby to, że czulibyśmy się jak w szklanej kuli, bez wiatru, bez temperatury otoczenia. Lecz w tym przypadku byłoby to i tak wskazane, ze względu na toksyczne wyziewy. Nie ma nic lepszego od podziwiania lawowych rozbryzgów z odległości wyciągniętej ręki. Będzie, jak na powierzchni gwiazdy Edestii, gdy zapadała się w czarną dziurę.

Mateusz nie spodziewał się takiego obrotu spraw, ale cieszył się niemiłosiernie na myśl o zapatrzeniu się w przelewający się żywioł. Uczestniczenie w narodzinach supernowej zostawi sobie na później.

Profesor niepostrzeżenie przemknął pod wodą przez Cieśninę Gibraltarską, potem statek wynurzył się z Morza Śródziemnego, jak piankowa deska do pływania wylatuje w powietrze z basenu i skierował się prosto w kierunku włoskiego wulkanu. Ponieważ jednak Kula nie posiadała żadnych okien, goście mogli jedynie uwierzyć mu na słowo. Przynajmniej do póki nie otworzył dachu salonu.

— Nie wierzę, że nie zapytałeś się jeszcze Kuli, jak działa ten niezwykle twór. — Nadar zrobił sobie przerwę od jedzenia tłustego żurku i przykrył chlebową miskę, chlebową przykrywką.

— Czyli to nie jest tajemnica na równi z gabinetem Profesora? — Mateusz zapytał. — Myślałem, że nie wolno mi było tego wiedzieć. Albo powiem inaczej. Nie chciałem być wywalony przez naszego gospodarza w kosmos tylko dlatego, że zadałem niewłaściwe pytanie w niewłaściwym momencie.

— Panie Mateuszu Mechalityczny. — Profesor uśmiechnął się tajemniczo. — Co innego wyciąganie od innych zakazanych informacji, a co innego rozlewanie barszczu. Ciekawość jest wysoko ceniona w ALOPP, a także przeze mnie. Proszę śmiało pytać.

— Zatem skąd to jedzenie? — Zaczął od najbliższej mu rzeczy. — Nie widziałem tutaj żadnej kuchni, nie widziałem spiżarni. Te dania po prostu się tutaj pojawiły, jak przyszliśmy. Po przystawce z sushi odwróciłem się na chwilę i znalazłem zaraz przed sobą bochen chleba z zupą. A sacroteria? Co to za materiał? Co może być na tyle silne, aby wytrzymać napór gorącej lawy? Skąd w skafandrach bierze się nieskończona ilość powietrza? Jaki jest tutaj obieg wody? Dokąd ucieka dym z pieca w łaźni? Jak się tym czymś w ogóle steruje? Skąd czerpie energię? Gdzie ma silniki?

— Odpowiedź na twoje wszystkie pytania znajduje się za tobą na ścianie
— Kula oznajmił, jakby to było oczywiste.

We wskazanym miejscu wisiał elegancki zwój papieru, oprawiony w polaryzacyjnie mieniającą się szybę i ramkę niczym wzburzony ocean kiślu. Podobnie wyglądało do gabloty z diabelskim mózgiem i słoika na piklerze. Musiało więc to być szkło wymiarowe.

ŚWIATŁOGRAF

Ś Mocy Najwyższego, potwierdza się nadanie specjalnej właściwości powstałemu Profesorowi ☺.

Sacroteriowy twór, w formie uniwersalnego statku kosmicznego ☾, jest niniejszym przekazany Profesorowi od zawsze na zawsze, dla dowolnych celów. Dokładny projekt został nicodownie zapisany w Matrycy.

Nie pobiera się żadnej opłaty od właściciela.

Ś Bogiem.

Departament Światłografów.

Fragment papieru u dołu wyglądał na pozapłatywany w dziwaczne supelki.

— Światłograf to odwrotność cyrografu. Daje ci, jak to jest ładnie opisane, pewną właściwość. — Nadar zaczął opisywać, zamiast Kuli. — Może dawać ci żyć wiecznie, strzelać promieniami z rąk, wygrywać w lotka, eksplodować innym mózgi za pomocą pstryknięcia palcami, czy właśnie posiadać taką oto okrągłą rzecz.

— A sacroteria?

— Sacrum i materia. — Tym razem Katarzyna rozpoczęła wyjaśnienia. — Materia, która wygląda i reaguje tak samo, jak zwyczajna materia, lecz może zachowywać się w pewnych przypadkach całkowicie po swojemu. — Wzięła w palce końcówkę obrusu. — Z jakiego materiału jest to jest zrobione? Powiedzielibyśmy, że z nici i złota, może jakiś jedwab, albo czego się tam używa przy szyciu obrusów. Ale to jest sacroteria. Może i się zachowywać i plamić jak obrus, ale może równie dobrze zrastać po przerwaniu, jak żywa skóra, albo automatycznie solić leżące na niej potrawy. W Matrycy jest zapisany algorytm działania tego obrusu, jak i zasady działania całej sacroterii we wszechświecie. Cała kula, i to jedzenie, także jest z sacroterii.

— Prawie, w Matrycy zapisano, że wytworzone potrawy są całkowicie

zwyczajną materią — Gospodarz poprawił. — Jednak to nieistotne, gdyż nie byłby waćpan w stanie w żadnym stopniu doświadczać tego stwierdź, jedynie zaglądając do Matrycy ma się całkowitą pewność. Matryca to prawdziwe miejsce, ma kształt wielkiej płyty, położonej nad całym wszechświatem, powyżej górnej warstwy. Naturalnie, nikt śmiertelny nie ma do niej dostępu.

— Zwykle za światłograf pobierana jest opłata, ilość dobra do wytworzenia. — Znowu Nadar zaczął. — Może opierać na liczbę uratowanych dusz, jakiś wielki czyn, czy właśnie, jak tutaj, na nic. Ale myślę, że jednak nasz Profesor, kiedyś coś tak fajnego wykonał, że Niebo go polubiło.

— A ta plamka? — Była trochę jak miejsce gdzie ktoś próbował załatać wypaloną dziurę w naprężonym namiocie, ale brakło mu materiału.

— To odcisk duszy Kuli. Światłograf musi być podpisany. Nie jakąś przyziemną krwią, lecz czymś wiecznym i niezniszczalnym, twoją duszą.

— Pora na widowisko — właściciel statku przerwał rozmowę.

Stuknął laską i wtedy cały dach zaczął się otwierać na osiem stron, niczym kwiat. Żyrandol poleciał na jednym płatku na bok i spoczął w specjalnym do tego miejscu, nad sceną. Pierwsze, co zobaczyli, to niebieskie niebo otoczone czarnym kominem skał. Widok przywodził Nadarowi i Katarzynie wspomnienia, gdy w przepehnionej rakiecie kosmicznej uciekali z eksplodującej, mechanicznej planety przez wylot silnika.

Czerwona śmierć przelewała się nad otwartymi kawałkami dachu i objęła o niewidzialną barierę, spływając majestatycznie. Płomienne światło tworzyło wspaniałą, bankietową atmosferę. Rozsunięte fragmenty dostawały z pełną siłą żywiołu, lecz czerwone futro wcale się nie paliło, lawa po nim spływała, jak po odpychającym wodę za pomocą swojej mocy Hdrze, oblanym na śmigus-dyngus przez Ferra, wiadrem do helikopterowego gaszenia pożarów.

Tak, jak Kula zapowiedział, na główne danie pojawił się pieczony bażant w sosie kurkowym. Ponownie eleganckie jedzenie i ponownie z Ziemi. Czy dałoby się wygenerować potrawę idealną? Coś perfekcyjnego, lecz nieistniejącego?

A potem zdał sobie sprawę, że równie dobrze mógłby delektować się pizzą, pijąc aromat pizzy z próbowki. To właśnie nieidealność potraw nadaje idealny smak.



— Akcja, Atramentowa Plamo! Daj mi akcję — przerwała mu Winkla. — Mam nadzieję, że w czasie tego bankietu zdarzy się coś ciekawszego.

Potrząsała mieczem, jakby strzepywała z niego całą kolonię mrówek przybyłych na setne urodziny swojej królowej.



Wtem poczuli silne uderzenie. Wstrząsnęło ono statkiem, porozlewało wino z kieliszków i spowodowało, że Kula nie trafił widelcem w grillowanego ziemniaka. Zobaczyli na niebie całą armię latających helikopterów, jeden z nich wystrzelił kolejny pocisk i zaraz druga eksplozja zawibrowała otoczeniem. Było dokładnie tak, jak w amerykańskich filmach o UFO. Z tą różnicą, że role się odwróciły.

Profesor wstał, uklonił się, i zbiegł po schodach. Chwilę potem wrócił, niosąc olbrzymią, ozdobną tubę wmontowaną w taboret. Albo był to rozmontowany gramofon, albo broń masowego rażenia. Końcówka urządzenia wiła się, jak zniszczona niepoprawnie przeprowadzoną teleportacją. Tuba była podłączona wężykiem do lejka, który to przyłożył sobie do ust. Skierował otwór w górę.

— Jakim prawem przerywacie nam uroczystą konsumpcję bażanta, ciskając w nas wybuchowymi strzałami? — powiedział pretensjonalnym tonem, a tuba wzmocniła jego dźwięk do potęgi megafonu. — Polecam natychmiast opuścić krater wulkanu, inaczej komuś może stać się krzywda! — Odpowiedziała mu trzecia rakietą, kolidującą z tarczą.

— Wojsko Stanów Zjednoczonych, tajny oddział do walki z kosmitami. — Nocny wyciągnął z kieszeni okrągłą komórkę i podawał informacje.

— Proszę was — gospodarz powiedział do gości. — Nie musimy uciekać się do używania prądowych urządzeń. Schowajcie je z powrotem. — Nikt się jednak nie przejął uwagą starszego pana.

— Nadar. Masz coś mocniejszego, niż laserpała? — Katarzyna grzebała sobie pod suknią, niemal odwracając się na lewą stronę.

— Mogę tak ustawić dasery, aby strzelały w górę. Lecz wtedy potnie ich na kawałki.

— To może bierz tego dużego szyfratorem, wystraszysz resztę.

— Nie, bo spadnie do lawy i zgina ludzi.

— To ostatnie ostrzeżenie! — Kula nie brzmiał przekonująco nic a nic.

— Mam znikarkę, zniknę komuś pół kadłuba.

— Oszalałaś? Jeszcze uderzy w tarczę statku i sami znikniemy.

— *You are being arrested under UN law.* — Dało się słyszeć stanowczy głos z góry.

— *You are being destroyed under ummm... our own law.* — Nadar wyrwał Kuli lejek.

— Cokolwiek zrobimy, to spadną do wulkanu i umrą.

— No to zostaje pikler, potem trzeba będzie ustalić z Niebem, żeby cudownie wyciągnęli ich ze szkła wymiarowego.

— A co jeśli trafimy po drodze na uniwersalność? Wsadzisz ją razem z nimi, żeby się pozabijali? Nie mam zapasowych słoików.

— *Please leave your spaceship right now!*

— Sam jesteś *spaceship*. — Kula nie dawał za wygraną.

— Profesorze, czy ma pan jakąś defensywną broń na pokładzie?

— Owszem. Dobre słowo i miłość do wrogów.

— *You have no power against army of the United Stat...*

— *Shut up!* — Katarzyna przekrzyczała ryk lawowych fontann i wirników.

— Patrzcie! — Jednej z maszyn, pod wpływem gorąca, eksplodował silnik. Pilot wykatapultował się tak niefortunnie, że spadł prosto na szczyt półkulistej wypukłości tarczy.

— Kula wpuść go! Helikopter spada! — Po słowach Nadara, Profesor wskazał laską na żołnierza, który przesiąkł przez tarczę, zaraz w to miejsce uderzył wrak śmigłowca. Pomarańczowe światło przyćmiło na chwilę poświatę wulkanu. Kasia wystrzeliła szyfratorem w nieproszonego gościa.

— Mamy zakładnika, odpuście, albo go zab... coś mu zrobimy. — Starszy pan krzyczał do tuby.

— Oni nie rozumieją po polsku, Profesorze.

— *You out, or he die.* — Mateusz nie spodziewał się po Kuli tak słabej znajomości angielskiego. Jednak Amerykanie zrozumieli i przerwali ogień.

— *We will negotiate, please open your forcefield.* — Statki powietrzne zniknęły z pola widzenia, zjawił się za to jeden mały helikopterek, z przywiązaną białą flagą. Zbliżał się powoli i stanął w powietrzu, oczekując aż zniknie ochrona. Było w nim coś nietypowego, przypominał plastikową zabaweczkę, jaką kilkadziesiąt lat temu kupowało się dzieciom pod choinki.

— To pułapka! — Nadar naskoczył Katarzynie na plecy i skulił razem ze sobą. Chwilę potem olbrzymia eksplozja wstrząsnęła światem. Wszyscy upadli tam, gdzie stali.

— Ja pierdolę. — Nocny pomógł wstać Kosmatej. — Drugiej nie przeżyjemy. Musimy uciekać.

— Więc to koniec rozmowy. — Kula odłożył lejek na widelki, przejechał dłonią po kulce od laski od dołu do góry i wielki kwiat począł zamykać swe płatki. Zaczęli się wznosić.

— Stop! Tam, to chyba daser! — Dziewczyna wskazała palcem zieloną linię nad kraterem.

— Skąd...?

— Nie możemy wylecieć, bo przekroją nas na pół!

— A może uciekać do dołu? — Mateusz zaproponował.

— W dół?

— Do wnętrza Ziemi.

- Dałoby się. — Kula popatrzył w podłogę.
- Nie polecą za nami w lawę.
- I też spaliłoby się wszystko, cokolwiek wystrzela.
- W spokoju wylecimy potem innym wulkanem, nawet na dnie oceanu.
- A zatem w dół. — Profesor odwrócił laskę.

Białe zwierciadło poczęło się zanurzać coraz głębiej w Etnie. Po kilku sekundach, zniknęło pod fontannami płynnych skał, niczym śnieżka wrzucona do gotującej się wody. Hałas kotłującego się wnętrza wulkanu wolno niknął i nastała absolutna cisza. Panowała atmosfera przegranej walki, goście podziwiali tekstury dywanów i uciekali wzrokiem od siebie nawzajem, jak gdyby chcieli się przeproszać za wyrządzone szkody. Zaszyfrowane, pokryte niebieskawą poświatą ciało żołnierza, leżało w kwietniku. Połamane tulipany mizernie wyłaziły spod nieproszonej osoby. Na jego całkowicie przeciętnej twarzy malowało się jedynie zdziwienie, nie było tam ani śladu jakiegokolwiek strachu.

- Co powiecie wszyscy na deser? — Profesor przerwał milczenie.
- Jemu też? — Mateusz spojrzał na mocno nieelegancki mundur wroga.
- Oczywiście. Tylko trzeba go odpowiednio ubrać.

Wylecieli, rozbijając jeden z wulkanicznych szczytów Islandii. Lodowa chmura wzbiła się w powietrze, jak rozbryzg śniegu na twarzy dziecka, gdy przegrywa wojnę na śnieżne kule. Tęczowy poblask tysięcy lodowych kryształków był przez kilka sekund równie piękny, niczym Pałac Nadiru. Zaskoczeni turyści i nic nie przewidujący wulkanolodzy cykali im zdjęcia, z których później i tak nic nie wyjdzie.



Winkła popatrzyła krzywo.

- Eeee, nieee. To ma być akcja?
- Tak na wymuszenie, ciężko coś dobrego stworzyć. — Pisarz kładł się powoli na ziemi. Trucizna robiła swoje.
- Daj mu spokój, mnie się podobało. — Z cienia wyszedł Policmajster.
- Ale tylko trochę.
- Trochę za mało, musi być idealnie.
- Nigdy się nie da napisać nic idealnie.
- Przepraszam, ja tu umieram! — Klekisław ledwo siedział.
- Niech mu będzie. — Winkła westchnęła, wyciągając strzykawkę z antidotum. Wyciąg z prac pierwszoklasistów. — Ale czekamy na prawdziwą walkę, w której naprawdę mogą przegrać.

Dwa demony wystawiły do przodu głowy i przymknęły oczy, niczym wufista oceniający grubego ucznia ze skakania na skakance, gdy wstawił już mu jedynekę, i tylko czeka aż ten się zmęczy niepotrzebnymi próbami.



Przed chwilą spadałem prosto w objęcia kulistego UFO. Zaraz potem obudziłem się, przywiązany do krzesła, ubrany w jakieś cyrkowe ciuchy. Siedziałem przy eleganckim stole, przede mną, na srebrnym talerzyku, leżał kawałek czegoś, co przypominało ciasto. Jedną rękę miałem wolną. Trzy osoby tajemniczo się mi przyglądały. Wolałbym standardowo trafić na stół operacyjny, z próbnikiem w dupie.

— *Here, have a dessert* — powiedział gość z irokezem. Naszła mnie ochota, żeby rozsmarować mu ten *dessert* na twarzy, ale może rzeczywiście skończyłbym wtedy z próbnikiem.

— Nadar, co z nim zrobimy? — Jeden z nich, młodszy, zapytał go po polsku. Niesamowite, rozmawiają po polsku! Lepiej nie zdradzać, że rozumiem ten język.

— Damy mu zjeść, a następnie rozkroimy i wsadzimy próbnik w dupę, żeby przeprowadzać chore eksperymenty.

— A nie warto wcześniej trochę go przepytac? Zaraz, co?

— Sam nam wszystko wyśpiewa, gdy będzie mutował w krowę.

— Co, ale... auć... aha, tak. Najpierw w krowę, a potem w osła. Będzie boleć, oj będzie. — Młody nagle zmienił biegun.

— Potem podrzucimy jakiemuś niewyżytemu seksualnie farmerowi w Afryce.

— Mam lepszy pomysł. Wytniemy mu mózg, umieścimy w słoiku, i podłączymy do sztucznego ciała. Stanie się prawdziwym cyborgiem.

— Sprawdzimy, ile taki wojak znesie orgazmów na godzinę — dziewczyna się odezwała. — Pewnie wytrzyma z dwa dni sadystycznej męki, a później wysiadzie mentalnie.

— Podobno wojska specjalne Stanów całkiem dobrze sobie radzą w dżungli — starszy pan zajął głos. — Ciekawe, jak długo przeżyje sam w dżungli czerwonych kartaczy? Te smoki bardzo lubią ludzi, wpierw pieką żywcem w swoim ogniu, a potem zjadają kawałeczek po kawałku.

— Albo od razu w całości na surowo, żeby ofiara utopiła się w kwasie żołądkowym.

— Nie, to za szybka i za prosta śmierć. Proponuję zawieść go na Tos, żeby wgrzyzły się w niego pasożytnicze grzyby.

— Super, przejmą kontrolę nad jego mózgiem, wystarczająco mocno, aby sterować ruchami, i jednocześnie na tyle słabo, by zachować pełną świadomość.

— A może po prostu uwolnimy go? Odwieziemy od razu do domu.

— Doskonały pomysł, wsadzą go do wariatkowa i będą męczyć, żeby coś im o nas powiedział. Wyręczą nas z roboty. Ciekawe, jak zareagują na jego opowieści o bankiecie w kuli? Powie, że poczęstowali go ciastem?

— Pewnie trafi na stół operacyjny podziemnego laboratorium, z próbnikiem w dupie.

— Dość, zrobię wszystko, co mi rozkażecie! — zawołałem. Nie wierzyłem w ich groźby, ale też nie miałem ochoty przekonywać się, czy rzeczywiście nie są prawdziwe.

— Mówiłem, że to Polak? Swoją, swojego wszędzie pozna. — Ten, którego nazwali Nadar, wykonał triumfalny gest. — Więc na początek zjedz ten przepyszny jabłecznik.

Nie za bardzo miałem wybór. Gdyby chcieli mnie otruć, już dawno by to zrobili. Poza tym, faktycznie wyglądał smacznie.

Niepewnie wzięłem widelec w wolną rękę i spróbowałem trochę kosmicznego jedzenia. Smakowało, jak ciasto które robiła moja babcia, gdy jeździłem z wizytą do Polski. Miękkie, kruche, i lekko ciągliwe. Zjadłem całe i czekałem, aż zacznę mutować w krowę. Odbiło mi się, i chyba usłyszałem trochę muczenia.

— Teraz do rzeczy. Skąd do cholery macie daser? — Nadar wyjął długą pałkę i uruchomił. Zielone lasery, jak ten nasz, wystrzeliły równolegle do trzonu, a całość zawirowała. — Wnioskuje, że domyślasz się, co to robi?

— Nie. Nie mam pojęcia. Nic nam nie mówili, nasz oddział dostał ten laser całkiem niedawno, nie pozwalali nawet go przetestować — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Byłem pewien, że i tak nie uwierzą.

— Zademonstruję ci zatem, jak działa. — Wziął mój karabin i skrzyżował z pałką. Przeszła, jak przez masło, dzieląc moją broń na dwie części. Stalowe ścinki posypały się na stół. — Skąd macie naszą technologię?

— Przysięgam, nie mam żadnej wiedzy, co ona robiła! Nie mówią nam tam niczego, wszystko jest w tajemnicy wojskowej. Lecąc na misję, nawet nie wiedziałem, z czym będziemy dzisiaj walczyć!

— Nadar, on chyba mówi prawdę, na pewno nie wtajemniczaliby go w zdobyte bronie kosmitów — dziewczyna przerwała.

— Jak wyglądało pudełko dasera? Co w nim było? Jak je przewozili? Do czego podłączali? — kontynuował zadawać pytania, jak niezdolne dziecko.

— Tylko przez chwilę mi mignęło. Było w specjalnym śmigłowcu. W asymetrycznym pudle z dziurą w środku. Dwóch naukowców je obsługiwało. Chyba nie prowadzili kabli do niczego zewnętrznego.

— Jedno pudło?

— Tylko jedno, mówili że bardzo cenne.

— Gdzie je przetrzymują?

— Ten śmigłowiec dołączył do nas później, od innej strony, nie leciał razem ze wszystkimi.

Mój rozmówca się rozluźnił i nawet trochę uśmiechnął. Zdziwiłem się, tak samo jak pozostali.

— Chyba mówisz prawdę. To by znaczyło, że musieli ukraść nam kiedyś jakieś daserowe urządzenie, ale wciąż nie znają zasady jego działania.

Milczałem.

— Mateusz, to będzie twoja pierwsza misja. Dowiesz się, gdzie trzymają ukradziony daser i odbijesz go z powrotem.

Mateusz przełknął ślinę.

— To co z nim w takim razie zrobimy? Teraz już na serio. Nie możemy go przecież tak po prostu wypuścić — dziewczyna zapytała poważniejszym tonem.

— Trzeba pokazać go potworom na sąd. Pewnie wsadzą naszego mordercę do kubistycznego więzienia.

— Czy to nie za ostro? Trochę go do mordowania też amerykańska armia zmusiła. Jest poza tym ta nowa planeta koncentracyjna do zsyłek.

— SS-manni także byli zmuszani do mordowania, żadna ulga mu się nie należy. I nie może być umieszczony z innymi ludźmi, jest za dobrze wyszkolony, wymorduje wszystkich pozostałych. To ma być zsyłka, a nie raj dla psychopatów.

— To może, nie wiem. Zaszyfrować go aż do końca wszechświata. To będzie jak podróż w przyszłość, nawet nie zauważy.

— Zastanów się, to równa się śmierci. Obudzi się po bilionach pulsów tylko po to, aby zobaczyć Apokalipsę.

— Ja spróbuję go naprawić — starszy pan odezwał się po dłuższym czasie. Zdziwiłem się.

— Panie Profesorze, ta osoba jest niebezpieczna! Zdradzi i zabije pana.

— Ja wierzę, że każdy może się zmienić. Zrobimy z niego porządnego obywatela Felicji.

— Felicja jest przepełniona, nikt się tam więcej nie zmieści. Chyba nie chce pan wojny domowej?

— To zrobimy drugą Felicję, większą, dzikszą, o ustalonym prawie i dowolnej liczbie mieszkańców. Będzie równość i tolerancja dla wszystkich istot, będą mogły żyć w spokoju przed prześladowaniem. Miejsce bezpieczne od przemocy, opresyjnych rządów i odrzucenia. Różnorodne i wspaniałe. Każda kultura wszechświata w jednym miejscu, razem stanowiące cudowną jedność. Prawnie ustale system, który dla każdego będzie równy. A to będzie jej pierwszy osiedlenie.

Wszyscy, prócz Profesora parsknęli śmiechem. Był w nim pogłos stereotypowego Polaka, cieszącego się z nieszczęścia sąsiada.

— To już lepiej na zsyłkę. Przynajmniej będzie miał szansę na dożycie starości — Nadar zakończył.

Starszy pan, czerwony ze wściekłości, rozwiązał mnie i poprowadził od stołu. Za plecami słyszałem kolejne wizje, co by się na tej „lewackiej” pla-

necie działało. Chłopcy rzucali obłęsnymi pomysłami co do nowych praw, dziewczyna rozpatrywała kto, i jak, musiałby ich przestrzegać.

— Zakaz jedzenia mięsa, bo zabijamy biedne zwierzątka.

— Ale takie zesłane smoki, jak mogłyby to przeżyć? One jedzą tylko mięso.

— Myślę, że potajemnie pożywiałyby się innymi obywatelami.

— Na pewno dałoby się napisać ustawę rozwiązującą ten głodowy problem.

— No co ty, przecież to element ich kultury. Nie możemy nikomu zabronić być sobą, ty pieprzony rasisto...

— ...nie wolno ci zakazać mi być rasistą... musisz tolerować moją nietolerancję...

— ...przywilej nietolerowania nietolerancji mają tylko niebiali nieludzie. A ty jesteś białym, heteroseksualnym mężczyzną!

— ...śmiesz zakładać przedział mojej płci? Śmiesz, zakładać, że jest prosta? Dla mnie to przestrzeń...

— ...dzisiaj czuję się w 49 + 12i procentach kobietą... nie... rośliną...

— ...e, tam... kwaterniony lepsze, czterowymiarowa czasoprzestrzeń płciowości...

— ...jeszcze trzeba dodać zmienną gatunkowość...

— ...czyli jeśli identyfikujesz się jako moje jedzenie, to mogę cię zjeść?

— ...identyfikuję się, jako kamień... nie, nie możesz mnie zjeść...

— ...dzisiaj jestem zjadaczem kamieni... mam takie prawo...

— ...czekaj, czekaj... a jaki jest wyznacznik macierzy płci takiego kamienia?

— ...dwa do pierwiastka z cebuli... inna odpowiedź mnie obraża...

Schodziliśmy w dół po schodach, śmiechy na górze stawały się coraz bardziej niewyraźne. Ten statek był gigantyczny w środku. Profesor Kula, jak mi się przedstawił, zapytał o moje imię. Steve. Zaprowadził mnie do własnego pokoju i zostawił, nawet nie zamykając drzwi. Powiedział, abym dowolnie korzystał z dobrodziejstw Kuli i nie bał się prosić o pomoc. Zaproponował nawet kąpiel w basenie, ale oczywiście odmówiłem. Pokój był bardzo malutki i bardzo elegancki. Wszystko w tym obrzydliwym, rokokowym stylu rozjechanego czołgiem kota. Większość stanowiło podwójne łóżko z daszkiem i firanką. Do tego kilka krzeseł, stoliczek, szafka, toaletka. To miejsce nie służyło do długotrwałego przesiadywania. Gdyby urwać podpórkę od łóżka, rozbić lustro, związać firanę, rozłożyć na części krzesło, to mógłbym sobie stworzyć jakąś włócznię i tarczę. Poczułem się, jak bohater filmów. Najpierw walka z pozaziemskim atakującym, potem próba przetrwania w niesprzyjających warunkach. Na koniec zrobienie sieczki z kosmitów i majestatyczne eksplodowanie ich statku.

Kogo ja oszukuję, jestem bezsilny wobec ich technologii. Zamroziliby mnie ponownie w czasie, gdybym tylko próbował coś odwalić. Albo przecięliby na pół tą laserową pałką. Będę musiał jakoś uciec. Na każdym statku kosmicznym są kapsuły ewakuacyjne, prawda? Trzeba się rozejrzeć pod pretekstem zwiedzania.

Uchyliłem drzwi. Po drugiej stronie był pokój podobny do mojego. Ujrzałem tamtą dziewczynę w sukni. Malowała się przez lustrem, spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i pokiwała palcem, jak małemu dziecku. Nigdzie nie pójde. Zamknąłem z powrotem drzwi, opierając głowę o klamkę przypominającą kształtem niedokończony kogel-mogel pomocnika szefa kuchni, po tym jak właśnie zszedł na zawal.

Czyli to jest UFO, a oni są kosmitami. Ale nie byli kosmitami. Tego jednego byłem pewien, no może poza Profesorem Kulą. Bardziej przypominali gości z Ziemi. Tak inni od właściciela. Pewnie ich zaprosił do siebie na przejażdżkę. Gdzie w takim razie lecą? Na wakacje, na inną planetę, czy do swojego kosmicznego domu? Na pewno nie mieszkają na błękitnym globie, bo używają abstrakcyjnych technologii. A to musi oznaczać, że istnieje jakaś pozaziemska cywilizacja ludzi, a może nawet Polaków! Skomplikowane to wszystko, nie mniej jednak, z pewnością nie zabiją mnie tak od razu.

Dopiero teraz zwróciłem dokładniejszą uwagę na swój ubiór. Bardzo kosztowny i elegancki. Nie wiedziałem, gdzie był mój oryginalny mundur. Nie miałem ze sobą nic innego, więc postanowiłem go zachować, może się przydać. Usiadłem na łóżku. Było miękkie i wygodne, dawno nie leżałem na czymś takim. Niczym dół wypełniony małymi kurczaczkami. Na chwilę położyłem się na plecach. Od kilku lat sypiam na pryczach z poskręcanych sprężyn. Nawet nie zauważyłem, kiedy zasnąłem.

Obudziło mnie głośnie chrobotanie. Metaliczny dźwięk rozchodził się po całym statku. Szklane ozdoby lekko dygotały, coś atakowało kulę. Stwierdziłem, że skorzystam z zamieszania i wymknę się niepostrzeżenie. Uchyliłem delikatnie drzwi, lecz na korytarzu nikogo nie było. Żółtawe płomyczki na świecznikach drgały, jakby chciały mnie przestrzec przed ucieczką. Zdmuchnąłem je.

Moje eleganckie trzewiki hałasowały, jak na występie stepperów dla półgłuchej publiczności. Posuwałem się, zagłuszając swój ruch zewnętrznym hałasem. Jeśli schodziliśmy w dół, a nie widziałem po drodze żadnego wyjścia, to znaczy że musiało być ono na najniższym piętrze, na którym jeszcze nie byłem. Udało mi się dojść do schodów, ostrożnie wychyliłem głowę zza sufitu dolnego piętra i zobaczyłem właz w ścianie kuli. Tego szukałem.

Dziwny dźwięk wyraźnie był tu głośniejszy. Ktoś próbował przewiercić się przez drzwi. Byłem pewien, że reszta mojej grupy przybyła mnie odbić. Któż inny mógłby zaatakować latającą kulę?

Złapałem urządzenie do otwierania wjazdu i począłem kręcić, jakby od tego zależało moje życie. W tym samym czasie usłyszałem za sobą zbieganie po schodach.

— Puść tę korbę! — Mateusz przybiegł, miał w ręce nóż do masła.

— Wypchaj się, wrócili tu po mnie — odpowiedziałem, odwracając do niego głowę.

— Nikt po ciebie nie wrócił, jesteśmy pośrodku... — nagle zamilkł i otworzył szeroko oczy, jakby właśnie zobaczył ducha.

Ostrożnie się odwróciłem, podejrzewając, że to wcale nie moja grupa przyszła mi z odsieczą. To, co ujrzałem, zmroziło mi krew. Jakbym właśnie został zalany szybko twardniejącą żywicą i postawiony w muzeum porażek życiowych, obok wielkiej gabloty w centrum.

W otwartym na oścież wjeździe, na tle rozgwieżdżonego nieba, lewitował dziadek w wannie. Patrzył na nas tajemniczo, uśmiechając się. Na głowie miał czepek kąpielowy, w ręce trzymał słuchawkę prysznica, wszędzie były góry piany.

— Witam panów. Czy nie macie może pożyczyć trochę szamponu? Lecę już tak milion lat i wciąż nie mogę dokończyć kąpieli — powiedział, akcentując każde słowo w losowy sposób.

Pokręciłem lekko głową.

— Nie szkodzi — zaśmiał się. — Umyję się tobą.

Zamachnął się słuchawką, jak lassem, rzucił do środka i owinał ją wokół mojej nogi. Przewrócił mnie, począł ciągnąć z nadludzką siłą. Złapałem się korby w ostatnim momencie. Owinięta wokół stopy końcówka prysznica była jak macka, próbowałem ją strząsnąć, lecz zahaczyła się o sznurówki butów. Szarpnął mocniej i obrotowa rękojeść korby zaraz wyslizgnęła mi się z objęcia, poleciałem dalej, w kierunku próżni. Czepiając się palcami puszystego dywanu, zobaczyłem jak Mateusz dźga nożem powietrze. Włosia materiału były za słabe, aby mnie utrzymać. Wciąż porywał mnie do siebie. Chwyciłem się ostatniej rzeczy przed śmiercią, framugi drzwi. Wtedy też, połową mojego ciała, poczułem zimną pustkę kosmosu. Ktoś delikatnie objął mnie dłonią za kostkę i szarpnął, plusnąłem w ciepłą wodę.

Wanna lekko się zachybotała po moim wejściu. Zobaczyłem obok siebie wyszczerzoną twarz staruszka. Adrenalina nie pozwoliła mi poczuć, że właśnie duszę się w próżni kosmicznej. Złapałem się boku wanny, próbując wyskoczyć, lecz moja ręka ześlizgnęła się, jakby była z mydła. Popatrzyłem na swoje dłonie, topiły się jak воск. Dziadek przejechał gąbką po mojej twarzy, uczucie jakby zabrał mi cały policzek.

Nagle różowy promień wystrzelił ze środka kuli. Znalazłem się w nurcie rwącej rzeki, która ciągnęła wszystko z powrotem.

— Ojojjoj! Nieszczęście — zawołał dziadziuś.

Zobaczyłem Nadara z wyciągniętym pistoletem, jego dziwny laser wciągał nas obu. Wpadłem do lufy i zaraz uderzyłem we wklęsłą, szklaną ścianę, rozplaszczając się. Wielka twarz obserwowała mnie czujnym wzrokiem. Sekundę później, od tyłu dobiła mnie lecąca wanna, a potem wpadający do niej kosmiczny podróżnik. Woda przyszła ostatnia, zalewając wszystko, rozpuszczając mnie jeszcze bardziej. Czułem, że umarłem, wciąż mając świadomość.

Po schodach zszedł Profesor Kula.

— Panie Mateuszu, specjalnie dla pana wyszliśmy na chwilę z podróży górną warstwą, z powrotem do czasoprzestrzeni. — Nawet nie zauważył, co się tutaj przed chwilą stało. — Znajdujemy się pomiędzy galaktykami, w wielkiej pustce kosmosu. Najbliższa materia znajduje się trzy miliony lat świetlnych od nas. Proszę spojrzeć, o tam, to Droga Mleczna, nie jest niesamowita? Tak wygląda z zewnątrz, niczym biała spirala... — Przerwał, rozejrzał się. Popatrzył na Mateusza, Nadara i na mnie, zamkniętego w szklanej bańce.



Winkła opuściła swój miecz i schowała. Nikt nic nie mówił, nikt nie reagował. Klekisław poczuł się obserwowany ze wszystkich, ciemnych zakamarków zaułka.

— Za bardzo skomplikowane i chaotyczne — odpowiedziała.



Miałem dość. Omal nie zamieniliśmy się wszyscy w szampon. Chciałem spać, chciałem wreszcie uciec od kosmosu, latającej po nim uniwersalności i kręcącego w nosie pudru. Obudzić na miejscu, na Felicji. Jednak nie byliśmy nawet w połowie drogi.

Zastałem Profesora i Kosmę w salonie, zasnęli przy kawie. Z biblioteczki dobiegał głos wertowania książek. Na stole leżała zabezpieczona kulka wymiarowa. Mały dziadzius w środku mył się w najlepsze, niesamowitą ilością piany. Od czasu do czasu kupka bąbelków poruszała się samoczynnie, jakby chciała zwać z wanny, lecz nic jej to nie pomagało. Zasłużył na to.

Obudziłem śpiochów i poinformowałem, że mam dosyć, idę się myć i spać. Kula coś jeszcze mówił o jakimś występie kabaretowym na scenie, cieście biszkoptowym i chińskiej herbacie. Katarzyna podniosła się i wolno poszła w kierunku schodów. Obłok dymu niesiony wiatrem. Znowu spadła.

Miałem wrażenie, że wszyscy mieli dość, wszyscy z wyjątkiem Mecha. Po przejrzeniu chyba całej biblioteki męczył mnie, żebym mu wyjaśnił, jak zlałem uniwersalność do nieprzekraczalnego szkła wymiarowego, co się stanie

z porwanym żołnierzem, gdzie żyją smoki, kto to są potwory itp. Siedziałem akurat w jacuzzi, uważając żeby nie zasnąć i się nie utopić. Wybitnie nie miałem ochoty na rozmowy o infrastrukturze.

— Wasza praca zawsze tak wygląda? — torturował mnie.

— Tak.

— I często natrafiacie na takie dziwne zjawiska?

— Tak.

— I za każdym razem udaje wam się wygrać?

— Tak.

— Nie wierzę w to, kłamiesz.

— Tak.

— No dobra, a na górze w bibliotece jest Atlas Wszystkich Istot Wszechświata, ale jest trochę cienki. Większość zajmuje Ziemia.

— Tak.

— Czy to prawda, że istnieje tak mało żywych organizmów? Ledwo kilka planet? Kilkadziesiąt gatunków smoków?

— Tak.

— Zawsze będziesz mi odpowiadał „tak?”

— Tak.

— Jesteś chamski.

— O...tak.

Poszedł sobie w końcu.

Wtem fala zimnej wody wylała mi się na głowę. Mech trzymał puste wiadro z wodą do polewania pieca w saunie.

— Zabiję cię — wysyczałem przez zęby.

Nie uciekł, a stał tylko z wyrazem twarzy, który ja sam bym przyjął w takiej sytuacji. Nienawidziłem go za to, że potrafił być tak podobny do mnie.

— Dobra Mech, włącz. Pogadamy. — Już mi się nie chciało spać. więc równie dobrze mogłem obudzić się rozmową jeszcze bardziej.

— Mech?

— A jak mam cię nazywać? Mateusz to przecież nudne imię, a twoje nazwisko brzmi jak „Mechaniczny”, to prawie jak Mech. Ja bym był dumny z takiego przezwiska, znaczy, gdybym nie lubił swojego własnego, słowiańskiego imienia.

— Niech będzie Mech, co właściwie tam się stało? — zapytał, zdejmując ubranie.

— A jak myślisz? Powiedz, co wywnioskowałeś z tego zdarzenia?

— No więc, uniwersalność to... taka jakby magia. — Zanurzył się w bąbelkach.

— Poprawnie. Zachowuje się jak stereotypowa magia, jaką znasz z książek i filmów. Jednak z tą różnicą, że nie można jej w żaden sposób kontrolować.

— Ale... — Myślał przez chwilę. — Jak ją więc przechwyciłeś?

— Sacroteria jest silniejsza. Sacroteria może być wszystkim, w szczególności może sterować uniwersalnością. Jest określana bezpośrednio przez zasady Matrycy.

— To nie wyjaśnia, jak dziadzio znalazł się w zamkniętej kuli.

— Pikler ma mały moduł tunelowy. Działa trochę jak kwantowy efekt teleportacji cząstek. Z jednej strony wchodzi dowolna materia, zaraz pojawia się kilka centymetrów dalej, w słoiku...

— ...a ściana jest ze szkła wymiarowego, przez którą nic nie przejdzie.

— Poprawnie.

— A czy ten uniwersalny dziwak nie może po swojej stronie sam stworzyć czegoś podobnego do modułu tunelowego? I przeteleportować się z powrotem?

— Nawet jakby stworzył, nie będzie on działał, gdyż wewnątrz kuli nie działają zasady Matrycy, jego twór nie będzie miał swego rodzaju zasilania. To trochę jak klucz bez zamka, albo silnik bez prądu. To Matryca mówi, że w miejscu, gdzie jest nasz moduł, ma powstać tunel. A nie, że moduł sam z siebie tworzy tunel. Moduł jest jedynie wskaźnikiem dla Matrycy. Rozumiesz?

— Chyba tak, czytałem coś o tym przed chwilą w bibliotece.

— Co innego czytać, co innego zobaczyć. Dopiero jak ujrzysz, przez sufit górnej warstwy, kwadratowe komórki wielkiej formy do lodu, i dotkniesz ręką ściany wszechświata, zrozumiesz.

Obudził mnie dźwięk opuszczanego włazu. Wygramoliłem się z elegancckiego, acz niewygodnego łóżka, przebrałem w normalne ubrania i zszedłem na dół. Przy wyjściu spotkałem naszego Profesora. Trochę nafukał na mnie, że jak śmiem chodzić po Kuli bez należytego ubioru, lecz miałem to gdzieś. Wrota były otwarte na oścież, a czerwony dywan rozłożony w całej swej długości, niczym jęzor jakiegoś dziwaczego zwierzęcia.

Rzeńska atmosfera porannej Felicji dobudziła mnie. Było już jasno, lecz słońce chowało się jeszcze za horyzontem. Wylądowaliśmy na głównym placu w centrum, uliczny bruk mienił się od rosy, w gazowych lampach tańczyły małe płomyczki, choć nie rozjaśniały już nocy. Nikt nie kwapił się do wyjścia na ulicę. Albo Profesor Kula tak często odwiedza ten świat, że wszyscy przywykli, albo nikt nie wyszedł, ponieważ akurat była niedziela. W oddali z mgły wylaniały się wieże lądownicze dla statków kosmicznych. Na jednej z takich, sądząc po kształcie, stał prawdopodobnie śmieciolot. Na ławeczce siedział Mech i popijał porzeczkową herbatę. Wszystko było w należyтым porządku.

— I jak ci się podoba Felicja? — zapytałem.

— Wygląda całkiem przyjemnie, mógłbym tu mieszkać. Ale nie wiem, czy by mi pozwolili. Czytałem, że ta planetka została stworzona sztucznie, jako oaza szczęścia dla ludzi. Segregacja kandydatów na mieszkańców jest bardzo duża.

— Oaza szczęścia w teorii. W praktyce, oaza niestabilności, permanentnie leżąca na skraju wojny domowej. Albo dokładniej mówiąc, biorąc pod uwagę ilość obywateli nie przekraczającej setki, na skraju sprzeczki rodowej.

— Wiem, początkowo był tutaj perfekcyjny komunizm, jako poprawnie działający w bardzo małych społecznościach, na przykład w rodzinach, ale niedoszacowano ilości osób, dla jakich będzie jeszcze poprawnie działał i teraz wszyscy szukają alternatywnej ideologii do zastosowania.

— Ideologia i system społeczny zmieniają się tu regularnie. Mielśmy już megapuls monarchii absolutnej, megapuls czystej demokracji, megapuls tyranii rasowej, megapuls jakiegoś czegoś, gdzie każdy miał chodzić w anonimowej masce, już nie zliczę.

— Jak myślisz, co teraz jest?

Wzruszyłem ramionami.

Poprosiłem Mateusza ze sobą i poszliśmy w kierunku ratusza głównego. Wszędzie było dziwnie pusto, jak gdyby nikt tutaj nie mieszkał. Chyba to jednak nie było z powodu niedzielnego poranku. Na wszelki wypadek trzymałem rękę na szyfratorze.

— To logo ALOPP, co masz na piersi, czy ma jakąś symbolikę? — zapytał.

— Potworan z księżycami. Nasza główna planeta. Na środku jest mały okrąg z pionową średnicą, oznacza bazową planetę i drzwi do lepszego świata, czy jakoś tak. Drugi, większy okrąg, z dwoma połączeniami wewnętrznego, to cywilizacja potworów, jeśli dziewiątkę istot można w ogóle nazwać cywilizacją. Nadbudówka nad powierzchnię, czyli wielkie mosty, jakieś wieże, laboratoria, elektrownie, fabryki. Wszystko automatyczne. Ciągnie się od horyzontu po horyzont, te dwie kreski pomiędzy. I jeszcze osiem kółek wokół to niezliczone księżyce.

— Nieźle.

— Ja wiem, mało ludzi, wielka pustka, nieistniejąca prawie przyroda, brak gwiazd na niebie, nie ma z kim pogadać. Wolę chyba tutejsze światy, ciekawsze.

— Zazwyczaj dom nie jest tym, co jest najbardziej niezwykle na świecie, prawda? Musi być jedynie przytulny i bezpieczny.

Wtem zza rogu wyskoczyło na nas potężne monstrum. Było wysokie na kilka metrów, ważyło pięć ton i miało pomarańczowe łuski. Wylądowało metr

od Mechalycznego i ryknęło mu z całej siły prosto w twarz, strosząc kolce. On jednak nawet nie zareagował.

— Plazma, nie wygłupiaj się — powiedziałem.

— Dziwne, zupełnie jak zamrożony przez Mikołaja — ryknął w odpowiedzi.

— Może umarł ze strachu tak szybko, że wręcz nie zdążył podskoczyć? — zaproponowałem.

— Ja cię znam — Mateusz nagle się odezwał, oglądał potwora, jak eksponat muzealny. — Byłeś swojego czasu na targach fantastyki w Poznaniu, prawda?

— I to nie raz. — Pomarańczowy obrońca wyszczerzył trójkątne zębiska. — Widziałeś mnie tam? Miło od czasu do czasu pochodzić wśród obcych, nie martwiąc się że zaczną uciekać z krzykiem.

— To ty zawsze wygrywasz konkurs na najlepszy cosplay, tak? Od początku byłem pewien, że to jednak nie był strój. Zbyt realistyczny. Do tego czasami zapominałeś się i nie chodziłeś nienaturalnie sztywno, udając robota z kartonu. Wyginałeś pod sobą parkiet, żadna osoba nie utrzymałaby na sobie tak ciężkiego kostiumu — Mech się rozgadał. — Ale oczywiście, jak mówiłem wszystkim że to nie jest żaden sztuczny twór plastyka, tylko prawdziwa istota z kosmosu, to mnie wyśmiewali.

— Widzę, żeś szczegółowy.

— Ja żyłem twoją tajemnicą przez kilka miesięcy! — opowiadał. — Ty nawet nie wiesz, jaką histerię wśród innych przebiegających się spowodowałeś. Wszyscy chcieli wiedzieć kim jesteś i z jakiej gry była twoja postać. Właściwie to wręcz stworzyli twój trójwymiarowy model ze zdjęć, chcąc zbudować sobie twoją kopię. Tonąłem w prośbach od znajomych, abym zaprojektował im ten kształt.

— To by wyjaśniało, dlaczego ostatnio tak często mnie fotografują.

— Obejrzyj YouTuba czasami. Teraz wiem, że od początku miałem rację!

— To może następnym razem zrobię tak: — Plazma podniósł łapy, z których wystrzeliły ogniste płomienie i uformowały się w kształt Mecha. Ognisty Mateusz spojrzał na prawdziwego Mateusza, prawdziwy Mateusz popatrzył z powrotem. Potem świecący duch rozmył się na wietrze. — Ciekawe, ile wystawcy zapłaciliby mi za zrobienie tak z ich logami?

— Zrób to, nie mogę się doczekać, jak twórcy internetowych filmików zaczną studiować książki od fizyki, próbując wyjaśnić to zjawisko. Może któryś spali swój dom, chcąc cię potem naśladować.

— Znamy się od niecałego kilopulsa, a ja już cię lubię. — Zamachał ogonem. — Nie myśl jednak, że dam ci fory. Lecimy na Planetę Wojny, dołączysz do Komodowej armii.

— Ta armia z pustyni, która ubiera się w pancerze wspomagane? — zapytał. — Kula miał u siebie książkę na temat tego świata. Tylko nie napisali, skąd nazwa.

— Sam się przekonasz, dlaczego Komodowa. Będiesz tam nowym rekrutem, przejdziesz wyczerpujące szkolenie na ich żołnierza. Komody szykują się na ofensywę Hirten, po tym jak grupa imigrantów z północy wprowadziła się do wyludnionego miasta, uciekając przed wirusem rozpylonym nad ich krajem przez Czarnych. Czarni rozproszyli go, jako odwet za zajęcie złóż ropy na biegunie i sprzedaż jej po konkurencyjnej cenie do Kraju Adezeli, przez co spadł im eksport i... no sytuacja polityczna jest tam tak skomplikowana, jak węzeł na świecących choinkowych.

— Ciekawie się tam dzieje.

— Niektórzy mówią też na nią Planeta Chaosu. Będę cię potajemnie obserwował i wydobędę z opresji, gdyby coś się działo...

— Przypomniało mi się. — Wręczyłem potworowi kulkę z dziadziem i półpłynnym szampo-żołnierzem. — O mało nas także nie zmydlił.

— Cholera, to już drugi, mnożą się, czy coś? — Mały człowieczek pomachał potworowi.

— Ten ma różową słuchawkę od prysznica, tamten miał zieloną.

— Czyli pewnie wylał się z głównego słoja jakiś wszechświat wannodziadziusiów? Ilu ich jeszcze może być?

— Gorzej, że jego wąż jest ze zwyczajnej materii, więc ignoruje tarczę przeciw uniwersalności wokół Kuli. Przypadkowo uratowaliśmy takiego żołnierza, ten tu wyciągnął go ze statku jak lassem, wrzucił do wanny i zmienił w pianę.

— Wąż nie jest fragmentem dziadziusia? Skąd oni wzięli te węże w pustce kosmicznej?

— Gość nie był rozmowny, ale wydusiłem z niego, że kupił je w pewnym sklepie w Kanadzie. Zatelefonowałem do sprzedawczyni i potwierdziła, że kilka razy zjawił się u nich nagi mężczyzna, odziany jedynie w czepek.

— I nie zadzwoniła po policję?

— „To byłoby rasistowskie zachowanie.” — Imitowałem wysoki głos.

— Ale jedyną rzeczą, która właśnie leciała z Ziemi byliście...

— Kula zawsze sprawdza, czy nie ma pasażerów na gapę, więc mało prawdopodobne.

Przerwały nam wołania dwójki osób z daleka. Przymoczarscy.

— Hej, to zakazane pokazywać swoją postać! — Magda Przymoczarska dopadła naszą grupkę. — Wedle obecnego prawa, każdy obywatel ma obowiązek być niewidzialny.

— Co wy znowu odpierdalacie. — Przewróciłem oczyma. — Gdzie jest twój małżonek Michał?

— Michał przestrzega prawa. Wytlumaczę wam zaraz tę wspaniałą ideę. — Wciągnęła dużo powietrza. — Zatem. Nosząc pelerynę niewidkę, obywatel nie ma poczucia, że musi żyć tak, jak większość. Nie sugeruje się czynami innych, w związku z tym popełnia lepsze decyzje dla siebie.

— Ale także nie zostanie nigdy sprowadzony do bezpiecznej normalności, gdyby odleciał w swoje własne widzimisie, gdyż normalność nie jest w tym momencie zdefiniowana z powodu nieistniejącej społeczności. — Mateusz zauważył.

— Tak, ale skąd wiadomo, że powszechnie przyjęta normalność, zdefiniowana przez społeczność, jest najlepszym wyznacznikiem zwyczajności dla wszystkich? A może to właśnie ty masz idealny pomysł na rozwiązanie problemu, a nie większość?

— Wtedy ludzie będą robić każdą rzecz po swojemu i powstanie niekończąca się wojna o tak nieznaczące zagadnienia jak sens noszenia ubrań, czy sposób używania sztuców, gdyż każdy będzie chciał to robić na swój własny, w jego mniemaniu perfekcyjny, sposób.

— A czy konieczne jest, aby obywatele nosili ubrania? Abstrahując od tego, że są niewidzialni. Czy sensem życia jest sposób w jaki jemy, czy samo jedzenie?

— To co będzie bronić człowieka przez sraniem na ulicy, jeśli sobie wymyśli, że tak powinno się robić? — Mateusz się już denerwował.

— Wykształcenie. Zrozumie, że zarazki z kupy dosięgną później jego samego, więc nie popełni autodestrukcyjnych czynów.

— A odpowiedzialność? Jeśli zrobię społeczeństwu coś złe, no nie wiem, zepsuję przypadkiem latarnię, to kto się dowie, że to ja? Przecież będę niewidzialny. W efekcie nikt nie poczuje się do dbania o dobro ogólne.

— Poczuję, ponieważ będzie korzystał z tego dobra ogólnego. I jeśli on popsuje lampę, to inni mogą zrobić to samo, na przykład z ławką, na której co poranek siada. Zatem zakładając dobre intencje pozostałych osób, postara się naprawić wspomnianą krzywdę dla dobra ogółu, gdyż inni także naprawiliby przedmioty, których on sam używa.

— Nie można robić założenia, że ludzie są tacy dobrzy. Jedna zła osoba rozwaliliby cały system.

— Felicjanie są wybrani spośród wąskiej grupy osób. Wszyscy są wykształceni, mówią tym samym językiem, mają wspólną wiarę. Możemy zakładać rzeczy niezakładalne w prawdziwej mieszance społeczeństwa Ziemi. Nie ma tu złych jednostek.

Mateusz chyba odpuścił. Plazma jednak nie.

— Jebcie się wszyscy. Mateusz ma rację. Wystarczy jeden zły, aby całe to społeczeństwo przewróciło się na kolana. Co, jeśli tym złym nie zostanie obywatel, ale na przykład podrzucony owoc klonu — zapytał rykliwym

głosem. — Ktoś, kto może wyglądać, jak każdy z was, ale zachowuje się zupełnie inaczej.

— Zniszczy go pierwsza, lepsza osoba, ponieważ jest wyedukowana w detekcji różnych zagrożeń wszechświata, w tym owoców klonu.

— Wiesz, że może okazać się za słaba na zniszczenie tego tworu? — wtrąciłem. — Przecież może się zdarzyć nawet zdalnie sterowany, czerwony kartacz.

— Poruszamy już kwestię zewnętrznego bezpieczeństwa społeczności, a nie działania samej ideologii. Taki smok zostałby zabity przez społeczeństwo, dla dobra ogółu, rozmawialiśmy przed chwilą o tym.

— Nie prawda, jeśli teraz wyleciałoby na was jakieś straszdyło, widzące wszystkich w podczerwieni, którego pokonanie wymagałoby udziału kilku osób z bronią, to skąd miałbym wiedzieć, czy mam uciekać, bo jestem sam, czy walczyć, gdyż pozostałe osoby są obok mnie, gotowe żeby mi pomóc, ale niewidzialne? — Mech agresywnie gestykulował. — Już wiem. W waszej społeczności nie da się rozwikłać problemu, do którego rozwiązania potrzeba więcej jak jedną osobę.

— Racja... — Magda zapisała coś w swoim notesiku. — Więc niech każdy nosi przy sobie daser, aby samodzielnie pokonać każde zło. A wszystkie inne problemy rozwiąże automatyzacja.

— Głupiaś. Ja, ognisty potwór, nie potrafię czasami się skutecznie obronić przed całkowicie przyziemnymi wrogami, myślisz że wystarczy dać człowiekowi broń, a będzie wszechmogący? — Plazma skończył rozmowę. — Chodźcie, trzeba zdjąć z Mateusza te rokokowe błyskotki.

— Stać, musisz być niewidzialny, inaczej zostaniesz usunięty z Felicji.

— Według demokratycznego głosowania?

— Według mojej własnej decyzji, podjętej dla dobra ogółu, popartej moim wykształceniem w kierunku...

— To ja prędzej was usunę. — Zamyślił się. — Niniejszym podbijam zbrojnie Felicję i ustanawiam się absolutnym królem do końca dnia. Cośtam, cośtam. Możecie urządzić powstanie, ale nie widzę waszej wygranej z tym: — Wskazał potrójnymi kleszczami swoją głowę, na której pojawiła się świecąca korona. — A to są moi niewolnicy. Zakazuję wam rozmowy z nimi.

— Ale...

— Wprowadzam prawo, że Magda Przymoczarska nie może się odzywać do końca mojej kadencji.

Mechaniczny się chichrał, Magda-niemowa wymachiwała rękoma, jak ze-psuty wiatrak z obłuzowanymi skrzydłami. Michał wyłączył niewidzialność na pasie, jego wyraz twarzy głosił „a nie mówiłem?”

Poszliśmy do automatycznego krawca. Na Felicji maszyny robią za ludzi większość roboty, lecz ktoś nadal musi je obsługiwać. Inaczej obywatele

oszaaleliby z dobrobytu i nie szanowaliby swoich własności. Jeśli chcą, na przykład, zrobić sobie ubranie, muszą najpierw posadzić bawełnę, zebrać ją, przygotować i na koniec wymyślić projekt do wydrukowania na odpowiednim urządzeniu. W ten sposób sami pracują na własne przedmioty, chociaż pewne dobra dane im są z góry. Na Felicji nie używa się pieniędzy, ale im ktoś pracowitszy, tym bogatszy, gdyż sam sobie swoje dobro produkuje. Pieniędźmi jest niejako wymiana usług. Ktoś może zebrać dwa razy bawełnę, dla siebie i dla kogoś, kto stworzy ciuch także jemu.

Krawiec znajdował się na głównym placu. Za szybą stała maszyna, stylizowana na XIX wiek. Ekran komputera obsługującego miał piksele w formie bolców wyskakujących z metalowej matrycy. Po oświetleniu ostrym światłem z góry, za pomocą cieni, tworzył czarno-biały, lecz w pełni funkcjonalny, interfejs graficzny. Doskonale to współgrało z ogólnym stylem planety i nie raziło w oczy.

— Nie mamy materiału. — Zauważył Mateusz.

— Normalnie musiałbyś najpierw posadzić coś i zebrać, żeby użyć w maszynie — Plazma chrząknął — ale trochę sobie oszukamy system. Nadar, masz swój komunikator?

Włączyłem na mojej okrągłej komórce tryb ściągania materii, kolorowe cząsteczki zaczęły tryskać z obramowania, żeby utworzyć przed ekranem kawałek nici. Ostrożnie pociągnąłem nowoformowany sznurek i wsadziłem do ubraniarki.

Tymczasem Mech, na analogowym wyświetlaczu, projektował swój ciuch. Jak na kogoś, kto miał pierwszy raz styczność z naszą technologią, szło mu całkiem dobrze. Tworzył sobie bluzę i dresy, podobne do moich. Wygodne ubranie przyda mu się na Planecie Wojny.

Gdy skończył, wyciągnął z maszyny bardzo ciekawy zestaw. Miał potworowy charakter, wzorowany na Plazmie, lekki zarys koleców na plecach i rękach, oraz zwiększoną ilość materiału na rękawach i piersi. Dzięki temu noszący wyglądał na nieco potężniejszego i groźniejszego. Do tego wyprodukował sobie sporo zapinanych kieszeni. Spodnie były szerokie i nieuciskające, w sam raz do biegania i skakania nad przepaściami. Kaptur miał wbudowaną kominiarkę, żeby chronić przez zimnem, lub wzrokiem wścibskich. Całość była perfekcyjnie czarna i dobrze się kamuflowała. Powiedział, że zawsze o czymś takim marzył. Zaczynałem się go bać.

Poszliśmy następnie na dworzec tramwajowy. Pojedyncze, zasilane elektrycznie platformy na szynach, automatycznie wychodziły z tunelu. Wsiadliśmy do jednej, Plazma poszedł na tył, rozwinął skrzydła, i swoimi silnikami odrzutowymi popchnął pojazd, biorąc nas na szybką przejażdżkę po planecie. Było jak na kolejce górskiej, która przez przypadek zjechała na wewnętrzny tor jednoszynowca, na jakimś dużym lotnisku. Próbując przekrzyczeć hałas

wiatru i silników potwora, pokazywałem mu mijane miejsca.

Felicja jest podobnej wielkości, co Księżyc, ale posiada kawałek gwiazdy neutronowej w jądrze, dzięki czemu jej grawitacja jest zbliżona do $10\frac{m}{s^2}$. Mieliśmy pola uprawne, na których rosły wszystkie rośliny potrzebne do wyżywienia planety. Dalej hodowle różnych, nie tylko ziemskich, zwierząt. Były automatyczne fabryki, gdzie można było dla siebie stworzyć dowolne przedmioty. Istniały także elektrownie termojądrowe do zasilania całego systemu.

Ponadto małe morze z plażą i bezludną wyspą, ośnieżona góra do wspinaczki i jazdy na nartach. Tajemnicza wielka jaskinia z mnóstwem zakamarków. Był las z prawdziwą dziką fauną, bagnem, polanami i jeziorkami. Wszystko małe, zadbane i symboliczne, idealne do szybkiego wypadu. Na większe wakacje należało zazwyczaj lecieć na inny glob. Dlatego też na ten świat mówią niektórzy planeta-ogród, i jako ogród, bez zewnętrznej pielęgnacji, szybko by zmarniała.

Zatrzymaliśmy się w felicjańskiej katedrze, na obowiązkową niedzielną mszę. To zabawne, z tym nowym prawem niewidzialności byliśmy jedynymi w kościele. Otaczały nasz śpiewy znikąd, a nad ołtarzem lewitowały przedmioty.

Skończyliśmy wyprawę przy wieżach do lądowania statków kosmicznych. Rozsiane były luźno na dużym terenie, aby nie przeszkadzały sobie nawzajem. Znajdowaliśmy się pod tą właśnie konstrukcją, którą widziałem wcześniej nad ranem. Obły kształt śmieciolotu majaczył na szczycie.

Wjechaliśmy windą na korbę, Plazma polecił Mechowi robić za silnik. Dzielny, wniósł mnie, siebie i pomarańczowego obrońcę na samą górę, łącznie prawie pięć ton. Zmachał się tym okrutnie, musiał przerywać kilka razy na odpoczynek, ale udało się. Potwór był pod wrażeniem. Powiedział, że chciał go zahartować przed testem. To był oficjalny koniec bankietów, zwiedzań i przejażdżek. Teraz będzie ciężka praca. Ciężka jak nieprzyjemne życie, jak trudny egzamin i jak wielki kamień.



Spostrzegł, że nie ma już ani Winkli, ani Policmajstra. Był sam w całym miasteczku. Niczym szczur zagubiony w fabryce pułapek na myszy. Albo też demony chciały, żeby myślał, że jest sam.

Począł przechadzać się po wyludnionym mieście, jak szalony psychopata, szukający swojej następnej ofiary w celu stworzenia sobie kolejnej ozdoby na ścianę. Zaglądał do dziur, wołał do studni. Nic. Postanowił zwabić pozostałe służby Kryminalisty tym, co lubiły najbardziej. Usiadł na środku i zaczął opowiadać. Tylko w czym gustowały? Musi pisać w odpowiednim stylu.



— To jak tam u ciebie? Jak minęła podróż? — Zapytałem się Mateusza, puszczać stery śmieciolotu. W kosmosie i tak w nic nie uderzy.

— Jakoś.

— Słyszałem, że podziwiałeś mnie na targach w Poznaniu. Podobalem ci się?

— Taaak... — Człowiek zrobił dziwną minę.

— Przede mną nie musisz się ukrywać. Powiedz, co czujesz.

— Co ja czuję... — Skulił się w kącie rakiety.

— No to w takim razie zaprezentuję, co ja z kolei czuję. — Delikatnie ścisnąłem potrójnymi szczypcami jego bulwę w spodniach. — Pokażę ci, jak robią to kosmici.

— Puść, zostaw!

— W kosmosie nikt nie usłyszy twojego krzyku.



— Dość, wystarczy! — Klekislawa dobiegło wołanie ze studni. — Nikt nie chce pedalskiego, międzyrasowego, futrzanego, kosmicznego gwałtu półjaszczura na człowieku!

— W nieważkości — dodał autor.

— Aaaahhh!

No to wygląda na to, że to nie jest jedna z tych rzeczy, które demony lubią. Spróbujmy jeszcze raz.



Śmieciolot był olbrzymim statkiem. Nazwaliśmy je tak, ponieważ były masowo tworzone ze słabej jakości materiałów i na prostej budowie. Idealne na misje w niebezpieczne miejsca, gdzie ich ewentualna utrata nie byłaby dużym problemem. A co najważniejsze, nikt nie wydobędzie z nich żadnej cennej technologii.

W śmieciu numer 877 wszystko trzeszczało. Ten statek dawno powinien był się rozlecieć, lecz nadal jakoś trzymał. Połowa urządzeń nie działała. Od systemu wykrywania uniwersalności, po żarówkę na korytarzu.

Lewitowałem w ciemnościach, niesiony bezwładnością w nieważkości. Kluczające tunele ciągnęły się po całym kadłubie. Dwa razy przebiegałem się przez zasłonę z kabli, raz trafiłem na ślepy zaułek.

W końcu doleciałem do kajuty Mateusza. Zapukałem, echo rozniosło się po ścianach i zostawiło na mnie dreszcze, jak wybuchły, ze złej strony otworzony, jogurt. Nikt nie odpowiedział, więc wszedłem do środka. Pomieszczenie oświetlone było przepalającą się żarówką. Poduszki, rzeczy osobiste

i papiery unosiły się bezwładnie po przestrzeni. Nigdzie nie było człowieka, wyglądało na to, że opuścił to miejsce w pośpiechu. Jakby przypomniał sobie o spalonej na węgiel patelni na kuchence.

Moją uwagę przykuła nowa ściana, stojąca na środku pokoju. Była samotna, niczym murowany dom na tekturowych zgłiszczach przedmieść w USA, zniszczonych kolejnym tornadem. Wykonana była z dziwnego, srebrzystego materiału. Jej obecność nie miała konstrukcyjnego sensu. Podpłynąłem, aby się jej bliżej przyjrzeć.

Wtem usłyszałem daleki chrobot i padła elektryczność. Ciemność pożarła mnie razem z całym statkiem. Zapaliłem ogień w ręce, niczym znicz olimpijski w trójzębnej misie. Pomarańczowe, migotliwe światło wydłużało cienie i poruszało korytarzami. Spostrzegłem, że tajemnicza struktura zniknęła, nie było po niej żadnego śladu. Jak to możliwe?

Wylewitowałem na korytarz. Ogień mógł oświetlić jedynie kilka metrów w jedną i w drugą stronę. Skierowałem się w prawo, bo stamtąd przyszedłem. Leciałem środkiem w całkowitej ciszy, aż trafiłem na zamknięty właz. Nie przypominałem sobie, żeby tutaj był, gdy przechodziłem wcześniej. Złapałem go pazurami, zaparłem się ogonem o ścianę i spróbowałem przekroczyć koło. Piszczący dźwięk rozniósł się po korytarzach, echo odpowiedziało straszliwym jękiem. Aż mi się łuski zjeżyły na ogonie.

Pokręciłem jeszcze, tym razem dał się słyszeć syk. Za drzwiami musiała być próżnia. Mojego towarzysza na pewno tam nie było.

Poleciałem więc w drugą stronę, ponownie minąłem kajutę, którą wcześniej odwiedziłem, i zamarłem. Przed biurkiem siedział wyschnięty, metalowy szkielet. Nie Mechałycznego. Jednak skąd się tu wziął? Kto mógł mieć tyle żelaza w kościach, że aż było widać? W ręce miał długopis. Pisał właśnie horror o niespodziewanych pasażerach w rakiecie. Co za tandeta. Srebrnawy tusz mienił się w ogniu, nadal był mokry! Pulsował lekko, jak tętnice człowieka. Wolałem nie sprawdzać dokładniej.

Poruszałem się dalej, trafiłem na ścianę. Znowu. Jak to możliwe? Obmacałem ją, jakbym nie był pewien, czy jest prawdziwa. Składała się z tego samego materiału, co ta w kajucie.

Wściekły, uderzyłem pięścią w środek, odpowiedział głuchy dźwięk, pazury weszły mi do połowy. Z trzech dziurek zaczęła kapać srebrzysta ciecz i spływać po ścianie. Przecież panowała nieważkość! Odbiłem się w drugą stronę, trochę uciekając, a trochę nadal szukając Mecha. Lecąc z powrotem, trzeci raz zajrzałem do kajuty. Była zamknięta, chociaż pamiętam, że nie dotykałem wtedy drzwi.

Dobiłem do służby i... otwarta na oścież! Kto? Kiedy? Jak? W pomieszczeniu latały papiery, pośrodku stała nienaturalna ściana. Znowu kajuta.

Właśnie wtedy wróciła elektryczność. W żółtym świetle żarówki ujrza-

łem, że ktoś leży w łóżku. Mateusz wstał i przetarł oczy.

— Plazma, wyglądasz jakbyś zobaczył ducha — powiedział.

— Coś się dzieje. Mamy uniwersalność na pokładzie!

— Nie przesadzaj...

Światło ponownie zgasło. Na miejscu człowieka wisiał w powietrzu szkielet. Ściana także zniknęła.



Nikt nie wyszedł. Może horrory to nie jest ich domena. Szkoda jednak psuć taki dobry strachajec. Trzeba by go przerobić.



Dość! Skupiłem w ręce promień standardowy i strzeliłem w lewitujące kości. Mój laser przeciął czaszkę na pół.

Potem posłałem falę ognia, wszystkie papiery zapaliły się jasnym światłem. Otoczony tańczącymi iskrami, odwróciłem się do korytarza. Wysunąłem łapę w ciemność i skierowałem tam tańczące światła. Korytarze zajęły się ogniem, zmusiłem niepalne żelazo do zapalenia się.

Rozgrzałem pięść do białości, rozwinąłem skrzydła, i poleciałem w kierunku naprzeciwległej ściany. Za mną podążało ogniste piekło. Rozciągnąłem na sobie pole siłowe. Z całej siły uderzyłem to samo miejsce, gdzie wcześniej. Sztuczna ściana rozsypała się w popiół. Srebrna ciecz, niczym rtęć, ochlapała mnie, widziałem od wewnątrz kulistej bańki, jak spływa po ściankach, jak spala się w żywym ogniu. Ostatkiem sił próbowała przewiercić się przez moją tarczę. Podniosłem wtedy jej temperaturę do stu tysięcy stopni. Płynne srebro w mig wyparowało, migocząca para rozeszła się po ścianach.

Okazało się, że przebiłem się do maszynowni. Języki ognia lizały mnie przez wybitą dziurę. Zobaczyłem Mateusza. W jednej ręce miał karabin, w drugiej daser. Zielonym promieniem ciał wszystko, co się błyszczało, bronią strzelał naokoło, aby poruszać się siłą odrzutu. Uniwersalna maź stwarzała co chwila sztuczne ściany, pluła folią aluminiową i żelaznymi kośćmi.

Standardowym promieniem ciałem ją na kawałki, nic to nie dawało. Przynajmniej zwróciła na mnie uwagę i przestała atakować człowieka. Ogniste podmuchy widać trochę ją spowalniały, iskry przebijały nowouformowane, metaliczne zapory.

Zaczął się robić gorąco. Pomyślałem o Mechu. Ocierał co chwila pot z czoła. Ledwo dychał.

Na ścianie zobaczyłem skafander kosmiczny i butle z tlenem. Ryknąłem, by zwrócić jego uwagę, i rzuciłem je Mechalycznemu, złapał. Wtedy otoczyłem go kulistą tarczą, jak przed chwilą siebie i przeklinając po naszymu, wypuściłem z wnętrza cały mój wewnętrzny ogień. Śmieciolot począł się topić. Uniwersalność pokryła się pomarańczą. Guma z kabli wyparowała. Szyby zawrzały.

Ostatkiem sił uderzyłem standardowym promieniem w dolną ścianę. Przebiłem się przez zmięczony temperaturą kadłub i otworzyłem dziurę na próżnię. Wielki lej ognia uformował się w kierunku wyłomu i porwał nas. Wystrzeliliśmy w kosmos, jak fajerwerk, zostawiając za sobą skrzący się ślad.

Spojrzałem za siebie. Tył rakiety jaśniał bordowym światłem, plazmatyczny gejzer wylał się przez wybity otwór. Mateusz, zamknięty w mojej sferze, także podziwiał.

Gdy ubrał się w skafander, opuściłem pole siłowe i usnąłem z wyczerpania.



Nie? Nikomu się nie podoba? To może... nie wiem.



Lecę przez miliardy gwiazd.

Niczym martwy pingwin patrzący na spadający śnieg.

Nieobecny oczyma spogląda w niebo.

Martwy.

Obca galaktyka.

Obce gwiazdy.

Obcy człowiek przy boku.

Wkrótce martwy.

Minie milion pulsów.

Minie miliard pulsów.

Nie będę martwy.

Lecz czym jest nieśmiertelność w nieistnieniu?

Rozżarzony statek.

Niczym iskra pośród gwiazd.

Niczym gwiazda pośród iskier.

Także zgaśnie.

Uniwersalność była.

Uniwersalność się skończyła.

Uniwersalność będzie na wieki.

Z wieczności uniwersalność powstała.

— Daj spokój. Zaczynasz przynudzać — Mateusz jęczał.

— Trochę nudy potrzeba po tym, jak prawie zuniwersalizowało nas żywcem.

— Może. W każdym razie nie ma to znaczenia. Żyjemy, prawda? Poza tym jesteśmy już w układzie Planety Wojny. Za kilka godzin trafimy do celu.

— Nieźle sobie poradziłeś, tak w ogóle.

— Ja? Przecież to ty mnie uratowałeś.

— No, ja to ja. Ale tym miałeś jedynie laser i przeżyłeś! Mało kto nadal żyje po ataku aktywnej formy uniwersalności. — Powinienem mu wyjaśnić, skąd się we wszechświecie wzięła. — Skąd ty tak właściwie masz daser? To zbyt cenna technologia, żeby instalować ją w śmieciach. Pomyśl, co by się stało, gdyby ta srebrna ciecz ją przejęła.

— Wiem. Przeżyliśmy u Kuli atak wojsk USA, mieli ukradziony daser i prawie nas przecięli na pół.

— No, no.

— Katarzyna podarowała mi swoją własną broń. Powiedziała, że ma być na czarną godzinę.

— Kto? Kosma? Pogadam z nią trochę. To nieodpowiedzialne.

— Przecież gdyby nie ona, mógłbym już nie żyć, albo gorzej, stać się jakimś srebrnym szkieletem, czy ścianą.

— Ale... — Miał rację, nie mogłem mu tego odmówić. — Sam widziałeś, co się dzieje z daserami w rękach wroga. Nie ma mowy, nie dostaniesz go na wyprawę. Poza tym, i tak by ci go zabrali.

— Czy naprawdę muszę przechodzić ten test? To by nie wystarczyło? — Wskazał na oddalającą się gwiazdkę.

— Już mówiłem. To sprawdzian charakteru, masz się zachować, a nie walczyć. Walczyć już umiesz świetnie.



Wygląda na to, że nawet jego własne postaci nie chciały słuchać tej poetyckiej twórczości. Złamana Klawiatura postanowił podejść postapokaliptycznie.



Już z daleka zobaczyłem ogniste pociski, lecące w naszym kierunku. Wyciągnąłem łapę i pozbawiłem je w jednej chwili ognia. Bez odrzutu, spadły z powrotem na ziemię. Zaraz potem pojawiły się tam wielkie grzyby atomowe, co za idiota strzela atomówkami w przelatujące samoloty? Chyba, że wiedzieli, że nie jestem żadnym samolotem. Chwyciłem Mateusza pewniej, żeby mi się nie wyslizgnął z rąk.

W pustynnej, zakurzonej atmosferze, ujrzeliśmy jezioro Hirten i przybrzeżne miasto o tej samej nazwie. Teraz to nie nazywało się oczywiście Hirten, ale kto by tam ogarnął obecną sytuację polityczną. Automatyczne systemy obronne skierowały na nas czerwone lasery. Wsadziłem Mecha na grzbiet, ostrożnie, żeby nie pociąć kolcami i przyjąłem pełen strumień na klatę. Gilgotało.

Zniżyłem lot, aby sunąć tuż przy ziemi. Z piasku wyskakiwały na nas co chwila robotyczne technogony, ale ja byłem za szybki, aby dać się złapać. Jednego takiego robaka przebiłem na pół, olej i paliwo splamiły piasek.

Wlecieliśmy nad zatrute jezioro, śmiertelne opary przyjemnie drapały w gardło. Jednak ze względu na człowieka, którego niosłem w rękach, trzymaliśmy się daleko od powierzchni. Hirten mieniło się w świetle słońca. Wieżowce prezentowały się w całej okazałości. To niesamowite, że nigdy jeszcze nie zostało zbombardowane.

Wylądowałem na szczycie najwyższego wieżowca, kształtem przypominał wielką mackę. Szklany taras był kiedyś apartamentem jakiegoś bogacza. W pustym basenie leżały resztki samich strojów kąpielowych. Palmopodobne rośliny, posadzone w donicach, straciły całkowicie liście. Wyblakłe kafelki pokryte były niezmywalną warstwą kurzu. Tak w przyszłości może wyglądać Ziemia.

Wybiłem szybę, żeby wejść do środka. Było ciemno i nieprzyjemnie, przypominało mi się wnętrze naszej rakiety. Zapaliłem ogień i zobaczyliśmy stosy wyschniętych ciał, pośrodku parkietu do tańca. Widać było, że umarli nagle, dusząc się. Atak chemiczny.

Musiał złapać ich w trakcie przyjęcia. Uciekli z balkonu, zamknęli drzwi, i mieli nadzieję przeczekać. Muzyka grała aż do końca, a kolorowe płyty podłogowe pewnie migały jeszcze jakiś czas po ich śmierci. Trochę było mi ich szkoda, a trochę nie. Przecież nie byli właścicielami tego miasta, przybyli tu z zimnego bieguna.

Przyjrzałem się bliżej tej rasie północnych. Wyglądali jak brzydki, chudzi ludzie. Przypominali crackera komputerowego, siedzącego całe życie w piwnicy oświetlonej jedynie ekranami monitorów. Mieli na sobie, i w sobie, całe stosy elektroniki. Transhumanizm... transextraterrestrializm pełną gębą. To mi podsunęło myśl, że niektórzy mogli przeżyć, ci co wcześniej zainstalowali sobie filtry przeciwgazowe w nosach. Ale Komodowa Armia zapewne za

kilka dni wkroczy do miasta, aby ich wykończyć. Nie taki był plan, to miało się zdarzyć dopiero za rok.

Wyszliśmy na ulicę. Opadnięte samochody latające, wyłączone hologramy, uduszeni obywatele. Ani żywej duszy. Usłyszałem w oddali kroki, podskoczyłem do najbliższego okna i schowaliśmy się w jakimś mieszkaniu. Zaraz zza rogu wyszła trójka Czarnych. To oni zabili ludność? Coś buczeli między sobą przez radio. Szkoda, że nie rozumiałem ich języka.

Polecilem Mateuszowi zostać, sam skoczyłem się z nimi rozprawić. Naturalnie, zaczęli strzelać, ale ja nie byłem bezbronny. Jednemu urwałem nogę, czarny smar khaki, wymieszany z niebieską krwią, rozlał się po asfalcie. Drugiego wyrzuciłem wysoko w powietrze, upadł kilkaset metrów dalej. Trzeciego unieruchomiłem, spajając mu ognistym promieniem łączenia w zbroi.

Głupio to musiało wyglądać, jak odpytywałem go później, rysując obrazy na chodniku, pozostałościami jego kolegi. Rozumiałem tylko jak przytakiwał i zaprzeczał. Z tego co się dowiedziałem, rzeczywiście Komodowa Armia miała wykonać szturm na swoje byłe miasto, do którego przeprowadzili się imigranci z północy, ich wrogowie. Jednak Kryształowa Królowna postanowiła potajemnie zatruć Hirten, a potem ukryć w nim swoich podwładnych. W ten sposób urządziła zasadzkę na Szafy. Sprytne.

Podziękowałem mojemu informatorowi, wróciłem do człowieka i poleciliśmy pod osłoną nocy do najbliższej wioski pod władaniem Komodowców, na pustyni. Mateusz zapytał mnie, dlaczego zabiłem niewinne osoby. Opowiedziałem mu, jacy ludzie są wcielani do Czarnej Armii, jak smar khaki zmienia działanie organizmu, do którego wnika. Najgorszy sort obywateli jest zakuwany z mechaniczne zbroje, a potem zalewany odżywcym i bakteriobójczym środkiem. Stają się morderczymi maszynami, uzależnionymi od kleistej mazi. Khaki jest uzupełniane częściej tym żołnierzom, którzy wykazali się większym okrucieństwem. Kryształowa Królowna mądrze to wymyśliła, ma ich w swoim władaniu, może robić z nimi co chce, a oni i tak będą jej wiernie służyć, jak narkoman służy swojemu narkotykowi.



Co się dzieje? Ciągłe nikt nie wychodzi z żadnych dziur. Znowu nie trafił z typem opowieści? Nie było rady, jak spróbować ponownie. Niech będzie cyberpunk, a jak to nie wyjdzie, to potem może solarpunk, dieselpunk i atompunk. Steampunk już chyba był, chociaż to bardziej rokokopunk.



Pociąg lewitował na strunie, tuż nad powierzchnią ziemi. Świecący promień przechodził przez środek urządzenia, wychodził z tyłu. Prowadził maszynę, od podpory z pierścieniem, do podpory. Silnik jądrowy dawał bardzo

ładne, wiśniowe światło, trzy ogniki zostawiały za sobą strugę przyjemnego, mocno rozgrzanego powietrza. Po bokach widniały laserowe działka, lecz nie reagowały na naszą obecność.

Podleciałem od spodu, aby ukradkiem zajrzeć przez okno i upewnić się, że to poprawny skład. Wnętrze spowite było niebieskim światłem. Rzędy smutnych wieśniaków, patrzących nieobecnymi oczami w pustkę. To musieli być poborowi. Odebrano im całą elektronikę, bez gogli rozszerzonej rzeczywistości nie umieli się zająć niczym innym, niż pasywną egzystencją.

Hologramowy wskaźnik na ścianie wskazywał następny postój. Nie znałem tutejszych języków, ale byłem pewien, że nikt na pokładzie pociągu nie potrafił czytać i pisać w oficjalnym zurdowskim. Z obrazka dowiedziałem się także, że końcową stacją jest duże zagłębienie militarne Komodowej Armii. O, to nasz cel.

Poleciałem przodem, wyprzedzając maszynę, aż trafiłem na małą wioskę przy wyschniętym korycie rzeki. Bardzo biedna i nawet bez elektryczności. Jedynym oświetlonym miejscem był przystanek kolejowy. Wyglądał na wmuszony w slumsową, lepiankową architekturę, jakby pewnego dnia spadł z nieba, niszcząc kilka chat. Może tak właśnie było. Czerwone hologramy ostrzegały przed nadejściem składu za krótką chwilę.

Gрупę młodych mieszkańców pustyni ustawiono na placu. Płaczący rodzice żegnali się z nimi, nie oczekując że zobaczą ich jeszcze kiedykolwiek. Dawali im na drogę ubrania, jedzenie, a nawet zabawki. Atmosfera była podobna do tej, jaka panowała na Tosie w ostatnich tygodniach przed kolizją, gdy każdej nocy widać było coraz bardziej migoczące tarcie księżycy o atmosferę.

Wylądowałem po cichu w ciemnym zaułku i wypchnąłem Mateusza, aby dołączył do grupy. Zapewniłem, że będę go ubezpieczał i że wezmę go, zanim pójdą wyrzynać Hirten, a raczej, zanim wpadną w pułapkę. Na tle hirteńczyków będzie wyglądał, jak upośledzony grubasek. Musi tylko ograniczać pokazywanie się na golasa. Bariera językowa także nie sprawi problemu, każda wioska mówi tutaj innym akcentem, więc nauczą ich od podstaw wspólnego języka. Idąc, miał mord w oczach.

Wszyscy twierdzą, że przesadzam z tymi testami, ale uważam że jak ktoś potrafi przeżyć ideologiczne piekło, to poradzi sobie potem ze wszystkim. Nie można dopuścić, aby agent ALOPP podjął złą decyzję przy ratowaniu innych istot. Czy Mateusz będzie próbował ochronić pozostałych przed wpadnięciem w pułapkę? Czy wywoła powstanie? A może zaatakuje przełożonych? Do czego jest skłonny, tego w ciągu najbliższych miesięcy się dowiem.



Ze studni wygramolił się Pomocnik Detektywa. Podszedł kilka kroków, niepewnie, jak dzikie zwierzę. Chyba był zainteresowany. Może należy kontynuować ten cyberpunkowy styl?



Drzwi otwarły się i smród wioski wdarł się do alemona. Cała masa obrzydliwych wieśniaków zajęła ostatnie miejsca w pojeździe. W tym jeden usiadł obok mnie, był trochę dziwny. Mniejszy niż ja, bardziej różowy, musiał mieć jakiś defekt genetyczny. Widać teraz biorą do armii kogo popadnie. Jestem tolerancyjny, ale wolałem żeby tylko najlepsze i najzdrowsze jednostki przyjmowane były do armii mojego kraju. Tolerancja, to nie akceptacja. Miałem wrażenie, że w niektórych krajach, przykładowo w Kraju Adezeli, o tym się powoli zapomina.

Wrota się zasunęły i klimatyzator zaczął czyścić powietrze ze stęchlizny. Niewiele to oczywiście dało, gdyż jej źródło nadal było w środku.

Większość osób harała, pełne kisy spływały im z hateriów, jak małym dzieciom. Nie wierzę, że jestem tutaj z nimi. Zamiast cieszyć się, że będą bronić swojego kraju przed Mroźnikami, oni wylewają masę hariów po nic.

Wzięli mi mój geter, musiałem siedzieć i gapić się przez okno na nudny krajobraz. Światło dużej oświetlało otoczenie harbestowym, miękkim światłem. Piasek, piasek i trochę skał. W oddali, na horyzoncie, widziałem łunę Torten, to miasto zostało nam bezpodstawnie zabrane przez Mroźników. Czułem się dumny, że będę brał udział w jego odbiciu.

Mój sąsiad wyraźnie był na coś wściekły. Jak można być złym w takim momencie? A może dodatkowo był upośledzony? Spróbowałem nawiązać z nim kontakt, ale oczywiście nie rozumiał, co do niego mówiłem. Standard.

Zza horyzontu wynurzyła się wielka forteca naszej armii. Alemon zwolnił przed wrotami i zjechał na boczną dużej. Wielkie kleszcze złapały kadłub pociągu i unieruchomiły go. Sześciokątna rura przyssała się do drzwi, dał się słyszeć dźwięk spuszczanego powietrza. Szkło się otwarło i czysta, pachnąca technologią atmosfera, zastąpiła wioskowy smród zgromadzonych.

Wychodzili pojedynczo, widać każdy chciał być ostatni. Skorzystałem z okazji, przepchnąłem się przez śmierdzieli, żeby iść przodem, z dala od tej hołoty. Co ciekawe, ten dziwny grubasek także postanowił być na przedzie. Może jednak nie był z wioski?

Ruchomy regel woził nas odpowiednimi korytarzami. Półprzezroczyste nizjenty wskazywały wszystkim drogę pismem obrazkowym. Gdzieś tam przewinał się napis po zurdowsku. Trochę głupio mi było przyznać, ale ja także nie rozumiałem tego języka. Pomimo, że świetnie pisałem, czytałem i mówiłem w halat, behalat, po culsku i polivinowsku.

Dojechaliśmy do rzędu jaborysów. System wskazywał wielkimi medwarami, jakiego jaborysa można użyć do wyhutonowania się. Poszedłem pierwszy, żeby pokazać innym, co to znaczy prawdziwa technologia.

Kabina była dość przestronna, jak tylko wszedłem, szyby straciły przezroczystość. Nizjen mówił, że mam ściągnąć ubranie i wrzucić do dziury, co też uczyniłem. Zimna para ochlapała mnie, a potem jakiś śmierdzący detergent, na koniec ponownie woda. Trwało to kilka razy. Kulminacyjnie, świecąca ściana przejechała przez całe pomieszczenie. Czytałem o niej, to hutona, paliła wszystkie niepożądane substancje w ciele. Ja nie miałem ich za dużo, ale tamtym na pewno hutonowanie bardzo się przyda.

Posłusznie dałem się przeskanować, zapiekła mnie susetria, hateria i joty. Lelonie paliły żywym ogniem, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Ale to było zrozumiałe. Straciłem także większość dulic, ale przecież odrosną. Wykończony, otrzymałem nowe ubranie. Było bardzo proste, szare, lekkie i wykonane z faflocji. Na lelonii i susterii miałem wydrukowany jakiś symbol. Fala z przecięciem z lewej, wpisana w wej. Mógł być to mój identyfikator, albo zurdowska litera.

Wyszedłem z jaborysa, w wielkiej sali widniały ławeczki z interaktywnymi nizjenami. Usadowiłem się przy jednej, wyświetlił się mój kształt. Krótka animacja wskazała, że od teraz będzie to mój numer porządkowy. Usłyszałem, jak się wymawia. W zurdowskim systemie liczbowym, był pierwszy w kolejności, byłem numerem jeden, to prezent za odwagę? Nizjen wprowadzał mnie w tajniki nowego języka, z chęcią przyswajałem przydatną wiedzę. Oficjalny język armii był niezwykle prosty.

Kolejne osoby korzystały z jaborysów, jedne bardziej krzyczały, w trakcie hutonowania, inne były całkowicie cicho. Mój różowiutki ulubieniec darł się wniebogłosy, aż mi się go szkoda zrobiło. Wyszedł, wyglądając prawie tak samo. Widać miał tak niedorozwinięte dulice, że ich strata nie zmieniła mu wyglądu. Jednak jego symbol był bardzo fajny. Symetryczny, podwójny fezel. Wiedziałem już, jak się wymawia. Brzmiał groźnie. Był w kolejności dość daleko od mojego, co nie poprawiało mi humoru. Najprawdopodobniej numery przydzielano losowo.



Pomocnik usiadł za blisko. Dużo za blisko. Klekiśław zamachnął się na niego linią poleceń i złapał w powłokę. ZSH trzymało go mocno, jak zakleszczenie semaforów w trakcie obsługi przzerwiania, i nie puszczało. To było dość, żeby zadać cios ostateczny.

Przyszykował skrypt w BASHu, wbił mu go w ciało i uruchomił. Wykryje on wszystko, co złe w połamanych powieściach, rozładowując demona słowni-

kową perfekcyjnością. Jednak program był póki co bardzo prosty, znajdował te błędy, które Klekisław popełnił wcześniej. Mogło to nie wystarczyć.

Dla pewności kontynuował opowiadanie w cyberpunkowym stylu.



Gdy wszystkich oczyszczono, na wielkim nizjerze wyświetlił się mój symbol, a po sali rozległa się jego wymowa. Hos. Poszedłem triumfalnie w kierunku wskazanych drzwi, wypinając na innych susterię z moim numerem.

Przechodziłem wąskimi korytarzami, prowadzony przez nizjeny. Tutaj już nie było regeli, ale przecież byliśmy w wojsku, należy ćwiczyć na każdym kroku, to zrozumiałe.

Korytarze zaprowadziły mnie do sporej salki ze stołami. Na talerzach dymiły przepyszne vinite. Niesamowite, czym nas tutaj będą karmić! Usiadłem przy swoim symbolu, złapałem yltona i zacząłem jeść, nie czekając na pozostałych.

Jak się spodziewałem, zaraz zjawiała się reszta. Nie była to duża grupa, dokładnie dziewiętnaście osób. W tym ten dziwak, Rohost. Przydzielono mu miejsce na końcu mojego stołu. Nie żebym się cieszył, że znalazł się w naszej grupie, ale może będzie z nim trochę ciekawiej. Byle tylko nie opóźniał ćwiczeń.

Przycisk obok talerza pozwalał dobrać sobie dokładkę. Jedzenie wylatywało z zakrzywionej rurki. Nieskończona ilość vinite! Gdybym tylko wiedział, od razu zgłosiłbym się na pobór.

Wszyscy inni podchodzili do dań z dystansem, wiadomo było, że we wsi trudno o składniki na tak kosztowne potrawy, zapewne większość z nich pierwszy raz widziała te pyszności na oczy. Rohostowi absolutnie nie smakowało, jednak zmuszał się do jedzenia. Co za marnotrawstwo. Pomimo to, jakimś cudem, zjadł pięciokrotność mojej porcji, gdzie on to wszystko mieścił?

Na ścianie wisiał kolejny nizjen. Tam wyświetlono animację, z której wynikała pozycja i nazwa naszego oddziału w całej fortecy. Bedur. Widać grupom przypisywano zurdowskie litery. Dostaniemy niedługo własne pancerze wspomagane, zwane hiperami. Będziemy w nich ćwiczyć walkę, wcześniej dadzą nam trochę siłowych i zręcznościowych zajęć bez nich. Trening potrwa cały sept, a potem szturmujemy Torten i wyrzynamy Mroźników. Dla mnie spoko. Pierwszy raz w animacji użyto zurdowskich liter, ale w małych ilościach. Jakiś wysoki rangą oficer powiedział coś w ich języku, a potem wszystko poszło do nowa.

Gdy ludzie się najedli, ściana się otwarła, odsłaniając sporą salę z rzędami concatesów. Surowo urządzone pomieszczenie oświetlone było białym światłem podłogowych żył. Oddzielało moduły od siebie, aby można było mieć

swoją małą, pseudoprywatną przestrzeń. Każdy concates miał odpowiedni symbol na futusi, oraz przydzieloną bulię z zestawem wszystkich potrzebnych urządzeń. Było też wejście do personalnego jaborysa.

Znalazłem dane mi urządzenie do spania, przejrzałem zawartość bulji, gdzie odkryłem prosty geter. Nie pozwalał na komunikację ze światem zewnętrznym, ale miał sporo książek do nauki zurdowskiego, a także szczegółowe instrukcje użytkowania hipera. Nie mogłem się doczekać następnego dnia, nie sądzę, żebyśmy już jutro otrzymali nasze zbroje, ale kto wie. Wsunąłem się pod futusę. Niezwykła miękkość przypominała mi moją podróż z dzieciństwa, wykty jak ocean i dziwaczne, przypominające busty, rośliny. Natychmiast zafulałem, jak tylko zgasło światło.



Nagle coś uderzyło Klekislawa w głowę, tak że wypuścił z objęć Pomocnika Detektywa.

Kolejny przyszedł się zabawić?

Pisarz wstał, lecz nie mógł nikogo zobaczyć. Cisza spowijała wymarłą wioskę, dokładnie tak samo, jak wcześniej.

— Pokażcie się, bo dokończę ten zboczony fragment! — Światostwórca zawołał. Nikt mu jednak nie odpowiedział. — Dodam do tego transformacje płci, korki analne i masochistyczne tortury.

— Aaah... — ledwo żywy Pomocnik jęknął z ziemi.

— No dobra, lepiej zatkać uszy...

Kolejne uderzenie zważyło go z nóg. Sam Detektyw stanął przed nim, wcale się nie kryjąc. Chciał więcej cyberpunkowej abstrakcji, jeszcze więcej nietypowych zdarzeń.

Powinien był przyjść wcześniej. Obita Klawiatura jednak posłusznie wziął się za opowiadanie.



Światło powoli się rozjaśniało, budząc nas delikatnie. Zauważyłem, że mój ulubieniec od dawna nie śpi, tylko rysuje coś na swoim geterze, zakrywając tył aby nie było widać. Bardzo dziwne.

Od razu poszliśmy na śniadanie, nawet się nie przebierając. I tak nie było po co. Dzisiaj w stołówce było gorzej, jafanele nadziewane duduzją. Nikomu nie smakowało, zwłaszcza Rohostowi. Wybrzydza jak Kryształowa Królowa.

W czasie jedzenia nie było komunikatu, za to później ściana po drugiej stronie naszej sypialni otwarła się i silne światło słoneczne oślepiło nas.

Otwór wychodził na spore patio w kształcie trójkąta, otoczonego wysokimi murami. Wszechobecny piasek pokrywał podłogę grubą warstwą. Znajdowaliśmy się wewnątrz militarnej fortecy, można było założyć że pozostałe patia ustawione są promieniście po okręgu, oddzielone od świata głównym murem. Od zewnętrznej strony widniały schody okalające wyjście, prowadziły do wielkich wrót. Zapewne tędy będziemy opuszczać kompleks.

W piasku wysunął się kolejny nizjen, ledwo go było widać w tym słońcu. Ukazała nam się twarz znajomego generała. Mówił, mocno gestykułując, w akompaniamencie różnorodnych animacji. Kazał się nazywać dyrygentem, był przydzielony do naszej grupy.

Powiedział, a raczej zamachał nam, że w początkowym fodorze zajmujemy się ogólnym treningiem siłowo-zręcznościowym, zanim w ogóle będziemy myśleć o hiperach. Będą też zajęcia teoretyczne, abyśmy nie zginęli pierwszego dnia po wyjściu na pustynię.

Z pyłu wyjechały pale zakończone poduszkami, i schodki. Naszym zadaniem było przeskoczyć na drugą stronę, trudne ćwiczenie, jak na start.

— Zumi — rzekł, wyświetlając symbol jednego z nas. Zumi zaczął grzmolić się po schodach.

— Ofte. — Wskazał drugiego.

— Sisto.

— Matart.

— Lukne.

— Hos. — O, to ja.

Wcześniejsi pospadali w trakcie skoków, musiałem teraz pokazać się z jak najlepszej strony. I udało mi się, upadłem dopiero na piątej poduszce, z dwudziestu. Najdalej ze wszystkich.

Na koniec poszedł Rohost, przeskoczył całość, jakby od dawna to robił. Niesamowite, na pewno nie był upośledzony. Kim w takim razie był?

Powtarzaliśmy zabawę, aż wszyscy zdadzą. Komu wyszło, miał do końca zadania wolne, mógł szyderczo obserwować pozostałych. Ukończyłem jako piąty, i korzystając z zamieszania, zakradłem się z powrotem do sypialni.

Nikogo nie było, porwałem więc ukradkiem geter Rohosta i począłem przeglądać. Nie próżnował w nocy, zapisał całe mnóstwo kreskowanych obrazków. Jakies mapy i matematyczne obliczenia. Zaznaczył pozycję fortecy, wioski przy której wsiadł do alemona, przebieg duzji, kierunek łuny, jezioro i... miasto Torten? Ale to jest źle, Torten jest w innym miejscu. Do tego były rzuty naszej planety i słońca. Ponadto, sporo całkowicie niezrozumiałego pisma.

Skopiowałem sobie wszystkie te jego dzieła na własne urządzenie i odłożyłem niemoją własność z powrotem, tak, jak była. Wyszedłem na zewnątrz, ostatnie osoby kończyły skakać. Nikt się nie zorientował.

Następne ćwiczenie było siłowe. Poszło mi bardzo źle, ale to Rohost był na końcu. Jak to się stało, że umiał tak dobrze skakać, a był słaby jak wejdel ociciony xixitem, w jupodolnej sateli.

Było jeszcze kilka zadań testujących naszą prędkość, reakcję i suterne. Różowy ponownie poległ, nie był suterny nic, a nic.

Zmęczeni, zjedliśmy kolację składającą się z pieczonych didisów. Każdy z nas poszedł się wyhutonować w jaborysie. Rohost zakrył wejście do urzędzenia swoją futusą, rzeczywiście wstydlivy jak Królewna.

Potem była część teoretyczna, w stołówce stoły skryły się w podłodze, robiąc z niej salę wykładową. Animacje pomieszczone z zurdowskimi literami uczyły nas o naszych wrogach. Było sporo o Czarnej Armii, o Mroźnikach, ich kraju i mieście Torten. Było wspomniane o Krainie Daa, xuxowcach i Zagłębiu Curr. Przypomniały mi się notatki Rohosta.

Wieczorem był czas na naukę języka, co też wszyscy, bez wyjątku, posłusznie uczynili.



— Ale się guzdrzesz! Daj życia tej opowieści! — Detektyw pogonił Klekislawa.



Następny dzień był bardzo podobny do poprzedniego. Śniadanie, ćwiczenia, obiad, wykłady, nauka zurdowskiego. Zaczęło się pokazywać, kto był najsłabszy z nas wszystkich. Nie był to nasz upośledzeniec, gdyż w jednych dyscyplinach przodował, a w innych był na szarym końcu. Nie byłem to też ja, na szczęście.

Wieczorem, zamiast nauki, postanowiłem przejrzeć ukradzione notatki. Dyskretnie przeglądałem obrazy getera, rozumiejąc z nich coraz więcej. Były mocno niekompletne.

Dwa dni później ponownie udało mi się szybko wygrać i ponownie zakradłem się do sypialni. Przybyło sporo notatek, widać że robił postępy. Moją uwagę przykuł również nietypowy zapach jego concatesa, nigdy nie czułem wcześniej niczego podobnego. Poszperałem pod futusą i na okinach został mi dziwny proszek. Mam nadzieję, że nie był trujący. Jaborys zdawał się go ignorować i nie usuwać.

W drugiej części dnia uczyliśmy się o technogonach, zamieszkujących pustynię. Te mechaniczne, drażące tunele maszyny, przejmowały zdalną kontrolę nad każdą elektroniką, i jako takie były szalenie niebezpieczne dla naszej armii. Dlatego pod żadnym pozorem nie należało zapuszczać się na otwartą

przestrzeń samemu. Forteca miała skomplikowane zabezpieczenia w formie dział elektromagnetycznych, w niej te robale nas nie dopadną.

Wieczorem ponownie pomiąłem lekcje zurdowskiego, aby przejrzeć notatki. Była to matematyka w liczbach o podstawie dziesięciu. Może inaczej zapisana, lecz idea nadal oczywista. Nasz dziwak obliczył pozycję fortecy, w abstrakcyjnej siatce otaczającej planetę, korzystając z kąta padania słońca i ruchu gwiazd po niebie. Zebrał także kierunek na Torten. Naniósł te dane na mapy i wychodziły mu sprzeczności. Chodziło o to, że luna była oddalona od samego miasta o dobre kilkaset... jakichś jednostek. I co to miało niby znaczyć?

Znalazłem również parę artystycznych szkiców, pokazywały opuszczone, zaśmiecone ulice z czarnymi ludzikami. O co mogło iść? Przecież nie o Torten, bo było ono zamieszkane przez Mroźnych imigrantów, wysokie, białe osoby. To może miała być wizja przyszłości, jak już wybijemy nachodźców?

Przedostatniego dnia przed rozdaniem hiperów, poprzenosili wiele osób do innych grup. Połowę najlepszych zostawili. Odbył się także konkurs strzelecki, chociaż bardziej polegał na tym, kto okrutniej zamorduje cele. Mielśmy powyżywać się na kukłach Mroźników i Czarnych. Przy czym były to całkiem dobrej jakości elektroniczne kopie prawdziwych istot. Nawet krzyczały i fajtały, gdy zadawało im się ciosy. Można było pomylić je z rzeczywistością, dopiero ostre masakrowanie ukazywało ukryte układy logiczne.

Ja rozumiem odbijać miasto z rąk oprawców, ale atakować niewinnych, tylko z tego powodu że byli naszymi wrogami? Nie sprawiało mi to przyjemności. Właściwie jedynie ja i Rohost posiadaliśmy moralne opory przed rozwalaniem robotów. Wszyscy inni wyżywali się całą swoją energią. Słyszałem jak opowiadali, że z chęcią pozbyliby się nie tylko Mroźników, ale każdego kto stanie im na drodze. Nieprawdopodobne, gdzie ja się wpakowałem? To normalne zachowanie ludzi z wioski?

Co gorsza, tego dnia zobaczyli naszą słabość. W jednym pukju staliśmy się obiektem drwin i wyzwisk. Jeszcze wczoraj to my wywoływaliśmy nuskask umiejętnościami, musiało to zagotować w pozostałych niezwykle pokłady złości, które mogli w końcu wypuścić. Jeden z nich narysował na dwóch kukłach nasze symbole. Po kilku chwilach z robotów zostały postrzępione kable. Na szczęście był czas obiadu, więc ostateczna konfrontacja odsunęła się w czasie. Jednak czułem, że zmielą nas kiedyś na popiół i nasza urna stanie w jakimś muzeum porażek życiowych, zaraz obok wielkiej gąbłoty i żywiciowej postaci.

Wieczorem musiałem nadgonić zurdowskiego. Rohost wrócił do sali późno, gdy pogasły już wszystkie światła. Był mocno poobijany, widać, że stoczył z kimś bójkę. Na rękach miał enezję, czyżby uderzył kogoś pięścią w sudurę? To mogło tamtego zabić. Mam nadzieję, że zabiło. A potem przestraszyłem

się swoich myśli, zamieniałem się w jednego z nich.

Prawdopodobny morderca poszedł od razu się hutonować i długo nie wychodził. To myła moja szansa, nikt nie patrzył, wszyscy już fulali. Prześli-zgnąłem się po podłodze, jak technogon, omijając concatesy, i dorwałem jego getera, jeszcze raz skopiowałem sobie całą zawartość. Ukradkiem też zajrza-łem od dołu pod futusę, zakrywającą wejście do jaborysa tajemniczej postaci. Zobaczyłem kosmitę, całkowicie obcą osobę, jedynie kształtem podobną do nas. Nie miał żadnych otworów na ciele, nie miał lelonii, czy sutratów. Gdzie susteria, gdzie joty, gdzie hateria? Kim on do mielmej delmej był?

Uciekłem czym prędzej na swoje miejsce. Powinienem to zgłosić dyrygen-towi. Ale wtedy będę sam przeciw wszystkim. Jeśli jest szansa, że Rohost wiedział cokolwiek więcej niż ja, na temat Torten, to musiałem z tego sko-rzystać.

Otworzyłem moje zdobycze. Na pierwszej stronie był list w łamanym zurdowskim, skierowany do mnie. Kosmita napisał, żebyśmy trzymali się razem i żebym na przyszłość lepiej chował swój geter. A jak już kraść czyjąś własność, to tak żeby nie widział. Nie doceniłem go.



Detektyw zaczął chrapać.



Nadszedł ten dzień. Ustawiliśmy się grzecznie przed wyjściem, oczekując na otwarcie wrót na dziedziniec. Rohost stał przygnębiony, z tyłu.

Najpierw pokazała się wąska szczelina. Każdy próbował złapać przez nią jakikolwiek widok zewnątrz. Przepychali się, odrzucając mnie na sam koniec. Nie spieszyło mi się. Wtem drzwi się rozwarły na oścież i wybiegliśmy na zewnątrz, niemal się tratując.

Na środku placu stało dwadzieścia nowiusieńkich hiperów. Wszystkie naturalnie opisane naszymi symbolami. Hiper Hos stał z tyłu, zaraz obok hipera Rohost.

Maszyny miały delikatną fakturę drewna, podkreślając dostojność i ele-gancję. Kanciaste kształty powodowały, że wyglądaliśmy w nich znacz-nie masywniej, niż w rzeczywistości. Gdzieś tam widniał ręcznie rzeź-biony ornament. Toczone koturny przytwierdzone były do podeszw zewisów, aby zapewnić dobrą przyczepność przy poruszaniu się. Środek susterii zdo-biły szklane, szlifowane wstawki. Mieniły się w słońcu wszystkimi kolorami widma. Po bokach rzędy srebrnych kulek, aby dopełnić uroku.

To właśnie ta elegancja naszych egzoszkieleatów nadawała im taki postrach u wrogów. Rohost tarzał się ze śmiechu. Co go tak rozbawiło? Próbował

się powstrzymywać, ale ilekroć spoglądał na stojące pancerze, ponownie go brało.

Pora była na przymiarki. Wspiąłem się na swojego hipera i wszedłem do środka. Był ciasny i niewygodny. Od razu miałem w głowie lekcje, na których straszili nas, jak to bez tego cudu techniki nie przeżyjemy nawet kukusty na pustyni. Spróbowałem wystawić zewisa w przód, ale nie udało się. Chyba urządzenie było wyłączone.

Gdy wszyscy weszli do swoich muszli, pojawił się mi przed oczyma nizjen. Dyrygent mówił z niego po zurdowsku, zrozumiałem jedynie ogólny sens wypowiedzi, trzeba było bardziej przykładać się do języka.

Chodziło o to, że teraz dopiero zaczyna się prawdziwe szkolenie. Od tej chwili mamy zakaz opuszczania hiperów, pod groźbą porażenia prądem. Pancerze miały wbudowane tasery. Wszystkim nam to zaprezentował na pokaz, to były jak tortury, nigdy wcześniej nie byłem uderzany piorunami.

W maszynach będziemy jeść, spać i hutonować się, gdyż mają wbudowany jaborys. Możemy zapomnieć o naszych wygodnych concatesach. Na te słowa zamknął wrota do sypialni. Na zawsze.

Jednak była pora na ćwiczenia, wszystko jak dawniej, ale z hiperami. Z piasku wysunęły się kolumny z poduszkami. Hos pierwszy.

Chodzenie w hiperze było trudne, ale dałem radę wspiąć się na schodki. Skoczyłem na najbliższą poduszkę, i odbiłem się tak mocno, że przeskoczyłem dwie. Oczywiście spadłem w piasek, haterią w dół, przynajmniej nie bolało. Dyrygent się zaśmiał i poraził mnie taserem. Więc teraz tak to będzie. Wszystkie vinite wszechświata nie były tego warte.

Drugi był Rohost, słyszałem jego jęki od rażenia piorunami, jak jeszcze spadał. Trzeci Wewwt, ten nowy. Bezbłędnie przeszedł tor przeszkód. Pozostali także radzili sobie całkiem nieźle. Od razu widać było, kto stał się najsłabszy, jak to możliwe? Dlaczego?

W nocy załączył się nam jaborys na najmocniejszym trybie, pozbawił mnie ubrania. Co oni planowali? Zamknąć nas w tych maszynach na zawsze? Przecież nie byliśmy Czarną Armią. Od tego czasu wypatrywałem, czy przypadkiem nie podpinają nas do węża z pupallą, żeby zalać tą trującą zawiesiną.

Treningi zmieniły charakter, więcej było strzelań i mordowań, a mniej historii świata. Mielśmy być wiecznie posłuszni dyrygentowi. Codziennie pokazywali nam łunę Torten na horyzoncie, jako naszego jedyne go sensu życiowego. Ale ja wiedziałem, to nie mogło być Torten.

Pewnego dnia, niedaleko fortecy, spadł meteoryt. Naturalnie wysłali nas, aby to bliżej zbadać. Rohost jednak powiedział, żebym nie szedł. Próbował przekonać także pozostałych, ale nikt nie chciał go słuchać, a prawie go znów pobili. Opowiadał coś o kosmicznej śmierci, o uniwersalnym pochodzeniu

tego materiału. Uwierzyłem mu.

Otwarli główne wrota, ukryliśmy się w zagłębieniach muru, tak że nikt nas nie zauważył. Osiemnastka hiperów ustawiła się w rzędzie, najwredniejszy z przodu. Mam nadzieję, że nikt nie będzie ich liczyć. Gdy pierwszy żołnierz, Matart, doszedł do zgliszczy, coś wielkiego i srebrnego wyskoczyło na niego. Wgryzło się i wlało do środka pancerza. Pozostali naturalnie poczęli strzelać, lecz w mgnieniu plucka, metalowe ściany stanęły między nimi. Znad tajemniczej blokady wypadły poskręcane kawałki hipera. Wybuchła panika, wszyscy, prócz Matarta, uciekali z powrotem do fortecy. Chwilę potem potężna eksplozja rozniosła tamto miejsce. Śmieciowisko paliło się jeszcze przez pięć dni.

W ogólnym zamieszaniu, nikt nie zauważył że nawet nie wyszliśmy na pustynię. Przepytano każdą osobę, co wiedziała o dziwnym zjawisku i skąd pojawił się ogień. Wyniki śledztwa nie były zadowalające, toteż kolejne trzy doby trwał najcięższy trening dotychczas, ciągle razili nas prądem. Bez jedzenia, bez hurysowania się, bez snu. Jeden z nas, Qrton nie przeżył ciągłego testowania, umarł z wycieńczenia. Żałosne, zabijają własnych żołnierzy jako kara za utratę jednego z nich. Nawet Kryształowa Królowna bardziej szanuje swoje spupallowane zombie. Brakujące miejsca Matarta i Qrtona szybko zostały zapełnione kolejnymi osobami.



— Wiesz co? Mam tego dosyć, jesteś beznadziejny — Detektyw powiedział. — Dawaj mi to. — Wyrwał Połamańcowi z ręki worek z alternatywnym wszechświatem i wskoczył do środka.

— Co ty robisz? Zginiesz tam. — Właściciel próbował złapać go za znikający w ciemności ogon. — Zginiesz tam — powtórzył i uśmiechnął się.



Noc przerwało wielkie uderzenie i wycie syren. Światła na głównym murze zapaliły się pełną mocą i skierowały się w górę. Pośrodku fortecy stała gigantyczna, czarna postać.

— *A teraz zabawimy się* — powiedziała donośnym głosem. Nic nie rozumiałem.

Poczęliśmy strzelać z naszych wbudowanych w stroje mekerów. Gorące kukety wybuchały na ciele atakującego, jeden po drugim. Nic to jednak nie dawało. Zacząłem się bać. Pierwszy prawdziwy wróg. Rohost był tak samo zaskoczony jak ja.

— *Co powiecie na to?* — Uderzył pięścią z całej siły w środek kompleksu. Wewnętrzne ściany rozsypały się w proch. Ujrzałem, że żadna inna

grupa nie posiadała jeszcze hiperów. Bezhiperowi biegali chaotycznie, jak vety podpalone skupionym światłem słonecznym.

— *Wypierdalaj z mojego opowiadania!* — Mój kolega odkrzyknął. Nie wiedziałem, że zna język tego giganta. — *Zabijasz niewinnych, oni mają wyprane mózgi, dlatego cię atakują!*

— *Jaka szkoda.* — Przejechał ręką po głównym murze, zwalając wszystkie reflektory.

Nastała ciemność, rozświetlana jedynie xedowymi eksplozjami kuketów. Zobaczyłem łunę domniemanego Torten. Popatrzyłem w gwiazdy, przypomniałem sobie rysunki Rohosta. To nie było Torten.

Głowa dziwnego stworzenia zapaliła się ogniem. On jednak jakby tego nie zauważył. Pomarańczowy laser wystrzelił zza muru, ale także nie poprawił naszej sytuacji. Wielka, czarna stopa spadała na nas. Nie uciekniemy. Wtem kosmaty gigant został odrzucony z wielkim impetem w bok, w kierunku wypalonego miejsca po meteorycie.



Klekisław z całej siły kopnął w worek.



Panika, panika jakiej nie było nawet przy widowiskowym rozerwaniu Martarta. Nie było świateł, wszyscy strzelali jak popadnie. Co za banda idiotów.

Coś trafiło mnie w okolice querta. Odwróciłem się, to Rohost walił we mnie kawałkiem pukpula. Krzyknąłem, żeby przestał. To ja, Hos! Zdrajca uderzył mnie znowu, aż zabolalo. Zamachnąłem się, by mu oddać, ale on wywinął się i dzielił mnie ponownie. Prąd przeszył mi całe ciało, moduł do zadawania kar włączył się niekontrolowanie. Co za geniusz, zabije mnie moim własnym hiperem.

Mój były kolega jednak nie przestawał bić, padłem na ziemię, a on znęcał się dalej. A niby tak bał się mordowania niewinnych, wiedziałem, że nie można mu było ufać. Czyn zabicia mnie wzbudzi uznanie wśród pozostałych, nie będą go już męczyć.

Wtem błyskawice zgasły, a mój nizjen zasygnalizował uszkodzenie modułu hipera. Popatrzyłem na Rohosta, stał, opierając się o pukpul. Wsadził mi go w minutę i pokazał miejsce na swojej zbroi, gdzie przed chwilą mnie bił. Zrozumiałem.

Nie było mi łatwo i trwało to znacznie dłużej, niż w jego przypadku, lecz udało mi się „wyłączyć” i jego taser. Co teraz? Teraz uruchomił tryb głośnomówiący.

— Nasza armia zdrada. — Próbował łamanego zurdowskiego. — Dyrygent Mroźnik.

— Atakować, nie rozmawiać! — odpowiedział mu głos przywódcy.

— Hirten pułapka... — kontynuował.

— Torten — poprawiłem go. — Hirten było przed najazdem z północy.

— Kaporten. — Usłyszałem nieznajomy, rykliwy głos. — Kaporten Czarna Armia trucizna imigranci północ wy pułapka.

— A światła? — wysłałem zapytanie w eter, nie mając pojęcia kto słucha, a kto mówi. — Światła obok Torten... Hirten... Kaport... to miasto.

— Światła pułapka Mroźnicy my — Rohost odpowiadał. — Dyrygent wie podstęp. Dyrygent nas śmierć.

— Hos, Rohost. To wasze ostatnie słowa. Do widzenia. — Oficer wariował, nic się jednak nie stało. — Co zrobiliście z hiperami?

— To, co trzeba było zrobić już dawno.

— To naruszenie zasad! Wszyscy, zabić Hosa i Rohosta. Rozkaz. — Wycelowwała w nas osiemnastka mekerów.

— Pamiętajcie, kto jest prawdziwym wrogiem. To niekończąca się wojna. Co do jednego zostaliście osz... — Eksplozja ogłuszyła mnie. Zobaczyłem tylko pomarańczowe światło.

Gdy się obudziłem, był już dzień. Wszędzie wokół tliły się szczątki fortecy i mojej byłej armii. Rohost też tam musiał być. Musiał wybuchnąć pożar, jednak mnie jakimś cudem ominął. Przeszukałem zgłiszcza, lecz nic nie znalazłszy, postanowiłem wrócić do cywilizacji wzdłuż duży. Niektóre certy były poprzewracane, innym brakowało pierścieni, żaden alemon nigdy więcej tędy nie pojedzie.

I przypomniałem sobie wykłady, wychodziłem na pustynię. Technogony z pewnością zwęszą wkrótce mój hiper i wyskoczą spod ziemi. To koniec, chyba że zostawię maszynę tutaj, ale wtedy idąc, pewnie i tak umarłbym z pragnienia. Były jeszcze pozostałości tajemniczego meteorytu, ale na nie nawet bałem się spojrzeć. Lepiej pozostać w ruinach, niech mój pancerz będzie moim grobem.

Tej nocy śniły mi się dziwne wydarzenia z Culitrią, drugi raz przypomniałem sobie o tym, co przeżyłem, będąc dzieckiem. Rankiem przyleciało do mnie nietypowe, latające stworzenie.



Klekisław wyciągnął Detektywa z worka.

— Żyjesz? — zapytał.

Nie żył.

Dwa. To liczba demonów, które mu zostały do zniszczenia. A jemu właśnie skończyły się pomysły.

Jak na zawołanie, stanęli przed nim Ofiara i Morderca.

— Właśnie skończyły ci się pomysły, co? — jeden z nich zapytał.

— Tttak... — pisarz się przyznał.

— Zapewne masz jeszcze wspaniałe zakończenie, ja z chęcią je przyjmę. Lubię wspaniałe zakończenia. — Morderca wyszczerzył ostre zęby.

— Ty? Zakończenie? To mi się należy koniec opowiadania! — Ofiara się oburzyła.

— To ja je dostanę, mnie się zawsze wszystko dostaje! — Zaczęli się szarpać.

— Jedyne co dostaniesz to wieczyste miejsce w więzieniu na koniec opowiadania!

— Chyba że wcześniej ubiję też Detektywa.

— Nie wiesz, że to Pomocnik Detektywa zawsze rozwiązuje zagadkę?

— Nie tym razem. To ja ustalam zakończenia i ja wezmę sobie i to.

Klekiśław usiadł więc na ławeczce, pogrzebał zamasyżycie w worku i wyciągnął tak oczekiwany przez wszystkich czytelników finał. Rzucił nim w sprzecające się demony.



— No cóż, i tak całkiem nieźle ci poszło — Plazma powiedział, nawet się do mnie nie odwracając.

— Zamknij się — odrzuciłem. — Mam dosyć tego waszego świata. Ten test był niewykonalny, nie dało się nikogo uratować.

— Dało się, lecz trzeba było do tego trochę więcej sprytu. Mogłeś chociaż zachować sam siebie, żebym nie musiał tego robić ja. A tak wracasz do swojego bezużytecznego życia na Ziemi.

— Wołałem zginąć, niż nie próbować, niepotrzebnie mnie ocaliłeś.

— Obiecałem, że nic ci się nie stanie.

— To warto było wziąć i Hosa, co ci szkodziło?

— Nie mieszamy się w niezapoznane cywilizacje.

— Jedyne co robicie, to się mieszacie. Najpierw trójka Czarnych, potem zrównanie z podłożem fortecy Komód.

— Oni i tak by zginęli, idąc do Trap-orten. — Zaśmiał się ze swojego żartu. — Nawet jeśli Hos by odmówił wyruszenia w to miejsce, to za niesubordynację i tak by go zabili.

Opuszczaliśmy atmosferę Planety Wojny w takim samym śmieciolocie, jak wcześniej. Śmieciolot numer 878. Na szczęście ten był całkowicie nowy, wszystkie systemy i żarówki jeszcze działały poprawnie.

Gotowałem się ze złości. Byłem wściekły na siebie, na establishment Komodowej Armii, na Kryształową Królową i jej plan podbicia miasta, na imigrantów z północy, którzy zastawili pułapkę. Na Nadara, który przekonywał mnie o prostocie i łatwości zdania testu, na Kosmę, która dała mi daser z którego nic nie wynikło, na Profesora, którego nie obchodziło nic poza swoją Kulą. Ale najbardziej chyba na Plazmę, za jego hipokryzję. Potwory niby dobro robią, wierzą w Boga, a gdy co do czego przychodzi, to nie mają oporu mordować. Racja, czasem nie ma wyboru, jak nie zabijać, czasem nic to nie zmieni. Jednak zawsze da się polepszyć byt, gdy przypadkowo ma się okazję kogoś ocalić. Potwór się tego nie podjął.

Nieuratowanie niewinnego jest tym samym, co zabicie go z premedytacją. Odciągnięcie innej osoby od próby ratowania pozostałych, także jest morderstwem. A ja miałem pokonywać morderców.

Złapałem więc stery śmieciolotu, wyrrywając je Plazmie. Statek gwałtownie skręcił, zarzuciło mną po łuku, lecz zachowałem uścisk. Kilkudziesięciokrotnie cięższego potwora pociągnęło w tył, że aż jakimś cudem wbił się kolcami w podłogę.

— Przypomnij sobie, co zrobiłem z uniwersalnością. Chcesz skończyć tak samo? — Plazma ryknął głośno, acz stanowczo. — Puść stery.

— Spierdalaj, wracam po Hosa, czy to ci się podoba, czy nie.

— Wszystko mi jedno, lecz zamiast na Ziemię, trafisz później prosto do naszego więzienia. Resztę życia spędzisz w klitce metr na metr na metr.

— Prędeż wcielę się do Czarnej Armii, niż zgodzę się na to. — Niechcący zarzuciłem śmieciolotem, wykonałem łuk w drugą stronę. Zauważyłem wystającą, znajomą rękojeść ze schowka.

— Ja katastrofę przeżyję...

— A czy to przeżyjesz? — Sięgnąłem do dziury i wyciągnąłem daser.

Popatrzyłem mu głęboko w oczy. W pionowych źrenicach było coś nowego, coś czego u potworów nigdy nie widziałem. Strach. Wolno zaciskał swoje trójkątne kleszcze na podłodze, aż żelazne wiórki leciały. Uderzał na boki końcówką ogona, jak wściekły kot.

— Nie baw się tym, bo się skałeczysz. Mi członki odrosną, a tobie?

— Z chęcią się przekonam, czy za członki rozumiesz także i głowę.

Jak tylko ponownie przekroczyłem atmosferę, znowu wystrzeliły w nas rakiety. Chyba czegoś nie przewidziałem. Musiały być w tym śmieciolocie jakieś mechanizmy obronne, przeskanowałem wzrokiem pulpit ale nie znalazłem żadnych czerwonych guzików.

— Gdzie są antyrakiety? — krzyknąłem.

— W dupie. — Podniósł ogon.

— Nie masz dupy, czytałem o waszej biologii. Nie masz nawet mózgu!

Spróbowałem zrobić manewr wymijający, jednak bomby nie dały się oszukać.

Przypomniałem sobie, co miałem w ręce. Wycelowałem daserem i naciśnąłem spust. Zielony promień przebił szybę i rozciął pocisk na pół. Suchy wiatr uderzył mi w twarz. Nie widziałem drugiej rakiety, spanikowałem i zacząłem strzelać na oślep.

— Idiota — skomentował ognisty obrońca.

Coś szarpnęło śmieciolotem i bomba wpadła do kokpitu przez wydaserowaną przeze mnie dziurę. Niewypał. Brakowało jeszcze tylko pieczonego dzika.

Z daleka ujrzałem Hirten, znaczy Torten, znaczy Kaport... chuj z tym. Obok jaśniejąca pułapka mroźnych imigrantów. Wbrew zapewnieniom potwora, ten statek wcale nie był trudny do sterowania. Bezpiecznie zwolniłem opadanie na wysokości kilkudziesięciu kilometrów.

Na południu znalazłem wypaloną plamę na pustyni, która niegdyś była fortecą Komód, i moim domem przez dwa miesiące. Teraz spalona i zwęglona kupa gruzów nie wynosiła się więcej, jak kilka metrów nad ziemię. Tylko gdzie był Hos? Miałem nadzieję, że się nie spóźniłem.

— Technogony, pamiętasz? — Plazma wstał, wyrrywając kolce z podłogi. — Przejmują władzę nad technologią i takie tam. — Otrzepał się. — Nie zdziwiłbym się, jakby Hos nie przetrwał kilopulsa po naszym odlocie.

Coś szarpnęło sterami, a potem statek zaczął obniżać lot. Zaraz wielki robił ściąganie nas na ziemię i wyskoczy w górę spod piasku. Skierowałem daser pod nogi i aktywowałem, wycinając dużą dziurę w poszyciu. Nie było jednak tam żadnego technogona.

Wtem przeleciał mi koło twarzy pocisk, wyleciał przez drugą dziurę w dachu. Zobaczyłem w dole tylko różowy błysk. Dopadłem konsoli, szukając trybu głośnomówiącego. Tego też nie było. Plazma ziewnął.

— *Hos, ja Rohost. Pokój* — krzyczałem z całych sił po zurdowsku.

— Śmieciolot jest trochę podobny do dronów Czarnej Armii więc twój kolega miał prawo się pomylić. Mielście to na zajęciach? — ryknął obojętnie.

— Pomóc ci w czymś?

— Poradzę sobie.

Biegałem z lewa w prawo, z prawa w lewo, Hos nadal celował w nas swoim działkiem. Może narysować mu mój symbol na prześcieradle i rzucić? Ale nie mam czym narysować i nie mam prześcieradła. A może jest jakieś w kajucie? Statek coraz bardziej obniżał lot.

Zobaczyłem wtedy, jak z daleka nadciągała burza piaskowa. Nie, to nie była burza, to było raczej jak parowóz sunący metr pod ziemią. Technogon zwęszył naszą obecność i zaraz wyskoczy w górę. Strzeliłem daserem jeszcze raz, trafiłem centralnie w niego, lecz niewiele to pomagało. Jedynie zwolnił

niecو bieg. Wyrysowałem mój symbol na piasku, lecz Hos nie zauważył i nadal miał nas na muszce.

Robał był bliżej i bliżej. W akcie desperacji złapałem stery i szarpnąłem śmieciolotem. Różowa eksplozja zniszczyła silniki, poleciliśmy w dół.

— No to hej. — Plazma wybił kolejną dziurę w suficie, rozłożył skrzydła i uciekł, zatrzymując się w powietrzu.

Tuż przed zderzeniem także wygramoliłem się przez plazmowy otwór. Miękkie gruzy i masa kadłuba zamortyzowały upadek, naturalnie, przewróciłem się, prosto na twarz.

— *Rohost? Co ty robisz w statku Czarnych? Nie wiem, po co wróciłeś, ale nie pozwolę ci skrzywdzić Profesora.* — Głos Hosa rozległ się jak przez megafon.

— *Kogo?* — Chyba się przesłyszałem. Albo nie zrozumiałem zurdowskiego.

Wtedy z piasku wyskoczyła nasza śmierć. Nie nie śmierć. Nie elektryczny robał. Była to wielka, biała kula. Była to Kula.

Zawisła metr od gruzu i włąz opadł na dół, rozwijając czerwony dywan.

— *Panie Dernasztapie, jak miło znów pana widzieć. Ziemskie przysmaki już na pana czekają.* — Profesor Kula przywitał się z Hosem, w perfekcyjnym zurdowskim. — *O, i jest także Mateusz. Cóż za niespodzianka.*

— *Chwila, Profesor go zna?* — Hos dopiero teraz obniżył działko hipera.

— *Oczywiście, to nowy kandydat na członka ALOPP. Mieliśmy przyjemność zjeść razem bankiet nie tak dawno temu* — Właściciel Kuli powiedział coś, co wydawało się dla niego tak codzienne, jakby regularnie zapraszał na obiady losowe osoby z całego wszechświata. — I jak, udało się zdać test? — dokończył po polsku.

— Dalej, pochwal się co pięknego narobiłeś. — Usłyszał lądującego za sobą Plazmę. — *Rohost chciał ratunek Hos, ale atak Plazma.*

Hos otworzył hipera, wyszedł do połowy i wtopił we mnie swój wzrok. Potwór wylądował i wtopił we mnie swój wzrok. Kula wtapiał się we mnie swój wzrok już od pewnego czasu.

— Zaatakowałem potwora, bo chciałem ratować Hosa... tego... Dernasztapa. Ukradłem daser i groziłem mu, że go poćwiartuję. — Kula zdawał słuchać mnie uważnie.

— To są szczegóły. — Plazma drapał się za kolcem na ogonie. — Co tak naprawdę zrobiłeś?

— Nie uratowałem nikogo z fortecy, nawet siebie. Ognisty musiał po mnie przyjść i spalić wszystkich.

— Panie Mateuszu Mechalczy, nie jest pan dzieckiem, co pan popełnił strasznego?

— Jeszcze... nie wiem. — Kopnąłem kamyczek. — Zniszczyłem drugi śmieciolot?

— On nie wie. — Potwór wydał dziwny dźwięk.

— *On nie wie.* — Kula użył zurdowskiego.

— *Nikt nie wie.* — Tajemniczo rozłożył ręce Dernaszta.

— Zatem poczekamy, aż sobie przypomni — Plazma warknęła. Pomarańczowe pole siłowe objęło mnie całego. — Profesorze, łaskawy był byś nas podrzucić do głównego więzienia? To będzie jego nowy dom. Nie mamy co prawda strojów galowych, ale postaramy się nie wychodzić z garderoby.

— Broń Boże. — Kula złapał się za pierś. — Strój musi być.

Siedziałem, wciąż otoczony pomarańczowym polem siłowym. Tyle, że miałem też na sobie niewygodny, wypożyczony kontusz. Z góry słychać było śmiechy i dźwięki uczy. Hos gorączkowo coś tłumaczył, co jakiś czas przerywali mu potwór i gospodarz.

Świecąca strużka energii wychodziła z mojej klatki i niknęła w suficie, w miejscu gdzie przebywał kilka pięter wyżej Plazma. Uderzyłem parę razy pięścią w energetyczną tarczę. Musiał poczuć, bo zatrzęsął całością tak, że poobijałem się ze wszystkich stron. Nie było szansy na ucieczkę.

Dernaszta przyszedł do mnie. Przeprosił za to, że chciał mnie zabić, wyjaśnił iż byłem w statku przypominającym pojazdy Czarnych, a Kryształowa Królowa jest znana z robienia układów z kosmitami. Mogłem być ich tajnym agentem, to się tak pięknie składało w jedną całość. Przyniósł mi naleśnika z cukrem, nazywał go vinite, jego ulubioną potrawą, nie było lepszej na całej planecie. Nie mógł go jednak przełożyć przez pomarańczową ścianę. Tak musiał czuć się ten dziadziuś i żołnierz, odcięci od świata w kuli ze szkła wymiarowego. Na odchodne powiedziałem, żeby zapytał Profesora o bigos, to zobaczy czym jest prawdziwe jedzenie.

Wszyscy zeszli do garderoby. Hos trzymał garnuszek polskiego specjału i wciągał go wielkimi haustami. Ciekawe co będą mi dawać w tym kubitstycznym sztumie. Patrzyłem tępo we wrota kuli. Już było mi absolutnie obojętne. Bezżyteczność w więzieniu, bezżyteczność na Ziemi, co za bezżyteczna różnica. Ktoś pokręcił korbą, nawet się nie odwróciłem. Jak wyglądało ALOPPowe więzienie, nie wiem bo zamknąłem oczy.

Poczułem powiew świeżego wiatru. Był dość suchy i niewybitnie gorący. Nie pachniał Ziemią. Dlaczego Plazma otworzył swoją powłokę? Ciepłe promienie otarły mi się o twarz, nie z jednej, lecz z dwóch stron. Powietrze smakowało technologicznie. Słyszałem niewyobrażalną pustkę. Otworzyłem powieki.

Gradient nieba zmieniał się od jasnego błękitu, po fioletowy horyzont. Na rozległym firmamencie brak było jakiegokolwiek chmurki. Jednak nie było przez to monotennie, wielka ilość najróżniejszych półksiężyców zdobiła niebo-

skłon. Miały różne wielości, różne kolory i wszystkie wypukłością skierowane do obu gwiazd. Jeden z nich nie był kulą, a gigantycznym sześcianiem. Jeden miał iskrzące światelka po nocnej stronie. Jeden poruszał się bardzo szybko. Między dwoma było połączenie. Słońca były inne, jedno, większe, całkowicie białe, drugie, mniejsze, fioletowe. Wyciągnąłem rękę, która rzucała ledwo dostrzegalne szare i niebieskawe cienie.

Staliśmy na małym placu z jasnego kamienia. Kończył się przepaścią. Wąska, nieskończenie prosta droga odchodziła w bok, podpierana wysokimi pylonami, których podstawy niknęły we mgle. Z drugiej strony coś, co przypominało tor pociągu magnetycznego, schodziło ostro w dół, do niedostrzegalnej powierzchni. Na horyzoncie było jeszcze kilka przeczących grawitacji mostów, oraz gigantyczny, nierozpoznawalny kształt.

Czy to było więzienie? Nie wyglądało na więzienie.

— Witaj na Potworanie. Zostaniesz tu na zawsze — Plazma złowrogo się zaśmiał — gdyż nigdy nie będziesz miał ochoty wrócić na Ziemię.

Nie rozumiałem.

Ktoś włożył mi do kontusza okrągły przedmiot. Poczułem gładkie ekrany z dwóch stron i gumowy brzeg. Komunikator. Taki sam, jaki miał Nadar. Drugi kształt, w drugiej kieszeni, na pewno należał do szyfratora. Na moje kolana położono czarne ubranie, wyglądało podobnie to tego, jakie zaprojektowałem, lecz z lepszych materiałów i na środku miało srebrny symbol Potworanu.

— I przy okazji — rykliwy głos odezwał się za moimi plecami — tak, odcięta głowa może mi odrosnąć.



Z demonów została kupka prochów. Nikt więcej się nie ostał. Miasto było wolne, a Klekislaw Złamana Klawiatura jedynym jego mieszkańcem. Ale to jeszcze nie był czas do świętowania.

Wtedy wielki cień spowił wieś. Autor nie przypominał sobie o żadnym nadchodzącym zaćmieniu słońca. Popatrzył w górę. Tułów Kryminalisty schylił się nad biednym światostwórcą. Czy uderzy w niego? Zada ostateczną klęskę? Czy pogratuluje? Może wysypie kolejną dychę wrogów?

Olbrzym zbliżył wyciągniętą dłoń, jakby prosił o coś. Drugą zwinął w pięść i zawiesił nad pisarzem. Na co czekał? Czego oczekiwał?

Chciał fantastycznego kryminału. Chciał morderstwa w kosmosie i dochodzenia do prawdy poprzez podróże na nieskończonej ilości planet. Chciał popętnienia Czynu przez ten kanibalistyczny gatunek smoków, gdzie przez przypadek zjedzono premiera kraju. Chciał znikających ludzi uwięzionych na stacji kosmicznej, gdzie tajemnicze zjawiska decydują o tym kto przeżyje, a kto umrze.

I dostanie. W swoim czasie.

Opowiadanie 7

Wypchaj się tym barem mlecznym

Pocztówka kogoś, kto narzeka na obsługę w pewnej nietypowej restauracji.

Paraboloxie, wypchaj się tym swoim barem mlecznym, co mi poleciłeś!

Poszedłem do tej wychwalanej przez Ciebie knajpy i zamówiłem specjalność zakładu. Dali mi jakieś osiem żalosznych kulek w bardzo małym zestawie. Pomyślałem, co mi tam, i spróbowałem. No, przyznam, cztery największe były całkiem niezłe. Podobał mi się bogaty smak takiej pierścieniowatej, sporo dodatków. Jednak pozostałe — koszmar!

Pierwsza tak strasznie spalona, że pogryźć się nie dało. Drugą podali tak gorącą, że sparzyłem się w język. Czwarta za to strasznie sucha, musiałem maczać ją w szklance. Jednak trzecia. Oj... Trzecia była ROBACZYWA! Zrobiłem tam mały raban, ale łaskawie zwrócili mi pieniądze. Proponowali darmową mgławicę, oczywiście odmówiłem, pewnie byłaby pełna czarnych dziur.

Jak ostatnio poleciłeś mi lokal, to supernowa wybuchła mi na koszulę. A teraz to! Więcej nie słucham Twoich rad.

Xerinator

PS. Wracam stołować się w Andromedzie.

Opowiadanie 8

O tym jak mały Jasio znalazł żyrandol, a potem wszyscy się utopili

Grafomaniowy tekst, gdzie słowa są dosłownie.

Pewnego dnia Jasio znalazł w domu magiczną lampę dżina. Pozwalała ona, znaczy jej zawartość, spełniać dowolne życzenia posiadacza. Jednak ponieważ akcja się dzieje w Polsce, a w Polsce nie ma lamp, to trzeba uznać, że znalazł taką normalną lampę. Znaczą, są w Polsce lampy, ale takie na prąd, a nie takie na ogień, więc nie mógł znaleźć takiej na ogień, bo by nie był w Polsce. Więc dla uproszczenia uznajmy, że to będzie normalna lampa dżina. Taki żyrandol, jak wisi w domach na suficie, i że Jasio go tak po prostu znalazł.

Znalazł żelazny, złożony żyrandol. Jak pewnego dnia bawił się w pokoju, który spadł mu na ręce. No i go to zabiło, bo gruzy z sześciu ścian są trochę ciężkie. Więc zacznijmy od początku. Jasio bawił się na środku pokoju, gdy w ręce wpadła mu magiczna lampa dżina. Tfu żyrandol, taki Polski Żyrandol.

Nawiasem mówiąc, to żyrandol nie może być polski. Nie jest polskim słowem, w oryginale nazywał się po polsku w inny sposób, więc trzeba by przetłumaczyć mu tutaj nazwę na polską. Chyba powinien być to „ozdobny zwis sufitowy”, jak to mówiły nasze dziadki. Ogólnie wiele jest takich nie-polskich słów po polsku. Polewka, przydeptywanie manipulatora kulkowego, czy pisanie na kluczpłacie. A nie, to ostatnie to był kaszubski.

W każdym razie, wróćmy do opowieści. Normalnie jest tak, że lampę trzeba potrząść, żeby wyskoczył z niej dżin, ale to takie niemoralne, no bo kto moralny wyciera żyrandole, które znajduje? Znaczą, jak nie jest się pe-

*OPOWIADANIE 8. O TYM JAK MAŁY JASIO ZNALAZŁ
ŻYRANDOL, A POTEM WSZYSCY SIĘ UTOPILI*

dałem. Ale Jasio miał już dziewczynę, więc nie pocierał. I był bardzo normalny, kiedyś rwał sobie koszulę i tarzał się po ziemi z rozpaczy na widok kogoś trzymającego papierosa w zakazanym miejscu. Więc uznajmy, że skoro to była lampa na światło, to dżin wyszedł z lampy, jak tylko Jasio ją włączył. Wsadzając ją do kontaktu. To spowodowało, że mieszkaniowiec lampy postanowił wyjść, gdy zrodziła się w głowie taka myśl do której szedł i jak doszedł.

Wtem nagle z lampy wyskoczył dżin. Był taki umięśniony i niebieski, jak w bajkach Disneya, bo nikt nigdy nie widział innego dżina w prawdziwym życiu, więc nie mógłby sobie wyobrazić prawdziwego.

— Witaj mały Jasiu. Jestem dżin Dżn Dżinn z ozdobnego zwisu sufitowego — powiedział dżin Dżn Dżinn z ozdobnego zwisu sufitowego.

Mały Jasio, trzęsąc się ze strachu i porażenia prądem z kontaktu, poszukał tego motocykla, co mu wjechał do pokoju, ale go nie znalazł, bo to nie motocykl tak robił, tylko dżin Dżn Dżinn.

— Spełnię twoje trzy życzenia, bo zwykle dżiny tak robią, a ja jestem dżinem. — Dumnie wyszczerzył swoją masę mięśni. — Dżinem Dżn Dżinn.

— A dlaczego trzy, a nie jedno życzenie, jak inni? — pytał Jasio. — Jak Złota Rybka ostatnio mi dała.

Dżin Dżn Dżinn wzdrygnął się na tę myśl i szczerknął mięśniami, ale nie dlatego, że go obrzydzało, a dlatego że ostatnia osoba, której spełniał życzenia, była... no... miała... takie życzenia... jakby... co to w internecie są czasami... jak się wpisze adres... i takie obrazki... może nie przy dzieciach.

— Widzisz, ja jestem lepszy, niż rybka, bo jestem dżinem Dżn Dżinnem i mogę spełniać trzykrotnie więcej życzeń. A także pozwalam na życzenie sobie więcej życzeń, na co cyganki i czterolistne koniczynki nie pozwalają. — Pokręcił się na podłodze, jak bączek, co go małe dziecko puszcza.

— To ile życzeń mam w ostateczności? — Jasio wyciągnął kalkulator z plecaka i zaczął na nim liczyć ilość życzeń. Zabrakło mu guzików do liczenia, bo nie miał na dłoniach palców, a nie miał palców, bo potrzebował na czymś innym liczyć.

— Daj, pomogę ci. — I magiczny, niebieski duch dodał mu całe mnóstwo guzików w celu pomocy liczenia.

— Dziękuję, ale taki łuskowaty plecak to ciężko teraz założyć, uwiera w plecy.

— Proszę bardzo. Oprócz życzeń, pomagam także zwalczać inne rzeczy. Codzienne problemy za darmo. — Wyciągnął rękę. — Masz trzy życzenia. — Pokazał czy palce. Jasio uważnie się przyglądał.

— Tak, to są palce, dlaczego pytasz?

— Nie to chciałem powiedzieć, tylko trzy. TY-RZY!

OPOWIADANIE 8. O TYM JAK MAŁY JASIO ZNALAZŁ ŻYRANDOL, A POTEM WSZYSCY SIĘ UTOPILI

— Ja Jasio, nie żaden Rzy — odpowiedział nieprawidłowo Rzy, któremu Dżin Dżinn nieopatrznie właśnie zmienił imię.

— Masz już dwa życzenia. Bo się zagapiłem. Przemyśl dokładnie, co chcesz powiedzieć.

— No nie wiem, hmmm. — Jasio, który to był już teraz Rzy, zaczął dokładnie przemyśliwać.

— Nie, nie zastanawiaj się tak dokładnie, nie to miałem na myśli!

Ale Rzy padł trupem jak martwy trup. Trochę jak wyłączona lalka, z której wyciągnięto baterie. Albo bardziej jak lalka z wyciągniętą baterią, którą wyłączono... w każdym razie przestał myśleć.

Rozumiecie już chyba, moi drodzy czytelnicy... internauci, jak działają dżiny, prawda? Cokolwiek powiedzą, to się zaraz dzieje.

I tak sobie też teraz pomyślałem, że dżina można także przecież przedstawić jako świecącą kulkę światła. Jednak kulka światła w żyrandolu jest mało realistyczna, widział ktoś kiedyś cokolwiek takiego? No i nie ma przynajmniej trzech palców. Zostawmy więc niebieskiego mięśniaka.

No więc gdy dżin zrozumiał swój błąd, to jest że za dużo mówił, to przywrócił Rzy do pierwotnej postaci. Zaczęli od początku, to jest od żyrandola dżina. Od ozdobnego zwisu sufitowego dżina, takiego na prąd.

— Witaj, jestem dżin Dżin Dzi...

Małpa wieszała się na ozdobnym zwisie dżina i wcale nie odpowiadała. To znaczy... chciałem powiedzieć... napisać inaczej. Nie mogła się wieszać, bo lampa była nie na suficie, a na ziemi. I nie miała wcale depresji. I nie mogła ona też odpowiadać, bo one przecież nie znają zasad poprawnego formułowania zdań, małpy również.

— Mam tego już dość! — Rzeczywiście miał już tego dość! — Autorze, pisz poprawnie to opowiadanie, bo mi nie wychodzi spełnianie życzeń. Jesteś beznadziejnym pisarzem, nie dziwię się, że nikt nigdy nie chce nie zagłębiać się w nie niepłytko. Co chwila przekręcasz słowa i nie mogę poprawnie dżinować! Otrzeptał się z kurzu i zdmuchnął brud ze swojego zwisu.

Autor postanowił przyznać dżinowi rację i powtórzył całość.

Pewnego dnia Jasio znalazł w domu magiczną lampę dżina. Pozwalała ona, znaczy jej zawartość, spełniać dowolne życzenia posiada...

— Nie! — grzmotnął dżin, którego jeszcze nie było w tej scenie. — Auć, moja głowa. — Załapał się za głowę, popatrzył na wybitą dziurę w ścianie i zaczął się po niej masować. — Daj mi jasia!

— Witaj dżinie Dżin Dżinnie, jestem mały jasio — powiedział mały jasio, szeleszcząc puchem. — Jestem jasek, taka poduszka. Wyjaśniam, jakby w niektórych stronach Polski to określenie nie było znane. Bardzo ważne jest, aby w tym opowiadaniu wszystkie słowa były klarownie widoczne.

*OPOWIADANIE 8. O TYM JAK MAŁY JASIO ZNALAZŁ
ŻYRANDOL, A POTEM WSZYSCY SIĘ UTOPILI*

— Taa. — Dżin Dżn Dżinn otrząpał ręce z tynku. — Mam cię w dupie...
znaczy... nie, nie mam! Mów życzenia, szybko.

— Chcę wiertarkę i cztery żółte kulki. — Jasio klarownie oznajmił, będąc wyraźnie zawiedzionym z naprawy pomyłki słownej dżina. Wyciągnął swój róg z czterech liter niebieskiego ducha, którego przed chwilą tam wsadził.

— Po co ci wiertarka? — zapytał dżin Dżn Dżinn jasia, wyciągając sobie resztki puchu z ucha (a myślałeś, że z czego?) — Masz, co mi tam.

— Dżżżnnn Dżnnn Dżiinnn — zrobiła wiertarka.

— Słucham — odpowiedział dżin. A potem zrozumiał, że odpowiedział wiertarce. Niestety, jego prawo kazało mu spełniać życzenia również przedmiotom. — No niech będzie twoje życzenie, byle rach ciach ciach. — W pokoju nastały przez chwilę Święta Bożego Narodzenia, gdy puszyste wnętrzości jasia rozlały się po wnętrzu.

I tutaj pewnie czytelnik się zastanawia, co mogła powiedzieć wiertarka na swoje życzenie. Niestety, muszę go zawieść, ale wiertarki nie potrafią mówić. Więc nie mogła nic powiedzieć, bo by to nie była realistyczna opowieść. Taka opowieść, jak moje pozostałe. Jednak tak się złożyło, że ta powiedziała. Powiedziała, że zapisana w niej wiertarka powiedziała życzenie.

W każdym razie, wiertarka zażyczyła sobie własnego królestwa na obcej planecie. Żyła potem długo i szczęśliwie, dopóki bateria nie padła, nie mając jednego słońca, a trzy. Będzie o tym nowa, inna opowieść. Prawdziwa taka, z laserami, smokami, ludźmi w statkach kosmicznych i problemami społecznymi, jakie mogą występować w cywilizacji wiertarek, które to potem można wykorzystać w codziennym życiu ludzkim. Zaspóileruję, że doskonale nadają się u nas jako tania siła robocza przy konstrukcji statków.

A cztery kulki były potrzebne jasiowi po to, żeby czytelnik zastanawiał się po co mu były. Jak w tym żarcie o Jasiu i czterech kulkach, co prosił rodziców przez całe życie o te kulki, a jak miał powiedzieć po co mu były, to wykitował.

— Zostało ci jeszcze jedno życzenie. — Dżin wyprał jasia w pralce, aby pozbyć się resztek kleju i złożył do kupy igłą i nitką.

— Jedno?

— JE-DY-NO.

— No dobrze, daj mi się zastanowić. — Ukroił sobie kawałek NO na bankiecie DY. — Powinienem chyba poprosić o wyciągnięcie z tej kupy, w której mnie zaszyłeś, ale nie wiem.

— Cokolwiek powiesz, to się spełni. W końcu nie będzie tego opowiadania z beznadziejstwem i przekreślonych w nim słów. Nadejdzie kres. Tylko mówiąc, sprawdź dokładnie pisownię wypowiedzi.

— No to na trzecie życzenie to morze chciałbym...

Opowiadanie 9

Duży dom

Opowiadanie, które miało być osobnym opowiadaniem, ale wszyscy mieli je gdzieś, więc powstało jako grafomaniowy tekst z błędami stylistycznymi. Jako Wielka Improwizacja, był tylko zarys początkowej fabuły a od połowy pisany bez zbytniego myślenia.

Był sobie raz profesor i jego żona i miał kolegę, który też miał swoją żonę, którzy bardzo się nawzajem lubili. I ten profesor zawsze marzył o wielkim domu pośrodku lasu, takim z horrorów. Nikt nie wie, dlaczego ale akurat się złożyło że kupił taki dom po okazyjnej cenie od miasta, gdy został zlicytowany po tajemniczym zniknięciu poprzednich właścicieli.

No więc ponieważ dom był za duży dla jednej osoby, poprosił swoich przyjaciół o przeprowadzkę do tego domu, żeby razem tam mieszkali i było im tam fajnie. Kolega nazywał się Maciej i miał żonę o imieniu Klara, która lubiła kwiaty. On nie za bardzo lubił kwiaty i dlatego był jej mężem, bo mąż zawsze jest przeciwieństwem żony. Profesor z kolei miał żonę Aleksandrę, która była taką głupiutką dziewczuszką, która wolałaby siedzieć w wannie, zamiast łązić po nawiedzonych domach. A Profesor był prawdziwym Profesorem i kupił ten dom, żeby przeprowadzać szalone eksperymenty z dala od cywilizacji ludzkiej.

Gdy jechali polną drogą przez las, niebezpieczeństwo czuć było w powietrzu. Zatrzymali się na małej polanie, na której stał ten wielki dom. Był wielki, ciemny i wyglądał jak z horrorów. Jednak nie rozpadał się, choć wyglądał jak ruina. Miał nawet większość płytek na dachu i wszystkie szyby w oknach!

Profesor wyciągnął zardzewiałe klucze do drzwi i utorował sobie przez zarośla drogę do drzwi. Otworzył z wielkim trudem i weszli do środka. Mały salonik z zakurzonymi meblami prowadził schodami do długiego korytarza z tysiącem drzwi, na których końcu znajdowało się wielkie, półkoliste okno na

zachodzące słońce.

Pora była, aby odkryć sekrety tego domu. Aleksandra (ta głupia) rozpędziła się przez korytarz, otwierając wszystkie drzwi po kolei, a te które były zamknięte, omijała, aby poszukać swojej wymarzonej łazienki z marmurowymi podłogami i wanną wypełnioną olejkiem do kąpieli. Ale takiej nie znalazła, niestety. Znalazła jedynie jakiś zardzewiały kran, pod którym się umyła, zamiast wanny.

Reszta osób poszukała sobie sypialni, bo późno się robiło. Pierwsze drzwi prowadziły do pokoju z mnóstwem pozasychanych roślin. To było dziwne, pełno doniczek i drutów na ścianach, po których miały się pnać pnącza. Małe szafki w których znajdowało się pełno środków do pielęgnacji roślin. Łóżko wyglądało, jakby było zrobione z żywopłotu. Oczywiście większość tych roślin była wyschła i martwa. Klara, żona kolegi Profesora, bardzo chciała mieć ten pokój, gdyż lubiła kwiaty. Natomiast jej mąż nie lubił kwiatów i poszukał innego pokoju.

Drugie drzwi skrywały jakieś muzeum starych rzeczy. Wszystko pozakurzane. Profesor się rozpromienił z radości, jak zobaczył te rzeczy, których nikt inny nie potrafił nazwać. Były tam dziwne maszynki robiące różne dziwne rzeczy. Z sufitu zwisał model Układu Słonecznego, w którym nikt nie potrafił znaleźć planet Układu Słonecznego. Łóżko wyglądało jak wehikuł czasu, albo sterowiec z epoki steampunku. Profesor bardzo chętnie wziął ten pokój.

Trzecie drzwi skrywały pokój pełen luster i kurzu. Wszystko było odbijające się i takie ładne. Narzuta na łóżko była zrobiona z masy perłowej, włosów jednorożca i kurzu. Podłoga pokryta była dywanem i kurzem. Na ścianach tapeta z diamentów i kurz. Na suficie kryształowy żyrandol z kurzu. Aleksandra zaraz wpadła i zarezerwowała ten pokój, rzucając się na łóżko. W sekundzie pokój zmienił się w komorę gazową, ale zamiast Cyklonu B, był Cyklon Kurz. Wszyscy z wyjątkiem Aleksandry uciekli i poszli dalej.

Czwarty pokój to biblioteka. Maciej z chęcią wziął go dla siebie. Nic w nim nie było, prócz książek. Nawet łóżko było zrobione z książek. Maciejowi to nie przeszkadzało.

Kolejne drzwi były pozamykane, więc poszli wszyscy do swoich pokoi spać.



Po zachodzie słońca, Klara siedziała w swoim łóżku i czytała książkę. Oderwała się od niej dopiero, jak zobaczyła że jej kartki oświetlały też inne, kolorowe światła, niż jedynie wąż żaróweczka nad łóżkiem. Rozejrzała się i zobaczyła, że w pokoju jest bardzo wiele kwiatów i każdy z nich świeci,

jakby wsadzić do środka żarówkę. Przypomniała sobie, że niektóre z kwitnących roślin wyglądały jeszcze przed paroma godzinami jak suche patyki. Zastanawiała się nad tym, jakie rośliny potrafią tak szybko rosnać, gdy przypomniała sobie, że żadna z roślin Ziemi nie potrafi świecić, co ją jeszcze bardziej zdziwiło. Postanowiła więc oderwać się od swojej książki.

Aleksandra zatopiła się w swoim łóżku jak Titanic w górze lodowej. Nigdy nie chciała z niego wyjść. Choćby dziwne rzeczy działy się wokół, nic jej by nie zmusiło do wyjścia.

Maciej na chybił-trafił wybrał książkę i otworzył na losowej stronie. Była czarna i bez tytułu na okładce, więc normalnie nigdy by takiej nie wybrał, gdyby nie to, że miał zamknięte oczy. Jak otworzył stronę, to zaraz znalazł się na skraju przepaści nad jakimś morzem. Na niebie świeciły dwa księżyce, a morze było pomarańczowe jak kisiel.

Klara zbadała kwiat i zauważyła w nim rzędy ostrych zębów, jak gdyby chciał ją pożreć. Popatrzyła na łóżko, na którym wiły się pnącza, szukając swojej poprzedniej ofiary. Coś chciało ją złapać za buta. Chyba będzie potrzebowała innego pokoju.

Aleksandra nadal spała na swoim łóżku. Widziała się we wszystkich lustrach w pokoju. Tylko w jednym lustrze się nie widziała, co ją zdziwiło wielce, ale nadal postanowiła spać w łóżku.

Maciej poczuł, że nie może oddychać i że w rękach nadal trzyma książkę. Zamknął ją więc bardzo szybko i wrócił w mgnieniu oka do normalności. Spróbował na innej stronie i znalazł się u szczytu wulkanu, który akurat wybuchał. Więc tą książkę też zamknął, bo inaczej by się poparzył lawą.

Klara wyszła z pokoju i weszła na korytarz. Z każdego pokoju świeciło inne światło. W dodatku ostatnie okno świeciło jasno jak w dzień. Za nim znajdowało się morze i dwie planety na niebie. Bardzo dziwne.

Aleksandra nie mogła spać, ciągle myślała o lustrze bez odbicia. Postanowiła więc jednak wstać, co też uczyniła. Podeszła do lustra i dotknęła go, a ono zostawiło jej na ręce wodę. W dodatku było lodowato zimne.

Kolejna książka okazała być się próżnią kosmiczną, w której Maciej nie mógł oddychać. Postanowił więc nie otwierać już więcej książek w strachu o swoje życie. Że otworzy jakąś i znowu umrze. Więc chciał zobaczyć, co tam u innych. Wyszedł na korytarz i zobaczył Klarę wyglądającą za okno.

Klara zobaczyła wyglądającego z pokoju Macieja i pokazała mu okno. Za oknem było morze i dwie planety na niebie, okno jakby lewitowało w powietrzu. Po otwarciu powiał ciepły wiatr i nie mogli oddychać, bo nie było za oknem tlenu. Dotknęli morza, które było ciepłe jak ciepła woda.

— Ciekawe, czy w tym morzu żyją jakieś ryby — Klara zapytała się swojego męża.

— Być może — mąż klary odpowiedział.

Potem poszli razem do pokoju Aleksandry, bo bali się że jak jest tak dziwnie wszędzie, to będzie głupia i sobie zrobi jakąś głupią krzywdę.

Aleksandra poświeciła komórką w lustro, które okazało się być oknem na lodowiec. W środku byli zamarznięci ludzie, którzy w przerażeniu patrzyli się w jej stronę, jakby to na nią się patrzyli, ale nie mogli się patrzeć, bo byli zamarznięci, a jak Aleksandra sobie poszła, to nadal się patrzyli w ten sam sposób. To zastanowiło Aleksandrę, ale że jako była głupia, to sobie nic z tego nie robiła i dalej poszła spać do swojego zakurzonego łóżka.

Gdy Maciej i Klara weszli do Aleksandry, to zobaczyli jak śpi w łóżku i nic sobie nie robi z kapiącego lustra, które topniało pod wpływem ciepła. Maciej zbadał lustro i chciał zajrzeć za nie i się okazało, że to normalne lustro i z tyłu jest ściana. Więc podniósł je i popatrzył z różnych stron, a jak chodził, to zmieniał się obraz i widział także resztę lodowca i więcej zamarzniętych ludzi. Para obudziła Aleksandrę za pomocą kapania na nią zimną wodą z lodowca, a ona wstała i razem poszli do Profesora, żeby im to wytłumaczyć.

Jak wyszli na zewnątrz, to Aleksandra przypomniała sobie, że potrzebuje łazienki i poszła dalej otwierać resztę drzwi, które okazały się nie być już więcej zamknięte. Nagle połała się na nich woda, jakby zza jednych drzwi lał się ocean wody. Złapali się za klamki, żeby ich nie porwała. I nie mogli zamknąć tych drzwi z wodą, bo strumień wody był tak silny. Zupełnie jakby te drzwi znajdowały się na dnie morza, albo coś. I wtedy coś wielkiego od drugiej strony drzwi zostało zassane przez wodę i zablokowało przepływ. Ze strony korytarza wyglądało jak brzuch wieloryba, ale było bardziej gąbczaste jak gąbka. Postanowili zamknąć drzwi, żeby więcej nie poleciała woda i poszli do pierwszego pokoju profesora.

Gdy weszli do niego, to okazało się, że profesor siedzi skulony w kącie łóżka, a wszystkie te maszyny działają i latają. Do tego ten Układ Słoneczny pod sufitem obracał się tak szybko, że nie mogli przejść obok, bo by ich pociął na kawałki. Profesor siedział skulony w kącie łóżka i co chwila odbijał jakimś prętem lecące w niego mechanizmy, jak grając w golfa. Trzeba było mu pomóc. Każdy więc poszedł z powrotem do swojego pokoju, żeby znaleźć coś, co mogłoby mu pomóc się uratować.

Klara wzięła doniczkę z jakimś mało zabójczym kwiatkiem i butelkę wspomagacza wzrostu. Postawiła ją w pokoju Profesora i wlała butelkę do kwiatka i zaczął on szybko rosnąć i przyjmować na siebie ciosy planet. W ten sposób usunęli bezpiecznie Układ Słoneczny z sufitu i pokój stał się bardziej bezpieczny. Jednak kwiat okazał się niebezpieczny i także chciał zjeść Klarę i Profesora. Jednak mądra Klara wlała mu do doniczki trochę specyfiku do zabijania roślin i zabiła ją i już nie było niebezpiecznie. Jednak w pokoju nadal latały niebezpieczne mechanizmy.

Aleksandra nie miała w pokoju nic, co by mogło pomóc jej mężowi, tylko

same lustro. Więc postanowiła iść dalej spać, bo co innego by mogła robić.

Maciej wertował wszystkie książki i wziął kilka z nich pod pachę i poszedł z powrotem do pokoju Profesora. Otworzył tę o podróżach kosmicznych i pokój wypełnił się próżnią i wszystkie latające maszyny spadły na ziemię, bo nie miały powietrza do latania. Potem otworzył książkę o wulkanach i podłoga się zamieniła w lawę i zabiła wszystkie latające maszyny, które spadły na ziemię. Potem poszedł do Profesora i zapytał, czy wszystko w porządku, a on się bardzo ucieszył z ratunku. Poszli więc razem z nim, żeby wytłumaczyć, co się dzieje w tym domu.

Profesor, korzystając ze swojej profesorskiej natury profesora, zaczął uważnie studiować każde drzwi, otwierając na na oścież. Każde było inne, jedne pokazywały puszcę, inne jakieś kosmiczne miasta, a jeszcze inne laboratoria dziwnych kosmitów. Ledwo uszli z życiem, gdy zobaczyli kosmiczną wojnę, jak otwarli drzwi w jakiejś ruinie pośrodku wojny. W końcu Profesor kłasnął w dłonie i oznajmił, że wie jaki jest problem i że każde drzwi prowadzą do innych drzwi w jakimś innym miejscu. Zupełnie jak w tej animacji z potworami, ale tutaj było bardziej losowo.

Więc poszukali odpowiedzi, idąc do jakiegoś domu za jakimiś drzwiami. Była tam śnieżna i świąteczna atmosfera. Dom wyglądał, jak niedokończony od wewnątrz, jakby właścicielom zabrakło pieniędzy na dokończenie piwnicy. W kącie pokoju stała choinka. W niedokończonej piwnicy stał zastawiony na wigilię stół ze smacznymi rzeczami, ale nigdzie nie było mieszkańców. Za oknem słychać było inny dom, z którego co chwila dochodziły jakieś śmiechy. Okazało się, że drzwi z których wyszli prowadzą do małego składzika. Bardzo miła atmosfera. Postanowili skorzystać z gościnności i zjeść trochę jedzenia, bo nie jedli od całego dnia. Wtedy Maciejowi zadzwonił poranny budzik o szóstej rano, dokładnie wtedy drzwi do ich domu się zamknęły i zostali sami w obcym domu, bez możliwości powrotu.

Bali się, że zaraz wrócą mieszkańcy i usiedli w salonie, żeby im się wytłumaczyć, jak trafili do ich domu. Jednak minął cały dzień i nikt się nie pojawił, a za oknem nadal była noc i śmiechy. Więc jak się zrobiła północ na zegarku Macieja, to drzwi ponownie się otwarły i mogli wrócić do swojego domu.

Aleksandra była ciekawa prezentów i wbrew prośbom męża, otworzyła jeden. I już było wiadomo, gdzie podziali się mieszkańcy. W pudełku były wysuszone zwłoki jakiegoś człowieka. W pozostałych prezentach również. Bardzo się przestraszyli i wrócili do domu, zamykając za sobą drzwi.

Spróbowali kolejnych drzwi. Zobaczyli stół wypełniony owocami, wiele z nich było nieznanych. Był też tam stary, stojący zegar z kukułką o trzynastu godzinach na cyferblacie i chodził znacznie szybciej, niż ten Macieja. Spróbowali wziąć jakiegoś owoca ze stołu, ale okazało się, że te owoce żyją i się na

nich rzuciły, gryząc po ubraniach. Wtedy uciekli, bojąc się jeść jakiegokolwiek z nich.

Za kolejnymi drzwiami było miasto kosmitów z kosmitami. Jednak jak szli po tym mieście, to nikt nie zwracał na nich uwagi. Mieli humanoidalne kształty bez twarzy, trochę strasznie, a trochę dziwnie. Ich świat był bardzo rozwinięty i mało kolorowy. Był też nieco zimniejszy i Profesor obliczył, że ci ludzie patrzą na świat temperaturą i dlatego ich nie widzą. Przyniósł trochę lodu z pokoju Aleksandry i kosmici zwracali na nich uwagę. Traktowali lód jak walutę, więc nasi bohaterzy kupili w tym mieście wiele różnych fajnych rzeczy. Jednak tak się guzdrali, że zamknęły im się drzwi i zostali w tym świecie na kolejny dzień.

Jednak tutaj już nie było tak strasznie. Przespali się w jakimś hotelu, za który nawet nie musieli płacić, bo nikt ich nie widział. Profesor poszedł do muzeum technologii i nauczył się wiele ciekawej nauki o tym świecie. Jednak szybko zrozumiał, że ludzie są bardziej rozwinięci od tych tutaj, nawet jeśli nie robią tak fajnych budynków. Postanowili więc wrócić do domu gdy nastała północ.

Tak badali pokój za pokojem przez kolejne drzwi i nauczyli się, gdzie co jest. Zeszło im na to miesiąc, żeby się prawdziwie zadomowić. Codziennie się stały śniadania z żywych owoców w polowie kisielu z jakiejś książki oraz kąpiele w gorącej kawie olbrzyma z zamku z waty cukrowej. Było to bardzo miłe życie, o jakim marzył Profesor i jakie przyjmowała jego żona, jeśli raz na jakiś czas odwiedzali marmurową łaźnię w prywatnym domu jakiegoś króla, który był smokiem i który nie lubił, jak mu obcy kosmici używali wanny, gdy nie patrzył.



Maciej nie był taki chętny, bo trapiło go jedno, bardzo ważne pytanie. Gdzie podzieli się poprzedni właściciele? Mogli utopić się w lawie, a mogli zamarznąć w lodowcu, ale Maciej czuł, że dom ma jakiś związek z tym, co się stało z właścicielami. Postanowił poszukać odpowiedzi na własną rękę w jakiś pokojach. Szukał kogoś, kto dokładnie wyjaśni mu, czym jest ten dom i dlaczego jest taki dziwny.

Zaczął od książek w swoim pokoju, ale szybko stwierdził, że książki pokazują sztuczne miejsca, które nie istniały na prawdę. Więc jakby znalazł tam kogoś, to nie mógłby mu tam powiedzieć prawdziwej prawdy o tym domu, bo by to była sztuczna prawda. Jak powiedział o tym Profesorowi, to ten się zaśmiał, bo wiedział od dawna że książki są sztuczne i że nie są kluczem do zagadki.

Więc drugą rzeczą były pokoje, ale ich było mało i były dokładnie zbadane i nie chciał się za bardzo wychylać w te światy, bojąc się że coś się stanie. Nikt nie potrafił mu pomóc.

Trzecią rzeczą były okna, szafki i wszystkie małe otworki w domu, które nie były aż tak dokładnie zbadane. Jak otworzył szufladę w pokoju Klary, to wypadła z niej kupa śniegu, jakby lawina śnieżna leciała przez tą szufladę. Zaglądał do butelek i jedna wyglądała obiecująco, był tam pokój jakichś profesorów przy mapach.

— Przepraszam, mam jakiś problem z domem — grzecznie się zapytał.

Wtedy ci profesorowie wolno obrócili głowę w jego stronę, pokazując ciemne zupełnie oczy i nagle się rzucili na niego. Ale że dziurka w butelce była mała, to nie zmieścili się wszyscy, tylko ich długie języki wylatywały z butelki jak sznurki. Maciej czym prędzej zakręcił butelkę z powrotem.

W kolejnych butelkach były nieprzydatne rzeczy, raz ulatywał jakiś dym w różowym kolorze, raz widział zniszczone apokalipsą miasto, raz klasę dzieci, którzy też rzucili się na niego z językami, raz ciekła z butelki woda, która leciała na sufit, jakby miała odwróconą grawitację, raz z butelki wyfrunął dżin i powiedział, że nie umie spełniać życzeń i nie pomoże, a do tego umie tylko rapować.

Więc Maciej i rapujący dżin poszli poszukać czegoś w pokoju Profesora. Od pierwszego dnia, wszystkie zabawki na półkach były poprzywiązywane sznurkami do szaf, więc nie były groźne, chociaż groźnie się rzucały na widok Macieja. Nie było nigdzie żadnych dziurek, a za oknem była całkowicie czarna czerń. Gdy otworzył okno, ciemny dym wyleciał na podłogę i wezwał dżina na bitwę raperską. Dżin przeprosił Macieja i poleciał razem z dymem z powrotem za okno. Potem było słychać uciążliwe rapy o jakichś skrzyniach i pompach ropy naftowej, których Maciej nie miał ochoty słuchać, więc sobie poszedł do innego pokoju.

Postanowił zbadać korytarz. Oprócz pingwinów, grających w makao w lodówce i dyskoteki żelków w cukiernicy nie znalazł niczego ciekawszego. Czyżby nikt nie wiedział, co to za miejsce i dlaczego ten dom jest taki dziwny?

— Hej, szukasz czegoś? — Maciej usłyszał głos pod swoimi nogami. Schylił się do mysiej dziury w ścianie.

— Tak, czy wiesz może coś o tym domu? To dziwne miejsce — zapytał się.

— Tak, wiem o tym domu całkiem dużo. Mam nadzieję że pomogłem. — Po czym poszedł sobie.

Niestety nie pomógł wcale a wcale, przez co Maciej bardzo się na niego zdenerwował, że nie chce mu powiedzieć. Napisał karteczkę o tym, że jest na niego bardzo zły i wetknął w dziurkę.

Dalej Maciej poszedł poszukać czegoś w pokoju Aleksandry. Popatrzył ponownie na lustro i zastanowił się, na co patrzą ci zamrażnięci ludzie. Podniósł lustro ze ściany odsunął się troszkę. Jego oczom ukazała się duża postać, kilkukrotnie większa, niż pozostali. Może to był Yeti? Ale po dokładniejszym przypatrzeniu się, zobaczył że postać ma ogon i kolce na plecach i na ogonie. Na rękach trójkątne kleszcze i pazury na nogach. Nie wyglądał miło i przyjemnie, w dodatku jego oczy nie były całkowicie zamrażnięte, a uważnie patrzyły się na Macieja. Postanowił on zapytać się potwora, czy wie coś o tym miejscu, ale tamten nie mógł mówić, bo miał zamrażniętą paszczę. Tylko trochę się poruszył i lód popękał wokół niego. Przerażony Maciej schował lustro szybko pod pierzynę, mocząc przy okazji łóżko Aleksandry.

Powiedział o tym Profesorowi, który bardzo się ucieszył i postanowił szybko odmrozić straszne straszdyło z lodu. Jednak Maciej się na to nie zgodził, więc Profesor zrobił to, jak Maciej nie patrzył. Wylał trochę gorącej wody, trzymając lustro pod odpowiednim kątem, żeby odmrozić paszczę potworowi. Spowodował, że tamten zaczął móc mówić. Zapytał się, kim jest, a on powiedział jakieś dziwne słowo i dokończył po polsku, że są jakby policją wszechświata i że mu się zamarzło na misji jak ratował jakichś ludzi. I nie uratował ich, bo zamarzli. Jednak mijał ciągle się z odpowiedzią na to, czym jest dokładnie ten dom, chociaż wiedział doskonale. Poprosił o całkowite rozmrożenie aż do powierzchni lodu i wtedy im powie. Tego nie chciał wykonać nawet Profesor, co potwór skwitował tylko, że trudno.

Pewnej nocy Aleksandra, śpiąc w swoim łóżku, jak już wyszło, usłyszała głos potwora z lustra. Wzięła lustro i przesunęła tak, żeby go widzieć. Tamten poprosił ją o rozmrożenie, a ponieważ była głupia, to się zgodziła. Wymyśliła, że wsadzi lustro do wody z morza na końcu korytarza i pomacha, aby przyspieszyć proces topnienia, chcąc wytopić na tyle dużą dziurę, żeby uwolnić potwora z pułapki i wytopić lód do powierzchni. Jak pomyślała, tak zrobiła i za chwilę zobaczyła potwora w całej okazałości. Był nawet przystojny, jak na potworze standardy. Powiedział, żeby wszyscy się zebrali razem.

Więc Aleksandra wzięła potwora do pokazania swojemu mężowi, który bardzo się ucieszył, że tamten nie chce ich zabić tak od razu, przywołał do siebie Klarę i Macieja, którzy bardzo się zezłościли na Aleksandrę za to, że jest taka głupia. Byli razem w pokoju luster, potwór wskazał swoim kleszczem, żeby położyli lustro na podłodze, ale tylko Profesor zrozumiał jego zamiar.

— Dlaczego chcesz, żebyśmy wskoczyli do twojego świata? — zapytał.

— Ciszej, nie tak głośno — ryknął, szepcząc.

Jednak było już za późno. Usłyszeli, jak dom trzeszczy, zobaczyli jak wnęki drzwi tracą kształt prostokątów, jak podłoga lekko się wygina.

— Wskakujcie, szybko! — Złapał Aleksandrę za nogę i wciągnął do lu-

stra. Profesor skoczył samemu, chociaż nikt go nie podejrzewał o uwierzenie dziwnemu potworowi z lustra.

— Nie wskoczę. Nie ufam ci — Maciej odpowiedział i poszedł na drugą stronę pokoju.

— Chcę was uratować!

— Ja mu wierzę. — Klara wskoczyła do lustra za resztą trójki.

— Niby przed czym? — Maciej nie dawał za wygraną.

— Przed domem!

Na te słowa poczuł mocne szarpnięcie podłogi. Wszystkie lustra w pokoju poczęły pękać jeden za drugim. Zobaczył twarze swoich przyjaciół, ale nie ruszył się z miejsca. Poczęły się otwierać dziury w podłodze, do których omal nie wpadł. Przyjaciele i potwór wołały, żeby wskoczył za nimi, ale on nadal nie był wzruszony. Aż pękło i to lustro, ostatnia deska ratunku rozsypała się w trójkątne kawałeczki, jak zbite lustro. Dopiero wtedy ruszył się z miejsca.

Biegł, przeskakując ziejące dziurami podłogi. Wskoczył na korytarz, gdzie kolejne drzwi zatrzaśkiwały się z łoskotem, chciał pobiec do wyjścia, ale cały korytarz wypełniony był deskami, które obracały się jak wielki mikser do mielenia. Pobiegł w stronę okna, które nieco się obróciło w dół i morze zaczęło wlewać się do domu. Nie wiem, co chciał zrobić, czy wskoczyć przez okno do ciepłego morza w którym i tak nie dało się oddychać, czy co, ale nie udało mu się, bo podłoga tak sprytnie się obróciła, że przewrócił się. Zaraz potem okno schowało się w suficie i nastąpiła całkowita ciemność. Czuł, jak miały go deski, niczym całe mnóstwo dziwnych palców twardych dzieci. Czy to był koniec? Czuł, że będzie długo umierał.

Włączył swoją komórkę, żeby sobie poświecić i zobaczył wysuszone ciała, które wyglądały na poprzednich właścicieli domu. I umierał szczęśliwy, że rozwiązał zagadkę tajemniczego domu. W końcu, a jednocześnie trochę się smucił, że umierał.

A pozostali żyli długo i szczęśliwie, to potwór z lustra mówił prawdę i uratował ich. Podrzucił z powrotem na Ziemię, w miejsce, gdzie znajdował się wcześniej dom, a teraz ziała czarna dziura w ziemi. Jak odlatywał, to machali mu chusteczkami na pożegnanie.

Opowiadanie 10

Bicie dzwonu, śmierć komu?

Bombastyczna rodzinka spotyka na swojej drodze tajemniczy zegar.

Przylecieli swoim małym statkiem pod wieczór. Zwabieni dużą aktywnością uniwersalności w tej galaktyce. Ukryli rakietę w pobliskich górkach, wzięli najpotrzebniejsze narzędzia i poszli rozejrzeć się po zabudowaniach. Ta cywilizacja nie powinna była istnieć.

Ale istniała i należało to zbadać.

Było pochmurno. Mglista i zimna noc wgryzała się w grube, ciemne ubrania, w jakie się dla niepoznaki odziali. Wczesnowiosenny i niebieski księżyc oświeślał świat trupią luną, niczym wielka lampa nad stołem w prosektorium. Będąc tam, wolałeś trzymać się w cieniu, bo wydawało się jakby to światło mogłoby wyssać z ciebie życie. Ale i cień wydawał się nieprzyjemnym atramentem, który mógłby w każdej chwili złapać za nogę i wciągnąć w siebie na zawsze. Przeskakując między strachem i koszmarem, nie mógłbyś znaleźć bezpiecznej wyspy.

Był też drugi księżyc, mniejszy i cały czerwony. Nadawał miastu krwisty poblask. Z prosektorium przenosił do ciemni fotograficznej, gdzie wisiały kościste zdjęcia rentgenowskie. Była wczesna wiosna, ale odczucie towarzyszyło jednak późnej jesieni. Leżące gdzieś kupki śniegu, wyglądały w tym świetle jak zwłoki rozszarpanych zwierząt. Tam, gdzie światła księżyców się spotykały, panował nieprzyjemny fiolet, niczym żałobna szata rozpostarta na ziemi, ciągnąca się od horyzontu po horyzont.

Źródło uniwersalności, nieprawidłowej materii wszechświata, znajdowało się w centrum miasteczka. Czwórka przybyszów posuwała się zabłoconymi uliczkami, omijając kałuże o niezbadanej głębokości. Starali się pływać w cielistym atramencie, aby nie zwracać na siebie zbytnej uwagi. Elektroniczny czujnik uniwersalności pikał coraz szybciej, niczym EKG leżącego na stole operacyjnym pacjenta. Napawało to nadzieją, pomimo że każda zdrowa na

umyśle osoba omijałaby uniwersalność o lata świetlne, gdyby wiedziała czym jest. I czym może być.

Gdy serce ich pacjenta wyrwało się z klatki piersiowej, spostrzegli że są na głównym placu. To jedyne miejsce, gdzie błoto było tak zdeptane, jakby przeryło je stado ziemskich dzików. Połyskujące kałuże patrzyły się na rodzinę swoimi czerwonymi, księżycowymi żrenicami. Nie wyglądały jednak strasznie, bowiem i tak przyćmione były czernią, bijącą od wielkiej wieży. Wieży zegarowej, górującej nad półkolistymi budynkami, niczym sęp nad swoją przyszłą ofiarą.

Zegar jaśniał żółtawym światłem, niczym trzeci księżyc na niebie. Miał osiem godzin i jedną wskazówkę, która poruszała się w lewo, odwrotnie niż na ziemskich zegarach. Złoty okrąg wokół tarczy odbijał krew i trupa, pozornie niwelując ich złowrogość. Pomimo mrocznego zarysu wieży wokół, żółte oko emanowało sercowym ciepłem i domowością. Jednak nauczona doświadczeniem rodzinka Nocnych wołała pływać w czarnych dziurach, zamiast ufać tej dziwacznej i niebezpiecznej strukturze, jaką była uniwersalność.

Na plac powoli zaczęli schodzić się mieszkańcy. Ubrani byli podobnie do gości, snuli się, omijając błotne pułapki. Zwiewne, czarne stroje wydawały się meduzami, unoszącymi się bezwładnie po dnie oceanu. Nie rozmawiając ze sobą, sunęli niczym na śmierć. Wpatrywali się w słoneczny cyferblat, jak skazaniec wpatruje się w swojego kata. Wskazówka sterczała w kierunku dolnej godziny, niczym palec kostuchy wybierający swoją następną ofiarę. Czekali.

Smukłe budynki z ciemnego metalu. Spiczaste zdobienia były jak sterczące pazury potworów z głębi atramentowych kałuż. Małe okienka, przepuszczające czerwone światło pochodni, wyglądały jak oczy czyhających w cieniu drapieżników. Z ust buchała para i unosiła się bardzo wolno, prawie się nie rozmywając, niczym uchodzące w zaświaty dusze. Dymne kolumny sterczały z wierzchołka każdego domu, jak nitki marionetek sterowane przez wielkiego lalkarza, albo raczej, zegarmistrza. Widać było, że ci ludzie zbierali się na tym placu co noc. Co noc oczekiwali na śmierć.

Przestraszone dziewczynki przytuliły się do kolan swojego taty, a żona gładziła je po zakapturzonych głowach.

— Boję się — wyszeptała siedmioletnia Żyvia do swojej mamusi.

— Ale ty jesteś strachliwa — odpowiedziała jej starcza o rok Nadzieja.

— Ciszej, bo nas odkryją — szepnął im ojciec rodziny. — Zobaczcie, chyba coś się dzieje.

Wskazówka przesunęła się lekko w prawo, lądując dokładnie na dolnym znaku. Coś zgrzytnęło, coś metalicznie stuknęło we wnętrzu wieży. Złoty okrąg tarczy błysnął. Wszyscy ludzie umilkli. Wtedy dał się słyszeć mechaniczny głos, niczym wybijany na stalowym mechanizmie. Był pozbawiony

nawet iskiereki uczucia.

*Posłuchajcie uważnie moje dziatki
wybitej o północy zagadki.
Przed wschodem słońca znajdźcie rozwiązanie,
albo komuś coś się dzisiaj stanie.
Bim-bom.
Z piecem dom.
Trucizna w pudełku.
Obok kowadełka.
Dodana do soli.
Nie robi tego powoli.
Ofiara się nie ukryje.
Zabije to zabije.*

I była tam wyróżniająca się grupka mieszkańców. Mieli brudnawe stroje, chusty na twarzach i pałki w rękach. Trochę śmierdzieli. Wpasowywali się w mroczny krajobraz aż za dobrze. Jakoś pozostali ludzie trzymali się od nich na dystans. Po wymianie krótkich, niezrozumiałych zdań, pobiegli wszyscy w jakimś kierunku, a raczej podążyli za sobą nawzajem, bo nie widać było, żeby mieli jakąkolwiek zbiorową świadomość. Większość trzymających się z dala obywateli mimowolnie podążyło za nimi, co uczynili także kosmiczni przybysze.

Prosektoryjna cisza zniknęła, trupy ożyły, rozpoczęły się rozmowy i dyskusje. Ludzie rozprawiali o tym, czego może dotyczyć dzisiejsza zagadka. Fioletowy całun śmierci został rozdarty przez chaotyczne biegi, głośnie rozmowy i przepychanki wśród dzieci. Czerwone oko na nieboskłonie usilnie próbowało emanować złowrogością, ale nikt już nie zwracał na nie uwagi.

Członkowie rodziny z kosmosu uważnie podsłuchiwali rozmowy wokół siebie. Wyglądało na to, że zegar zadawał zagadkę codziennie i codziennie losowa osoba umierała pod wpływem tajemniczej siły mechanizmu. Śladów morderstwa nigdy nikt nie znalazł, a w prawej ręce ofiary pojawiał się zwój papieru z rozwiązaniem. Oczywiście zapisanym tym upiornym rymowanym tekstem. Nigdy w historii miasta nie udało się rozwiązać zagadki na czas i zawsze ktoś przypłacał to swoim życiem. Sam nie wiedziałeś, czy ta noc nie będzie twoją ostatnią. Żyvia i Nadzieja bały się, że którąś z nich może trafić zegar, albo gorzej, ich rodziców.

Maria Nocna bazgrała notatki na swoim elektronicznym komunikatorze. Uniwersalność to była nieprawidłowa materia, coś jak nowotwór wszechświata. Ten twór nie słuchał się zasad fizyki, nie można było nim sterować,

nie miał sensu. Uniwersalność przyjmowała bardzo różne formy, od tortów weselnych, po latające po wszechświecie dziadki w wannach pełnych wody. A tutaj podróżnicy trafili na zegar zadający zagadki.

Największe zagęszczenie gapiów wypadło przed czymś, co mogło być domem piekarza. Piec i sól. Musiało się zgadzać. W błocie, na kolanach, siedział związany właściciel przybytku.

— Gdzie jest ta trucizna, którą chcesz dodać rano do chleba?

Przywódca bandy groził mu wałkiem do ciasta. Był smukły, ubrany lepiej od reszty, jego twarz pozbawiona była wyrazu i pomimo światła księżyców, zawsze wyglądała jakby była złowieszczo oświetlona od dołu. Szrama tu i ówdzie potęgowała ten efekt. Łysa głowa błyskała bielą jak kość nagiej czaszki. Brakowało mu jeszcze kosy.

— Nie wmówisz nam, że zagadka nie jest o tobie. Tym razem pokonamy Zegar.

— Przysięgam! — piekarz płakał. — To nie o mnie tej nocy chodzi! Nikogo nie zamierzam otruć.

— Nie przyznasz się? To zaraz znajdziemy dowód. — Pstryknął palcami i reszta jego bandy zaczęła przewracać mu mieszkanie do góry nogami.

— Zapytam się jeszcze raz...

— ...nic trującego nie mam, tylko składniki do wypieków. Zegar przecież nigdy nie mówi wprost, to nie ja.

— Czyżby? Jest piec? Jest. Jest kowadełko do krojenia? Jest. Są ofiary jedzące rano twój chleb? Są.

— Wystarczy że nie upiekę dzisiaj rano niczego i nikt nie będzie mógł się otruć.

— A więc potwierdzasz, że gdybyś coś upiekł, to ktoś by się otruł, tak?

— Przekręcasz moje słowa.

Szepty przeszły po zbiorowisku i bandzie.

— Nie pyskuj. — Rozejrzał się nerwowo. — Bo zaraz spłaszczę ci tym facjatę! — Zagroził. — A wy co? Dalej szukać tej trucizny.

Tymczasem ktoś przyniósł jakieś znalezione pudełko. Przywódca otworzył, powąchał i uśmiechnął się, odsłaniając szereg migoczących czerwienią zębów.

— A co to w takim razie jest, proszę piekarza? — Podsunął mu znalezisko pod nos.

— Sól.

— Sól? A słyszałeś może także określenie „biała śmierć?”

— Wszystkiego jak się za dużo zje, to szkodzi.

— Zagadka mówiła, że trucizna miała być dodana do soli, zobaczymy zaraz ile w tym prawdy. — Wsadził mu pudełko w twarz. — Jedz tę swoją truciznę!

Poruszenie wśród ludzi. Ktoś podniósł rękę, ktoś chrząknął, ktoś się cofnął o parę kroków, ktoś zemdlał. Chyba nie za bardzo im się to podobało. Bo następnej nocy sami mogli skończyć na miejscu piekarza.

— Dzisiejsza noc jest specjalna. — Kostucha sączyła ludziom truciznę do uszu. — Dzisiaj bowiem rozwiązujemy Zagadkę. Dzisiaj uwalniamy się spod władzy Zegara.

Kilka osób popatrzyło się na wieżę, wieża popatrzyła się z powrotem na nich. Błysnęła złotym okręgiem tarczy. Mam was na oku.

— Jeśli puścimy piekarza wolno, zginie dzisiaj więcej niż jedna osoba, zginą wszyscy, którzy kupują poranny chleb od tego truciciela.

Ktoś chciał protestować, ktoś chciał ocalić torturowanego biedaka i swoje poranne śniadanie. Ale jak kilka osób odwróciło się w jego kierunku z takim samym wyrazem twarzy, jak u przywódcy bandy, to zaraz ulotnił się ze zbiorowiska.

I tym sposobem torturowany zjadł na raz cały kilogram soli. Niedługo potem dostał drgawek, co triumfalnie ogłoszono jako dowód, że w soli była trucizna. Nie wszyscy uwierzyli, ale rzekomy truciciel pilnowany był do końca, żeby nikt przypadkiem nie mógł zweryfikować niepowtarzalnego zdania białogłowego.

A jak już dowiódł, dlaczego sól odmierza się w szczyptach, a nie w łyżkach, to zostawili jego truchło w zimnym błocie, a księżycy przykryły go fioletowym całunem. Zegar nadal tykał, jak zawsze, ale też nikt nie wiedział jak miałby się zachować po rozwiązaniu jego zagadki. Zatrzymać się? Wybić pochwalną melodyjkę? Zapaść się pod ziemię? A może dać punkt i kontynuować zagadki następnej nocy? Nie przeszkadzało to bandzie w ogłoszeniu sukcesu i świętowaniu.

Słońce wstawało, zalewając miasto bielą. Białe karzele tego systemu był małą gwiazdką, przebijającą się ledwo przez chmury. Dzień osuszał atrament i zwił w kłębek fioletową kołdrę. Błoto zamykało swe ślepie, a metalowe domy poczęły się skrzyć. Noc nie chowała się, jak zwykle, po kątach. Uciekła w całości za horyzont, wygoniona jasną nadzieją. Nawet mroczna wieża zrobiła się mniej mroczna, chociaż rzucany na miasto cień wszystkim przypominał o jej istnieniu. Jedynie piekarz na środku ulicy był trochę nie na miejscu. Ale czy warto było się nim, przejmować? Dzisiaj on, jutro ktoś inny.

I wtedy zegar uderzył dzwonem tak mocno, że gdyby ludzie mieli w oknach szyby, to już by ich nie mieli. Ludzie przystanęli na chwilę, pomalowali się po sobie, jakby chcieli sprawdzić czy nadal żyją. Ktoś sobie zbadał puls. Po kilku sekundach, rozluźnieni, kontynuowali swoje wędrówki. Nawet słychać było gdzieś jakieś śmiechy. To była ta spokojniejsza część doby.

Grupka osób biegła niespiesznie, jakby chciała zdążyć na pociąg, który i tak ma opóźnienie. Pierwsza osoba trzymała w ręce zwój papieru. Do grupki dołączali się też inni, zaciekawieni rozwiązaniem zagadki. Rodzinka Nocnych skorzystała z okazji.

Tego poranka zegar swoim uderzeniem zabił jakąś prostytutkę z domu publicznego na skraju miasta. W jej ręce znaleziono ten zwój. Nagle osunęła się na ziemię, już jej nie dobudzili. I tak ginął ktoś co rano.

Przybiegli do domu kowala. Kowal siedział przed domem i popatrzył się na przybyszów w taki sposób, jak trener patrzy się na swojego zawodnika, który przybiegł na metę ostatni.

— Moja żona umarła dzisiaj rano. — Nie widział papirusu, a jednak doskonale znał jego treść. — Została otruta naszyjnikiem z masy solnej, który ktoś jej podarował. — Skupił swój wzrok na właścicielu kartki, tak jak ogniskuje się światło lupy w celu podpalenia czyjegoś domu. — Na pewno nie piekarz, którego zamordowaliście dzisiaj w nocy. Więc kto?

— Ja to zrobiłem. — Aptekarz wyszedł z domu obok. — Ta jędba uczyła nasze dzieci, że Zegar jest jakimś rodzajem boga. Że trzeba mu oddawać cześć. Bóg jest tylko jeden, a ten zegar jest jego dokładnym przeciwieństwem! — Kilka osób mimowolnie popatrzyło na wieżę, złoty okrąg wokół tarczy błysnął, jakby chciał zaprzeczyć jego słowa.

— A kowadło? A pudełko? — dopytywał się tłum.

— Kowadełko. — Aptekarz wskazał palcem na ucho. — Pudełko. — Wskazał na swoją głowę. — I trucizna w środku.

Ludzie czytali z papirusu i milcząco przytakiwali.

— Zaczynają mu budować kapliczki. — Nakręcał się dalej. — Składają dary na głównym placu, prosząc o łatwą zagadkę. Nie możemy na to pozwolić! To on. To Zegar zabił wszystkie trzy osoby. Waszymi i moimi rękami. Nakręcany diabeł.

— Zabiłeś w taki sam sposób. Jak śmiesz nas pouczać? — ktoś z tłumu wykrzyknął.

— Zabiłem, żeby nasze dzieci nie zabijały w imię mechanicznego szatana, śmierć za więcej śmierci. Każdy z was zrobiłby to na moim miejscu.

— Sam jesteś szatanem.

— Przynajmniej nie torturowałem piekarza, zrobiłem to humanitarnie, dla dobra nas wszystkich.

— Jakiego dobra?

I zaczęli się przepychać. Nauczona doświadczeniem rodzinka Nocnych powoli się wycofała. Krzyki było słychać na całej ulicy, ciekawe czy kolejna osoba znowu zginie.

Rafał Nocny umieścił w kwadratowym urządzeniu różaniec, buteleczkę wody święconej i kawałek Jana Pawła II. Bogofon zatrzeszczał, zawibrował i

na ekranie ukazała się trójwymiarowa postać. Młodzieniec miał jasne włosy, błyszczące w ostrym świetle, oraz białą szatę ze srebrnymi akcentami z pereł i diamentów. Wyglądał jak doskonały człowiek, może nawet aż za bardzo doskonały. Za nim znajdowały się rzędy kolorowych kul, wokół których chodzili inni aniołowie.

— Niebiański departament symulacji alternatywnych wersji wszechświata, w czym mogę pomóc? — Rozległ się anielski głos, niczym grany na trąbach w akompaniamencie tysięcosobowego chóru. Anioł popatrzył się swoimi niebieskimi oczyma wprost na ich dusze. — Och, to wy, hejka. I jak tam wasza ludzka egzystencja, moi dzielni wojownicy uniwersalności? Nasze perpetuum mobile w waszej rakiecie nie zawodzi?

— Znaleźliśmy zegar — wypaliła niespodziewanie Nadzieja.

— O, to miło. — Uśmiechnął się nieco drwiąco, pokazując idealnie proste i białe zęby. — Na samej Ziemi znajduje się kilka miliardów różnych zegarów, chciałabyś może doprecyzować?

— Ale ten zadaje zagadki — dodała Maria Nocna.

— I morduje ludzi — wspomniał Rafał.

— I gada po polsku. — Żywią się ożywiła.

— Hmmm... — Anioł zmarszczył czoło na którym nie pojawiła się ani jedna zmarszczka. — Strasznie nieuniwersalna ta wasza uniwersalność. I jeszcze ten polski język. Spauzujcie na kilka pulsów, coś mi świta.

Rodzinka popatrzyła się po sobie pytająco. Zza kamery dał się słyszeć dźwięk przerzucanych ksiąg.

— Hitler wygrywa wojnę, to nie.

— Ludzie znoszą jaja? To też nie.

— Derdenole chomipują fizultanowe bugysty? Listo.

— Nasz ulubieniec wygrywa wybory. Może innym razem.

— Atomy poruszają się pod wpływem miłości? Nic z tego nie wynikło.

— Wymuszone ćwiczenia inteligencji. O.

Na co trafiła rodzina Nocnych tym razem, to nie była surowa uniwersalność, tylko jeden z wyciekłych eksperymentów. Anioł obrócił swój bogofon na reszki słoju do symulacji wszechświatów. Jeszcze nie posprzątali do końca po katastrofie roku zerowego. Uniwersalność jest umieszczana w tych słojach przed rozpoczęciem symulacji, to coś jak komórki macierzyste. Kiedy główny zbiornik tej surowej losowości wyciekł i zalał wszechświat, trochę normalnych symulacji też popękało.

— Na trop nakierował mnie ten wasz język. W Niebie wielu posługuje się słownictwem Narodu Zapasowego. Dużo bardziej przyszłościowy niż łacina, wiecie? I tak fajnie trzeszczy, odstrasza diabły. — Niebiański urzędnik trochę zboczył z tematu. — W każdym razie... „celem tego eksperymentu było zbadanie, jak się żyje w świecie w którym co noc wymuszona jest ścisła

współpraca pomiędzy obcymi ludźmi w rozwiązywaniu codziennej zagadki” — czytał. — No tak, zawsze najprościej poprzez wiecznie wiszącą nad nimi groźbę śmierci.

— I jaki był wynik? — Rafał się zapytał.

— To ja powinienem się was zapytać.

Rafał odwrócił bogofon w stronę miasta.

— Do stu Judaszy, to się na mnie patrzy...

— A no. Na wszystkich się patrzy. I wszystkich może na równi zamordować.

— Jak w takim zagadkowym świecie radzą sobie mieszkańcy? — Dało się słyszeć tarcie pióra o papirus.

— Dzisiaj zginęły trzy osoby. Może cztery. Tylko jedna była ofiarą zegara. Odpowiedz sobie na to pytanie.

— No a gdyby współpracowali ze sobą, zamiast się zabijać, to może rozwiązaliby zagadkę na czas i nikt by nie zginął, co nie? — Chrobotanie zwiększyło wysokość. — A jak wspañiale przeciwczyliby sobie przy okazji umysły, pomyślcie. Świat geniuszy.

— Nie wynaleźli jeszcze elektryczności, a błota jest tu więcej niż twardego gruntu. Jest też jakaś grupa dresów, co robi za zbawicieli i wczoraj zatorturowali niewinnego piekarza na oczach niewzruszonych gapiów w imię rozwiązania zagadki.

— Tak. Była możliwość, że tak się będzie działo. — Anioł popatrzył na wszystkich ludzi z wyrzutem. — Zapisuję jako nieudany. Jak zwykle. Teraz najlepsza część. Możecie zniszczyć zegar.

— Rozwiązując zagadkę? — Żywia miała siostrę w głosie.

— Myślałem o bombie sacroteriowej, tej co na raz zniknęłaby cały system gwiazdny. Ale manualnie też można, jak wam się aż tak nudzi.

— Mielibyśmy zabić tych wszystkich ludzi?

— Nie posiadają dusz, celem ich życia była symulacja. Nie mają potrzeby istnienia. To tylko trochę skonsolidowanej uniwersalności. Wielkie mi halo.

— I to niby my jesteśmy tymi złymi?

— Ech... — Westchnął organową muzyką. — Każda z tych kul za moimi plecami posiada septyliardy istnień. — Nawet się nie odwrócił. — Nie mówiąc o tej jednej symulacji, która odtwarza nasz aktualny wszechświat. Na prawdę chcesz kolejny raz przez to mentalnie przechodzić? — Przeczytał mu odpowiedź w myśli, że nie. — Zresztą, w tej galaktyce nie ma innego życia, róbcie z nimi co chcecie, dla nas już nie istnieją. — Zatrzasnął księgę. — Macie przecież wolność, którą tak chętnie sobie zerwaliście z drzewa. Pobawcie się w Boga.

Wychodząc ze ślepej uliczki, Rafał zapytał się przechodnia, czy wie może kto jeszcze poległ w ostatniej kłótni przed domem kowala. Okazało się, że

zadżgano dwie osoby, a jedną zdeptano. I na koniec kowal powiesił się ze smutku. To było razem siedem osób, dużo. Kobieta się zaśmiała, dzisiaj i tak wypadło mocno poniżej tygodniowego rekordu.

Wyglądało na to, że to wcale nie zegar był największym mordercą w tym mieście. Tarcza na wieży przytakująco odbiła światło białej gwiazdy.

Kolejnej nocy odbyło się ponowne zebranie na głównym placu. Niebieski sierp księżyca świecił teraz znacznie słabiej, dawał na niebie miejsce dla swojego czerwonego przeciwieństwa. Ta czerwień nie była już łuną krwi, jak poprzednio, była ostrzeżeniem. Była alarmem na tonącej łodzi podwodnej. Uwaga, dzisiaj zginie jeszcze więcej osób!

*Posłuchajcie uważnie moje dziatki
wybitej o północy zagadki.
Przed wschodem słońca znajdźcie rozwiązanie,
albo komuś coś się dzisiaj stanie.
Ding-dong.
Budowniczy wsiąkł.
Szukacie, a znajdziecie.
Wszystkich jego dzieci.
Dokąd sobie poszedł?
Wziął ze sobą kalosze.
I oto historia jest cała.
Znajdźcie tego bałwana.*

Banda dresów nadal stała w miejscu, czekając na to co powie im ich jedyny mózg. W tej zagadce trzeba było znaleźć jakiegoś budowniczego, który sobie gdzieś poszedł. Zawołano więc wszystkie rodziny w których byli jacyś konstruktorzy, pytając się, czy grupy są w kompletach. Jak jeden potwierdzili.

Ktoś podsunął pomysł, że budowniczy nie musiał mieć rodziny, mógł sam wychowywać dziecko. Więc poproszono, właściwie zagoniono, wszystkie dzieci w miasteczku na główny plac, wraz z rodzicami. Ale szybko porzucono ten pomysł gdy okazało się, że musiałyby przyjść cała wioska. A zegar nieubłaganie tykał dalej.

A może symbolicznie chodziło o dzieci jako o zbudowane konstrukcje? No ale jak znaleźć budowniczych każdej, nawet najmniejszej rzeczy w mieście?

Trzeba znaleźć kalosze. Jak znajdziemy kalosze, to budowniczy będzie obok nich. Wspaniałe rozwiązanie. I tak sprzeczały się i sprzeczały. I nic z tego nie wychodziło.

Nocni poszukali w mieście jakiegoś muzeum. Znaleźli jedno, które robiło także za bibliotekę. Było zatoczone, bowiem każdej nocy wiele osób przychodziło tutaj, próbując wynajdywać swoją własną broń na zegar. Posiadali tutaj spis wszystkich zagadek i ich rozwiązań od początku istnienia miasta, to jest przez jakieś dwa tysiące lat, od czasu katastrofalnego w skutkach wycieku uniwersalności i uwolnienia się tej symulacji ze słoja. I jakoś nie widać było, żeby ten świat w jakikolwiek sposób się zmienił. Był do bólu statyczny, może dlatego że mieszkańcy co noc tracili czas na walkę z zagadkami zamiast zajmować się nauką i samodoskonaleniem? Może jeśli wiesz, że każda noc może być twoją ostatnią, to nie ma sensu nic robić? Zabawne, że przez tyle lat ci ludzie nie potrafili się zjednać. Ale z drugiej strony, czy jakakolwiek cywilizacja we wszechświecie tego dokonała? Przecież nie.

Rodzice wczytali się w księgi historyczne.

— A może chodzi o prawdziwego bałwana? — przerwała im znudzona Nadzieja, widząc jak inne dzieci lepią na ulicy struktury z wszechobecnych kawałków rozszarpanych trucheł.

— Ale kto konkretnie miałby być budowniczym bałwana, córciu? Każdy mógłby być, zobacz ile tutaj dzieci — Maria Nocna się zaśmiała.

— Nie, bałwan ma być budowniczym. — Głupi dorośli, znowu nie rozumieją.

— Bałwany nie budują bałwanów, głuptasku...

— Mogą budować jak są duże. I mogą też wsiąkać.

— Ale o co ci chodzi?

— Chyba wiem o co chodzi Nadziei. — Tata zamknął kilkusetletni tom.

— Założmy tak. Gdyby topiący się bałwan rozpadł się na kilka kawałków, to te odpadłe bryły to byłyby jak jego dzieci. Prawda? A ponieważ jak się topi, to robi pod sobą wielką kałużę i może całkowicie sam zniknąć, zostawiając swoje niestopione fragmenty.

— I kalosze! — Żywia zawołała. — I miotłę, i garnek, i marchewkę!

— Nie wiem, czy na tej planecie rosną marchewki.

— Utopiły się w błocie, musimy znaleźć i odbudować bałwana! — Dzieci wybiegły na ulicę, rodzice za nimi. Tyle razy powtarzali żeby nie biegać po obcych planetach, ale jak do ściany.

Przez resztę nocy dziewczynki szukały truchła wspomnianego bałwana, a ich rodzice szukali dziewczynek. Dopiero, gdy się rozjaśniło, spotkali się zupełnie przypadkowo nad kałużą, która idealnie odpowiadała ich przewidywaniom.

— Co my mówiliśmy o oddalaniu się w taki sposób?

— A gdyby was ta banda dopadła? Pomyśleliście o tym? — Rodzice robili to, co zwykle.

— Nie ma czasu, trzeba rozwiązać zagadkę. — Żyvia próbowała się tłumaczyć.

— A gdybyście nas nie znaleźli, to co byście zrobiły na tej obcej planecie?

— Nadzieja, zobacz, tu wystaje garnek.

— Byliśmy na tylu niebezpiecznych światach a wy się niczego nie nauczyliście.

— Nie mogę dosięgnąć, ty spróbuj, masz dłuższą rękę.

— Możecie zapomnieć o wizycie w Pałacu Nadiru, powiemy królowi Freonowi, jak się zachowywałyście.

— A patykiem?

— I nie dostaniecie już więcej lodów od niego.

— Czekaj, coś czuję.

— Ferro już nie będzie z wami latał w...

Uderzenie dzwonu zatrzęsło światem. Koniec czasu wszystkich uciszył. Rodzice spojrzeli na swoje pociechy, a potem na kałużę otoczoną kilkoma białymi grudkami. Rafał zanurzył rękę w błocie. Wyciągnął parę brudnych kaloszy. Westchnął. Niedługo to trwało, aż przybiegła do nich jakaś obca osoba. W rękę trzymała zwój papieru. Studiowała długi czas to miejsce, patrząc to na rodzinę, to na kałużę, to na ubłocone kalosze, to na swój zwój. Potem gdzieś pobiegła. A nasza rodzinka, nie mając ochoty na bycie celebrytami, ulotniła się, jak to dobrze już wcześniej miała wyćwiczone.

Nauczeni porannym doświadczeniem, Nocni wzięli ze swojej rakiety worek nanobotów i rozesłali po całym mieście, aby zmapowały im teren. Każdą kałużę, każde zagłębienie miało być wpisane do pokładowego komputera. Zegar także próbowały zbadać, ale nie znalazły w nim jakiegokolwiek otworu. Wieża okazała się całkowicie zamkniętą bryłą. Na tę zabawę zszedł im cały dzień.

Zobaczymy, jak nędzna mechaniczność poradzi sobie z doskonałą formą elektroniki. Teraz Nocni będą wiedzieć wszystko i będą jednocześnie wszędzie. Żadne sztuczki z szukaniem igieł w stogach siana, albo kaloszy w kałużach błota nie przejdą.

Trzecia noc była tak nieprzyjemna, jak iloczyn dwóch poprzednich. Gęste chmury nie przepuszczały żadnego światła, nawet tej wścieklej żarówki na niebie. Jedynie żółta tarcza zegara delikatnie oświeślała miasto. Teraz to ja jestem waszym słońcem.

Deszcz padał, błotne ulice zamieniły się w potoki. Mglista firana zasłoniła miasto, niczym pajak oplotujący siecią swoją ofiarę. Prawie wszystkie nanoboty ugrzęzły w bagnie lub zostały spłukane w żarłocznym, wszechobecnym cieniu. Nie zemną takie numery.

Czas się zbliżał. Drgające połyski okręgu zdawały się wskazywać, że rechoce. Nie było widać zarysów wieży, była tylko świecąca tarcza, unosząca

się nad ludźmi niczym ich nowa i jedyna gwiazda. Na zawsze. Mieszkańcy stali na głównym placu jak co noc, przyklejeni do deszczowej pajęczyny, i nie spodziewali się, że i tym razem będzie jakkolwiek inaczej. Legenda o rozwiązanej zagadce zgasła jak świeczka rzucona na ulicę. Zgasła, połknięta przez horyzont zdarzeń cienia. Nikt nie uwierzył, nikt nie miał nadziei. Nawet Rafał Nocny.

Zegar zadzwonił jak co nocy.

*Posłuchajcie uważnie moje dziatki
wybitej o północy zagadki.
Przed wschodem słońca znajdźcie rozwiązanie,
albo komuś coś się dzisiaj stanie.
Dzyń-dzoń.
Nie dostrzeżecie go.
Jest pewien byt,
co wszystkich morduje w mig.
I to nie jestem ja.
Chociaż reszta się zgadza.
Dzwoni dzwonkami.
Zagadki rozdaje.*

- Inni ludzie! — inni ludzie powiedzieli to jednocześnie.
- Bóg? — ktoś zaproponował.
- Inny zegar?
- Strach?
- Wiatr.
- A my sami?

Ale kolejne pomysły grzęzły w ludzkiej pajęczynie bezsensowności coraz bardziej. Ktoś zrezygnowanie usiadł w błocie. Ktoś zemdlał z beznadziejności i się utopił. Ktoś celowo sobie żyły podciął. Widać śmierć mogła przyjść nie tylko od innych ludzi, czy zegara, ale także od ciebie samego.

I musieli wszyscy tak stać. I nic nie mogli zrobić. I nawet jak próbowali, to nie mogli. Bo wszyscy byli splątani pajęczyną, która sklejała ich mózgi. A oko wielkiego pająka bacznie się przyglądało. Nie pozwolę wam umrzeć, jeszcze nie, cierpcie.

Tylko Nocni potrafili się z tej pajęczyny zerwać. Nie dlatego, że mieli doświadczenie, inteligencję, czy chęć do życia. A dlatego że byli oszustami. Bo za rogiem czekała na nich rakietą i kilka sacroteriowych bomb. Bo ich historia w każdej chwili mogła się zakończyć widowiskowym *deus ex machina*. Oni jedyni byli w stanie po prostu sobie pójść i zostawić wszystko w cholere.

I między innymi dlatego postanowili zostać i się nie poddawać. Bo jakby poszli, to dzisiejsza pajęczyna zmieniłaby się w jutrzejsze skamieliny. A zegar wkrótce zostałby sam, w wymordowanym mieście, i sam sobie zadawał zagadki.

Nawet nie było widać, kiedy przyszedł poranek. Z cebra nie przestawało się łać. Tylko wieża pokazywała poranną godzinę. Albo chciała nam ją pokazać.

Gdy każdy zwymiotował wszystkie swoje pomysły i u nikogo nie było już kwasu żołądko...

— ...pisarz opowiadania.

Wszystkie oczy zwróciły się na małą Żywię, która była zaskoczona tak samo, jak oni.

— No bo to pisarz to pisze zagadki i dzwoni dzwonem, jak pisze „bim-bom”.

Ludzie trochę się zaśmiali, trochę przez łzy, a trochę przez deszcz. Jednak dopiero po minucie zauważyli, że nie ma nad nimi ich mechanicznego słońca. Rozglądali się, szukając tak znienawidzonej przez wszystkich tarczy, lecz niebo było całkowicie czarne. Lekkie buczenie coraz bardziej zagłuszało szum deszczu.

— Wszyscy uciekać! — krzyknął Rafał, ciągnąc za sobą swoją rodzinę.

Nie wiadomo dlaczego, ale inni ludzie również zaczęli w pośpiechu opuszczać plac. Potykali się o swoje nogi. Gubili kalosze w kałużach. Nawoływali się nawzajem. Próbowali świecić pochodniami, które natychmiast gasły.

Wtem wielkie uderzenie i fala błota znikąd. Porwała wszystkich biegnących. Rzuciła w wąskie uliczki, wpadła do domów, gasząc latarnie, rozerwała pajęczynę na strzępy. Przytłumiony dźwięk dzwonu rozszedł się, po raz pierwszy, po ziemi. I tym razem nikogo nie zabił.